www.polska-zbrojna.pl

Polska Zbrojna

NR 8 (820) SIERPIEŃ 2014

INDEKS 337 374 ISSN 0867-4524
CENA 6,50 ZŁ (W TYM 8% VAT)

„MRÓFKI" I JEGO LUDZIE

AKCJA ŻOŁNIERZY Z TASK FORCE 50 W AFGANISTANIE

MARCIN ZABOROWSKI

O DWÓCH KATEGORIACH CZŁONKÓW SOJUSZU I OCZEKIWANIACH NA PRZEŁOM

POWSTANIE WARSZAWSKIE

WALCZYMY O PAMIĘĆ

ISSN 08674524
9 770867 452504 08

WIELKA WOJNA

1914 - 1918

Prawdziwy koniec Belle Époque.

Honorowy Patronat
Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej
Bronisława Komorowskiego

od 30 lipca 2014
MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO
Al. Jerozolimskie 3, 00-495 Warszawa

PATRONI MEDIALNI

SPONSORZY WYSTAWY

WOJCIECH KISS-ORSKI

NA 70. ROCZNICĘ POWSTANIA WARSZAWSKIEGO ODROBILIŚMY LEKCJĘ, KTÓREJ NIE UDAŁO SIĘ WYKONAĆ DZIESIĘĆ LAT TEMU.

Cywilizację mamy obrazkową, więc potrzebny był obraz. I obrazy wreszcie mamy. „Powstanie Warszawskie", film zmontowany w całości z materiałów dokumentalnych, w pierwszych trzech dniach po premierze w maju obejrzało ponad 80 tys. osób. Ile w tym samym czasie przebrnęło przez jakąkolwiek książkę o tym wydarzeniu?

19 września do kin wejdzie film fabularny „Miasto '44" w reżyserii Jana Komasy. Już wiadomo, że nie pozostanie bez echa. Jeśli więc zastanawiamy się, jak najskuteczniej popularyzować wiedzę o tragicznym powstaniu, odpowiedź wydaje się oczywista. To filmy tworzą dziś narrację o wydarzeniach historycznych. Cztery lata temu, w 600-lecie bitwy pod Grunwaldem, inscenizację zwycięstwa na miejscu obejrzało 150 tys. ludzi, którzy w nieopisanym bałaganie podczas wjazdu i wyjazdu z imprezy chcieli przeżyć i wyobrazić sobie to wydarzenie. Wszyscy wiedzieli, czym była „bitwa pod Grunwaldem". Podejrzewam, że wśród nich mniej było tych, którzy przeczytali powieść Henryka Sienkiewicza, niż tych, którzy znali archaiczny dziś film Aleksandra Forda, notabene z faktyczną historią mający związek dość luźny.

Tym razem to dzięki kinu powstanie warszawskie trafiło pod strzechy.

O powstaniu warszawskim na stronach 12–45

ARCH. A. WITKOWSKI

M. ZIELIŃSKI

BENIS-FOTOLIA© / MILITARIUM STUDIO

peryskop

12 | „Polska Zbrojna" walczy o... pamięć
Jak pokazywać następnym pokoleniom historię powstania warszawskiego?

ANDRZEJ FĄFARA
22 | Chwała bohaterom nieznanym
Grzegorz Piwnicki o upamiętnianiu nieznanych bohaterów '44

KRYSTYNA BARANOWSKA
24 | Hoża 7
Powstańcze wspomnienia

ANDRZEJ FĄFARA
28 | Z orzełkiem w sercu
Polscy sportowcy w konspiracji

ANNA DĄBROWSKA
30 | Powstanie na szpaltach
Przegląd powstańczego „Biuletynu Informacyjnego"

NORBERT BĄCZYK
32 | Z szacunkiem do faktów
Czy Stalin naprawdę mógł uratować Warszawę?

TADEUSZ WRÓBEL
36 | W krainie normandzkich żywopłotów
W czasie, gdy w stolicy trwało powstanie, alianci rozgrywali ostatnie partie bitwy o Normandię

ANDRZEJ FĄFARA
42 | Zabić miasto

armia

PIOTR BERNABIUK
46 | Powrót do natury
Zwiadowcy szkolą się do działania w górach i na wodzie

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER
54 | Wzmocniony korpus
Już wkrótce Wielonarodowy Korpus Północno-Wschodni stanie się jednostką wysokiej gotowości

BOGUSŁAW POLITOWSKI
58 | „Mrófki" i jego ludzie
Akcja polskich żołnierzy w wysokich górach Hindukuszu

PAULINA GLIŃSKA
62 | Król lotu koszącego
Su-22 jeszcze przez jakiś czas nie znikną z polskiego nieba

ANNA DĄBROWSKA
66 | Krew na poligonie
Wiele doświadczeń z pola walki można przenieść do ratownictwa cywilnego

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER
70 | Długa misja
Polski kontyngent wojskowy na Bałkanach

JAROSŁAW RYBAK
73 | Powstańcy nie komandosi
Działania specjalne w wojennej Warszawie skończyły się wraz z wybuchem powstania warszawskiego

arsenał

RAFAŁ CIASTOŃ
74 | Atom pola walki
Pakistan jest państwem najbardziej dynamicznie rozbudowującym swój potencjał nuklearny

strategie

TOMASZ OTŁOWSKI
84 | Początek Armagedonu
Spór Islamskiego Państwa Iraku i Lewantu z Al-Kaidą

122
KOMU POTRZEBNA JEST „SELEKCJA”?

P. BERNABIUK

NAC

ROBERT CZULDA
90 | Rozgrywający w regionie
Hezbollach nie jest zwykłym statystą w bliskowschodnim dramacie

TADEUSZ WRÓBEL
94 | Upadek mitu
Iracka policja i wojsko to kolosy na glinianych nogach

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER
96 | Egzamin dla sojuszu
Marcin Zaborowski o nowej strategii bezpieczeństwa w Europie

ROBERT CZULDA
100 | Pożądana zmiana kursu
Czy NATO nas obroni?

wojny i pokoje

PIOTR KORCZYŃSKI
104 | Gorzka chwała asa
Losy mjr. Witolda Łokuciewskiego

horyzonty

ANNA DĄBROWSKA, PAULINA GLIŃSKA, MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER
110 | Drugie życie fortu
Moda na adaptowanie zabytkowych obiektów militarnych z każdym rokiem rośnie

JACEK SKRZYPCZYK
116 | Niemy świadek historii

PIOTR BERNABIUK
122 | Gra złudzeń

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER
134 | Cudak w mundurze
Magdalena Pilor o tym, jak jest postrzegana kobieta na misji

WOJSKOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

SEKRETARIAT WOJSKOWEGO INSTYTUTU WYDAWNICZEGO
tel.: +4822 684 53 65, 684 56 85,
faks: 684 55 03; CA MON 845 365, 845 685, faks: 845 503;
Al. Jerozolimskie 97, 00-909 Warszawa

REDAKTOR NACZELNY POLSKI ZBROJNEJ
Wojciech Kiss-Orski,
tel.: +4822 684 02 22, CA MON 840 222; wko@zbrojni.pl
SEKRETARZ REDAKCJI
Aneta Wiśniewska, tel.: +4822 684 52 13, CA MON 845 213
ZASTĘPCY SEKRETARZA REDAKCJI
Katarzyna Pietraszek, tel.: +4822 684 02 27, CA MON 840 227;
Joanna Rochowicz, tel.: +4822 684 52 30, CA MON 845 230;
polska-zbrojna@zbrojni.pl

WSPÓŁPRACOWNICY
Piotr Bernabiuk, **Anna Dąbrowska**, **Paulina Glińska**, **Małgorzata Schwarzgruber**, **Tadeusz Wróbel**,
tel.: +4822 684 52 44, CA MON 845 244,
+4822 684 56 04, CA MON 845 604;
Magdalena Kowalska-Sendek, tel.: +48 725 880 221;
Norbert Bączyk, Rafał Ciastoń, Robert Czulda, Jerzy Eisler, Andrzej Fąfara, Włodzimierz Kaleta, Piotr Korczyński, Jakub Nawrocki, Tomasz Otłowski, Bogusław Politowski, Jarosław Rybak, Jacek Skrzypczyk, Łukasz Zalesiński, Michał Zieliński

DZIAŁ GRAFICZNY
Marcin Dmowski (kierownik), **Paweł Kępka**, **Monika Siemaszko**,
tel.: +4822 684 51 70, CA MON 845 170

FOTOEDYTOR
Andrzej Witkowski,
tel.: +4822 684 51 70, CA MON 845 170

REDAKCJA TEKSTÓW
Renata Gromska, **Barbara Szymańska**, **Urszula Zdunek**,
tel.: +4822 684 55 02, CA MON 845 502

BIURO REKLAMY I MARKETINGU
Adam Niemczak (kierownik), **Anita Kwaterowska** (tłumacz),
Magdalena Miernicka, **Małgorzata Szustkowska**,
tel. +4822 684 53 87, 684 51 80,
Elżbieta Toczek, tel. +4822 684 04 00,
faks: +4822 684 55 03; reklama@zbrojni.pl

Zdjęcie na okładce:
Śródmieście Północne. Ulica Sienna w pobliżu Wielkiej. Powstaniec z pistoletem Vis i „filipinką”, granatem ręcznym. Data wykonania: 1–2 sierpnia 1944 roku. Fot. Czesław Gerwel „Orłoś”/Muzeum Powstania Warszawskiego
Numer zamknięto:
24.07.2014 r.

KOLPORTAŻ I REKLAMACJE
TOPLOGISTIC, ul. Skarbka z Gór 118/22, 03-287 Warszawa,
tel.: +4822 389 65 87, +48 500 259 909,
faks: +4822 301 86 61; biuro@toplogistic.pl

DRUK
ARTDRUK ul. Napoleona 4, 05-230 Kobyłka, www.artdruk.com

PRENUMERATA
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7.00–17.00. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

PARTNER
NAC Narodowe Archiwum Cyfrowe.
170 tysięcy zdjęć online na www.nac.gov.pl

Treść zamieszczanych materiałów nie zawsze odzwierciedla stanowisko redakcji. Tekstów niezamówionych redakcja nie zwraca. Zastrzega sobie prawo do skrótów.
Egzemplarze miesięcznika w wojskowej dystrybucji wewnętrznej są bezpłatne. Informacje: CA MON 840 400

NA TERENIE CENTRALNEGO POLIGONU SIŁ POWIETRZNYCH rywalizowali kandydaci na operatorów Wydziału Działań Specjalnych Oddziału Specjalnego Żandarmerii Wojskowej w Warszawie. Wyczerpujący sprawdzian o znamiennej nazwie „Hell Week", podczas którego korzystano z doświadczeń jednostek specjalnych armii amerykańskiej, dał się uczestnikom mocno we znaki.

SYLWIA GUZOWSKA

USTKA

TOMASZ SIEMONIAK, MINISTER OBRONY NARODOWEJ

15 sierpnia 2014 roku przypada 94. rocznica Bitwy Warszawskiej, w której polska armia nadzwyczajnym wysiłkiem ocaliła niepodległość młodego państwa i pokazała, że jest gotowa podjąć każdy trud dla obrony suwerenności Ojczyzny.

Tę chlubną misję, wzorem bohaterów 1920 roku i innych pól bitewnych, kontynuują współcześni polscy żołnierze, którzy z honorem wykonują zadania ściśle związane ze specyfiką zagrożeń XXI wieku.

Nasze społeczeństwo wysoko ocenia i szanuje swoich żołnierzy, gdyż Polacy dobrze znają ważną, odpowiedzialną i decydującą rolę Sił Zbrojnych RP w zapewnieniu bezpieczeństwa naszemu krajowi. Wojsko Polskie systematycznie wzmacnia swoją zdolność do skutecznego przeciwstawienia się każdemu zagrożeniu, zarówno samodzielnie, jak i działając ramię w ramię z naszymi sojusznikami. Od kilku lat, konsekwentnie i nakładem znacznych środków, modernizujemy armię, aby była ona zorganizowana, wyszkolona i wyposażona na miarę potencjalnych wyzwań.

Z okazji Święta Wojska Polskiego pragnę zwrócić się z pozdrowieniami oraz podziękowaniami do wszystkich osób, którym bliskie są sprawy obronności Ojczyzny.

Pozdrawiam żołnierzy oraz pracowników wojska i serdecznie dziękuję za codzienne profesjonalne wywiązywanie się z obowiązków służbowych.

Słowa najwyższego szacunku kieruję do uczestników misji zagranicznych i życzę bezpiecznego wykonywania zadań oraz szczęśliwego powrotu do domów.

Pozdrawiam kombatantów, weteranów misji wojskowych, żołnierzy rezerwy i w stanie spoczynku, spośród których wielu nadal służy swoim doświadczeniem Siłom Zbrojnym RP, czym dowodzą, że żołnierzem pozostaje się przez całe życie.

Słowa wdzięczności kieruję również do rodzin i bliskich żołnierzy, którzy dzielą z nimi trudy służby wojskowej.

Wszystkim Państwu życzę odniesienia sukcesów zawodowych oraz pomyślności w życiu osobistym. ■

GEN. BRONI PIL. LECH MAJEWSKI, DOWÓDCA GENERALNY RODZAJÓW SIŁ ZBROJNYCH

Z okazji Święta Wojska Polskiego serdecznie pozdrawiam oficerów, podoficerów i szeregowych, żołnierzy w służbie czynnej, rezerwistów i w stanie spoczynku, kombatantów i weteranów, a także pracowników wojska wszystkich rodzajów sił zbrojnych, wojsk i służb.

Dziękuję Państwu za profesjonalną i wytrwałą służbę oraz pracę dla Ojczyzny. Wasza postawa, prezentowana konsekwentnie podczas coraz częstszych misji, treningów, ćwiczeń i dyżurów bojowych, jest świadectwem obywatelskiej dojrzałości i odpowiedzialności. Udowadniacie nią także, że systematyczne działanie, poparte rzetelnością i gotowością do wykonywania najbardziej skomplikowanych i odpowiedzialnych zadań, przynosi właściwe rezultaty i daje satysfakcję z dobrze wypełnianych obowiązków.

W tym roku, gdy mija ćwierć wieku od odzyskania wolności, Święto Wojska Polskiego obchodzimy w niespokojnej sytuacji międzynarodowej. Skłania to do refleksji nad naszym dorobkiem. Szczęśliwie możemy się cieszyć, że jest on niebagatelny i dobrze rozwijany.

Od pięciu lat mamy zawodowe, konsekwentnie unowocześniane siły zbrojne. W ostatnim roku zreorganizowaliśmy system kierowania i dowodzenia. Utworzyliśmy struktury umożliwiające przygotowanie sił zbrojnych do prowadzenia operacji połączonych. Wzmacniamy potencjał wojsk lądowych – pozyskujemy czołgi Leopard 2A5, transportery Rosomak, systemy artyleryjskie i sprzęt saperski. Rozpoczęliśmy odbudowę potencjału marynarki wojennej. Dbamy o wojska specjalne, będące wizytówką Polski na arenie międzynarodowej. Inwestujemy też w lotnictwo, które wkrótce otrzyma nowe samoloty szkolenia

GEN. BRONI MAREK TOMASZYCKI, DOWÓDCA OPERACYJNY RODZAJÓW SIŁ ZBROJNYCH

15 sierpnia 1920 roku żołnierz polski stanął do walki o niepodległość i granice Polski. W szeregach Wojska Polskiego znaleźli się wszyscy ci, którzy byli gotowi oddać życie, by ocalić świeżo odzyskaną z takim trudem niepodległość.

Przez kolejne 94 lata żołnierz polski udowadniał, że słowa przysięgi wojskowej – „w potrzebie krwi własnej ani życia nie szczędzić" – traktuje poważnie. Był to fundament, na którym także dziś opiera się etos naszej żołnierskiej służby. Służby wymagającej, trudnej, ale dającej wielką satysfakcję – pozwalającej służyć Ojczyźnie.

Ostatnie wydarzenia u naszego wschodniego sąsiada pokazują, że niepodległość i wolność narodów i państw nie są dane raz na zawsze. Musimy być zawsze w gotowości do ich obrony, a jeśli zajdzie taka potrzeba – o nie walczyć. Codziennym wysiłkiem na poligonach i placach ćwiczeń, pełniąc służby i dyżury bojowe potwierdzamy naszą gotowość do walki o Ojczyznę. O nienaruszalność granic i bezpieczeństwo obywateli dbamy dziś nie tylko bezpośrednio na granicach naszego państwa. Służba polskich żołnierzy w Afganistanie, Bośni i Hercegowinie, Kosowie, w przestrzeni powietrznej państw bałtyckich i Republice Środkowoafrykańskiej także się przyczynia do utrwalania bezpieczeństwa Polski.

Pełniąc tę służbę, żołnierz polski udowadnia, że jest profesjonalistą gotowym wykonać każde zadanie, zarówno samodzielnie, jak i z naszymi sojusznikami. Z dala od domu, każdego dnia, potwierdza on, że Polska jest ważnym ogniwem, strzegącym nie tylko bezpieczeństwa własnego państwa, lecz także ładu międzynarodowego.

Świętując tę ważną i chwalebną rocznicę, pamiętajmy o bohaterach minionych dziesięcioleci. Tych, którzy nie zawahali się stanąć w obronie kraju. Dziś na nas – współczesnych żołnierzach – ciąży ta sama powinność. Pamiętajmy, że służba wojskowa jest najwyższą formą wyróżnienia i powodem do dumy.

W dniu Święta Wojska Polskiego składam wyrazy najwyższego uznania wszystkim byłym i obecnym polskim żołnierzom i pracownikom wojska, kombatantom i weteranom oraz rodzinom za codzienną służbę i pracę dla dobra Ojczyzny. Szczególnie ciepłe słowa kieruję do rodzin żołnierzy, którzy pełniąc służbę, oddali życie w obronie naszej suwerenności. Ta ofiara nigdy nie zostanie zapomniana, a ich postawa stanowi wzór dla kolejnych żołnierskich pokoleń.

Z okazji Święta Wojska Polskiego życzę Wam wszystkiego najlepszego. ■

zaawansowanego i śmigłowce. Pozyskamy także bezzałogowe statki powietrzne, stacje radiolokacyjne oraz nowoczesne zestawy rakietowe.

Jako lojalny i niezawodny sojusznik uczestniczymy w misjach w Afganistanie, Afryce, na Bałkanach, w państwach bałtyckich. Jesteśmy zaangażowani w najważniejsze inicjatywy międzynarodowe, w Siły Odpowiedzi NATO i grupy bojowe Unii Europejskiej. Szczególnie intensywnie nasi żołnierze współpracują z wojskami Stanów Zjednoczonych, Francji, Wielkiej Brytanii.

To wszystko ma jeden cel – zwiększa gotowość do obrony Ojczyzny. Z satysfakcją odnotowuję, że społeczeństwo dostrzega nasze zaangażowanie i patriotyzm, obdarzając Wojsko Polskie niesłabnącym zaufaniem. Także sojusznicy uważają polskich żołnierzy za cennych partnerów, z którymi warto podejmować nowe wyzwania. Dziękuję za to wszystko serdecznie, po żołniersku, bo wiem, jak ważne są takie działania i ile trzeba w nie włożyć energii, nierzadko kosztem spraw prywatnych.

Z okazji Święta Wojska Polskiego życzę wszystkim Państwu szczęścia, sukcesów, a także wszelkiej pomyślności. Jestem przekonany, że najbliższy czas przyniesie wiele powodów do radości oraz satysfakcji z realizacji planów prywatnych i zamierzeń służbowych.

Jednocześnie proszę o przekazanie serdecznych podziękowań rodzinom, które wykazują wiele wyrozumiałości dla naszych wojskowych obowiązków i codziennie wspierają nas w ich wykonywaniu. To one dają tę pozytywną energię, tak potrzebną w naszej niełatwej służbie i pracy. ■

Naczelny dowódca

Szykują się zmiany w systemie kierowania obroną państwa na wypadek wojny.

Prezydent Bronisław Komorowski skierował do sejmu projekt ustawy o zmianie ustawy o powszechnym obowiązku obrony. „Nowelizacja przyczyni się do powstania bardziej logicznego i skuteczniejszego systemu kierowania państwem w razie zagrożenia", wyjaśniał zwierzchnik sił zbrojnych 1 lipca w Dowództwie Operacyjnym Rodzajów Sił Zbrojnych.

Proponowane zmiany mają przede wszystkim usprawnić i doprecyzować istniejące rozwiązania, w tym kompetencje naczelnego dowódcy sił zbrojnych, podlegającego bezpośrednio prezydentowi, który w czasie wojny kieruje obroną państwa. Zgodnie z projektem mają mu być podporządkowane te wojska, które są niezbędne do obrony kraju, a nie całość sił zbrojnych, co oznaczałoby przejęcie roli i kompetencji ministra obrony.

W nowelizacji znajdzie się także przepis określający główne zadania osoby wskazywanej przez prezydenta do mianowania na naczelnego dowódcę. Pozwoli to kandydatowi przygotować się do tego zadania, między innymi poprzez uczestniczenie w ćwiczeniach i grach strategicznych oraz w planowaniu operacyjnego użycia sił zbrojnych w czasie wojny.

Prezydent przewidział też poszerzenie kompetencji szefa Sztabu Generalnego Wojska Polskiego na czas wojny, dodając mu zadania dotyczące wsparcia zwierzchnika sił zbrojnych w kierowaniu obroną państwa. W czasie pokoju szef SGWP będzie podlegał bezpośrednio ministrowi obrony. PZ, JT, AD ■

Z głębokim żalem i smutkiem
przyjąłem wiadomość
o tragicznej śmierci
naszych żołnierzy

st. kpr.
Cezarego Młyńczaka

st. kpr.
Andrzeja Otręby

st. szer.
Bartłomieja Wójciaka

mł. chor. rez.
Adama Strużyka.

Rodzinom
i Bliskim
składam wyrazy głębokiego
współczucia.

Tomasz Siemoniak
minister obrony narodowej

Ciężar priorytetów

Ważny jest nowoczesny system dowodzenia armią.

Główny akcent doktryny bezpieczeństwa państwa musi zostać przesunięty z uczestnictwa w misjach ekspedycyjnych na budowanie nowoczesnego systemu dowodzenia armią oraz obronę granic", mówił prezydent Bronisław Komorowski na uroczystości z okazji 10-lecia powstania Dowództwa Operacyjnego Rodzajów Sił Zbrojnych. Taką konieczność potwierdzają między innymi wydarzenia na Ukrainie. Prezydent zaznaczył, że Polska nadal będzie uczestniczyć w misjach zagranicznych, ale dostosowując zaangażowanie do swoich możliwości.

Dowódca operacyjny gen. broni Marek Tomaszycki wyliczył wyzwania, jakie stoją przed kierowaną przez niego jednostką. Należy do nich zakończenie operacji w Afganistanie i przygotowanie warunków do uczestniczenia w doradczej misji „Resolute Support" w tym kraju, dokończenie reformy systemu dowodzenia armią oraz organizacja ćwiczeń „Anakonda '14". PZ, AD ■

Afrykańska misja

W Republice Środkowoafrykańskiej polscy żołnierze rozpoczęli kolejną misję. Trzonem kontyngentu, liczącego 50 żołnierzy i pracowników wojska, jest pluton manewrowy Oddziału Specjalnego Żandarmerii Wojskowej z Mińska Mazowieckiego. Skład PKW uzupełniają żołnierze z innych jednostek i instytucji, między innymi 1 Brygady Logistycznej z Bydgoszczy, Inspektoratu Wsparcia Sił Zbrojnych, Inspektoratu Wojsk Specjalnych i 6 Brygady Powietrznodesantowej. Wszyscy stacjonują w Camp Ucatex w stolicy kraju Bangui. Celem misji Unii Europejskiej jest ustabilizowanie sytuacji w kraju ogarniętym wojną domową oraz umożliwienie dostarczania do Republiki Środkowoafrykańskiej pomocy humanitarnej. Polska zmiana potrwa do końca października. PZ, AD ■

Dzień polskiej armii

Świętowanie rozpocznie się 14 sierpnia wieczorem na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach apelem pamięci przed pomnikiem żołnierzy poległych w wojnie 1920 roku. Centralne uroczystości odbędą się 15 sierpnia w południe przed Grobem Nieznanego Żołnierza. Zakończy je wojskowa defilada, w której wezmą udział kompanie honorowe, zostanie zaprezentowany sprzęt z jednostek, a uroczystość uświetni przelot wojskowych śmigłowców i samolotów. Resort obrony zachęca też do odwiedzenia festynu żołnierskiego w Parku Agrykola (od godziny 13), gdzie między innymi będzie można wysłuchać koncertu pieśni legionowych Reprezentacyjnego Zespołu Artystycznego WP oraz obejrzeć historyczny i współczesny sprzęt wojskowy. Z kolei w Łazienkach jest zaplanowany koncert laureatów XI Przeglądu Piosenki Wojska Polskiego „Zegrze 2014". Zostanie też zorganizowany dzień otwarty w Muzeum Wojska Polskiego oraz w Muzeum Polskiej Techniki Wojskowej w Forcie Czerniakowskim. AD ■

|DO PEWNEGO STOPNIA|

PIOTR
BERNABIUK

Trudne tematy

Z „Grubym" pogadać można o wszystkim, pożartować na każdy temat, nawet najbardziej drażliwy. Fajny kumpel, jowialny, otwarty, w dodatku wojskowy na zupełnie sensownym stanowisku, z dorobkiem… Zdziwiłem się zatem, gdy ostatnio na mnie naskoczył: „Jakim prawem wojskowa gazeta opluwa żołnierzy i natrząsa się z ludzkiego nieszczęścia!?". Stanąłem niczym żona Lota, a ten dokłada do pieca: „Pokazujecie armię jako bandę nieudaczników z nadciśnieniem i nadwagą. Waszym zdaniem obżeramy się, palimy w nadmiarze papierosy i chlamy wódkę zamiast stać na straży ojczyzny! Powinniście wszystkich przeprosić za te drwiny!". Wtrącam nieśmiało: „W naszej debacie („Polska Zbrojna" 6/2014) o stylu życia żołnierzy, ich kondycji i zdrowiu, każde słowo jest prawdziwe. Szacowni naukowcy w trosce o armię podają jedynie wyniki przeprowadzonych badań". Nie musiałem długo czekać na ripostę: „A komu to służy? Armii? A może raczej wrogom ojczyzny czyhającym u jej granic?".

Próbuję mediacji: „Dyskusja, do której wszystkich zapraszamy, powinna służyć uświadomieniu sobie problemu, żeby coś sensownego z nim zrobić. Nie występujemy przeciwko komukolwiek, nie atakujemy, nie chcemy nikogo wyrzucać z wojska, ale pomóc. Taką mamy misję", dorzucam. Nie zdaję sobie jednak sprawy, że jedynie dolewam oliwy do ognia. I słyszę: „Co chcesz zmienić? Namącić ludziom w głowach, wywołać kolejne zawały. Dlaczego ludzie palą? Dlaczego piją? Bo żyją w stresie, a takie ataki jedynie pogłębiają stan zapaści. Dlaczego naukowcy nie mówią, że największe spustoszenie w szeregach wywołują egzaminy z wuefu. To durne bieganie tam i z powrotem nie wiadomo w jakim celu?".

W przypływie desperacji atakuję wprost: „Gruby, weź się może najpierw za siebie, zrzuć parę deko, podlecz serce, to pogadamy". Już jednak nie pogadamy. Niestety, naruszyłem tabu. Nawet nie powiedział mi po raz setny, że nie ma nadwagi tylko masę stalowych mięśni. Jego nadciśnienie zaś jest przejściowe, bo mu gula skacze, jak musi co rusz gadać z durniami. Obraził się na amen.

Cóż, trudnych tematów w wojsku jest znacznie więcej. Ostatnio włączyłem się w dyskusję na mój ulubiony temat. Rozmawiano bowiem o paniach. Tyle, że żołnierze kłócili się, czy kobiety w wojsku powinny zdawać taki sam test sprawności fizycznej jak mężczyźni. Ich kondycja od paru lat jest dyżurnym tematem, a dla panów zarazem testem z „poprawności politycznej". Sprawą zajmują się najwyższe gremia dowódcze, autorytety społeczne i naukowe, a także wysłużeni wojacy, dostający wypieków już na samo hasło „baba w wojsku".

Nie mam pojęcia, ile żołnierka powinna mieć w bicepsie, a ile wyciskać w leżeniu, ale w czasie dyskusji dorzuciłem swoje trzy grosze, bo mnie najbardziej przekonuje podejście specjalsów. Operatorom w zespołach bojowych nie zagląda się pod kieckę. Każdy musi spełniać odpowiednie kryteria, a podczas operacji robić swoje, bo to jest sprawa życia i śmierci. ■

NIE WYSTĘPUJEMY PRZECIWKO KOMUKOLWIEK, NIE ATAKUJEMY, **NIE CHCEMY NIKOGO WYRZUCAĆ Z WOJSKA, ALE POMÓC.** TAKĄ MAMY MISJĘ

PAPIER
SZPAGAT
WP

Śródmieście Północne. Powstańcy z kompanii „Koszta" czytają (prawdopodobnie) niemiecką ulotkę na ul. Sienkiewicza, róg Marszałkowskiej. Od lewej: st. strz. Jerzy Chyliński „Karol", Tadeusz Suliński „Radwan", Andrzej Główczewski „Marek", st. strz. Wacław Krupiński „Belina", strz. Janusz Chyliński „Janusz". Data wykonania: pierwsza dekada sierpnia 1944 roku. Fot. Eugeniusz Lokajski „Brok"/Muzeum Powstania Warszawskiego

SONDA

POLSKA ZBROJNA WALCZY... O PAMIĘĆ

POLSKA ZBROJNA WALCZY... O PAMIĘĆ

Mija 70 lat od wybuchu powstania warszawskiego, wydarzenia będącego fenomenem na skalę światową. W pierwszych dniach sierpnia 1944 roku młodzi ludzie, kiepsko wyposażeni i uzbrojeni, ale zdeterminowani oraz pełni wiary w zwycięstwo, ruszyli do walki z wojskami okupującymi stolicę. Dla współczesnej młodzieży tamte wydarzenia są tak odległe, że trudno się jej identyfikować z walczącymi wówczas rówieśnikami. Jak zatem pokazywać historię powstania warszawskiego, by dla kolejnego pokolenia była to żywa opowieść, a nie tylko lekcja z podręcznika?

GEN. BRYG. **RAJMUND T. ANDRZEJCZAK,**
DOWÓDCA
17 WIELKOPOLSKIEJ
BRYGADY
ZMECHANIZOWANEJ

Dzisiejsza młodzież rzeczywiście może mieć kłopot ze zrozumieniem rangi, skali oraz historycznego i moralnego znaczenia powstania. Trzeba się więc zastanowić, jaki przyjąć język komunikacji dla tak ważnych spraw, które powinno rozumieć pokolenie wolnej Polski. Sądzę, że potrzebujemy więcej dystansu. Dzisiaj w kraju każdy film, książka czy występ artysty wzbudzają tak duże emocje, że mogą niemal podzielić społeczeństwo. Jest zatem potrzebny dystans widzów, ale też odpowiedzialność autorów za swe dzieła. Mówiąc o tym, jak pokazywać młodzieży historię powstania, skłaniałbym się ku nowym formom przekazu. Oddając należny szacunek powstańcom, powinniśmy sięgać po język przystępny, zrozumiały. Młodzież ma swój specyficzny kod komunikacji. Jak się okazało, szwedzki zespół Sabaton potrafi opowiadać o polskiej historii inaczej i nie sądzę, by przekraczał granice. Skoro brytyjska legenda heavy metalu Iron Maiden może opowiadać o lotnikach bitwy o Anglię czy bohaterach podwodnej bitwy o Atlantyk i w ten sposób docierać do młodzieży, to może trzeba zweryfikować nasz pogląd o formie. Jeśli w warszawskim tramwaju młody człowiek słucha hip-hopowego utworu o powstańcach i w ten sposób poznaje ważną część historii, to jest OK. Najważniejsze, aby 1 sierpnia zdjął na chwilę słuchawki, gdy całe miasto się zatrzymuje, pamiętając o bohaterach gen. Chruściela „Montera". I żeby wiedział, dlaczego miasto nieruchomieje. ■

BOHDAN TOMASZEWSKI, DZIENNIKARZ, UCZESTNIK POWSTANIA, PS. „MAŁY”

Kiedyś wiedza historyczna była przekazywana w sposób naturalny, z ojca na syna. W pewnym momencie ten proces został przerwany. Dlatego ci powstańcy, którzy jeszcze żyją, powinni się spotykać z młodymi ludźmi i działać im trochę na wyobraźnię, a trochę na rozum. Tym większa staje się rola edukacji, która, niestety, nie spełnia swoich podstawowych zadań. Nie tylko w odniesieniu do języka polskiego czy matematyki, ale także historii. Podobają mi się rekonstrukcje historyczne, również te dotyczące powstania. To jest taki teatrzyk, ale na pewno ma pozytywny wpływ na wiedzę historyczną młodych. Dodam, że ja i moi rówieśnicy woleliśmy książki. ■

PIOTR JAKUBOWSKI, DYREKTOR DOMU SPOTKAŃ Z HISTORIĄ

Adresowany do młodzieży przekaz o powstaniu warszawskim, tak jak każdy dotyczący historii najnowszej, wymaga bezpośredniego przywołania źródeł, zwłaszcza świadectw indywidualnych. Warto korzystać z nich w sposób kreatywny, stosując rozmaite formy popularyzatorskie: od publikacji, wystaw, projekcji, po te bardziej wyrafinowane. Świetnym przykładem jest tutaj najnowszy film „Powstanie Warszawskie”, oparty na oryginalnych fragmentach kronik powstańczych, pieczołowicie udźwiękowionych i pokolorowanych, następnie połączonych fabularyzowaną narracją. Taki materiał wyjątkowo porusza wyobraźnię, zresztą nie tylko młodego widza, o czym świadczy frekwencja w kinach.

Opowiadając młodym o historii, warto też sięgać po inne narzędzia charakterystyczne dla świata popkultury, jak komiks, gry, aplikacje interaktywne czy akcje na portalach społecznościowych. Jednak nie mogą one zdominować czy zastąpić klasycznych form prezentacyjnych – realizowanych oczywiście z wykorzystaniem multimediów. I zawsze bezcenny jest głos świadków zawarty we wspomnieniach, relacjach, dziennikach, na fotografiach i filmach z domowych archiwów. ■

EMILIAN KAMIŃSKI, AKTOR, DYREKTOR TEATRU KAMIENICA

O powstaniu należy mówić prawdę. W Warszawie zginęło wówczas 220 tys. osób. Zawsze powtarzam młodym, że chodzą po chodnikach, pod którymi ziemia jest przesiąknięta milionami litrów ludzkiej krwi. Trzeba mówić, że była to wielka tragedia, że Stalin z Hitlerem realizowali obrzydliwy scenariusz, aby z Warszawy nie pozostał kamień na kamieniu. Trzeba pamiętać, że w rzezi na Woli brały udział także oddziały faszystowskie złożone z Łotyszy, Litwinów i Ukraińców. Na 70. rocznicę wybuchu powstania, z przyczyn od nas niezależnych, nie możemy, niestety, zagrać „Pamiętnika z Powstania Warszawskiego”. Ale otwieramy teatr i organizujemy godzinę „W”. Spotykamy się o 16.00, będą wspólne śpiewy i skromny powstańczy poczęstunek na gazetach. Chciałbym na to wydarzenie zaprosić wszystkich, którzy w tym czasie będą w Warszawie. Czcimy także 2 października, kapitulację powstania. Nazywamy ten dzień nienazwanym świętem. Nie organizuję natomiast ulicznych gier, muszę nawet przyznać, że ta forma mnie nieco drażni. Uważam powstanie za zbyt tragiczne wydarzenie, aby robić z niego komiksową zabawę. ■

PATRYCJA BUKALSKA, AUTORKA KSIĄŻKI „SIERPNIOWE DZIEWCZĘTA ’44”, DZIENNIKARKA „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

Opowiadanie o historii zawsze jest wyzwaniem. W końcu chodzi nie tylko o fakty, ale także o zrozumienie przeszłości, decyzji, wyzwań i konsekwencji. W tym wszystkim jest ludzkie życie, czyjś los. Takie właśnie spojrzenie na wielką historię, przez pryzmat indywidualnych losów, jest według mnie kluczem do pisania i mówienia o historii. W mojej książce „Sierpniowe dziewczęta” po prostu rozmawiam z kobietami, które przeżyły powstanie. Kobietami, którym przyszło żyć w niezwykłym momencie i dokonywać niezwykłych rzeczy, ale jednocześnie kobietami takimi jak ja i wiele czytelniczek. Kiedy tak na ich opowieści spojrzymy, mogą się one stać nie tylko źródłem wiedzy, ale również – przyznaję – źródłem inspiracji, siły i nadziei. Bo skoro im udało się przejść przez tak ciężkie chwile, to widać można ze wszystkim sobie poradzić. I przeżyć życie pięknie i z godnością. A zatem – o powstaniu warszawskim warto mówić jako o niezwykłym doświadczeniu zwykłych ludzi: żołnierzy, cywilów, warszawiaków, kobiet i dzieci. ■

MAGDALENA ZAWADZKA, AKTORKA, CÓRKA POWSTAŃCA ANDRZEJA ZAWADZKIEGO, PS. „ANDRZEJEWSKI"

Nie potrafię wskazać, w jaki konkretnie sposób powinniśmy przekazywać młodym ludziom wiedzę o powstaniu warszawskim. Mogę tylko wyrazić przypuszczenie, że z historią jest prawdopodobnie tak samo, jak ze sztuką. Podana w interesującej formie na pewno przyciągnie uwagę. Tak przecież było z filmem dokumentalnym „Powstanie Warszawskie", który miał premierę w maju tego roku. Podstawą wszystkiego musi być jednak edukacja. A z tym nie jest chyba najlepiej, skoro pewien poseł uważa, że powstanie warszawskie wybuchło w latach osiemdziesiątych XX wieku. ■

DARIUSZ MALEJONEK, KOMPOZYTOR, WOKALISTA, GITARZYSTA

Na płycie „Morowe panny", wydanej przy współudziale Muzeum Powstania Warszawskiego, bohaterkami uczyniliśmy kobiety, które brały udział w powstaniu. Przed 70 laty były one rówieśniczkami tych młodych ludzi, którym dziś opowiadamy o tamtym wydarzeniu. Chcieliśmy, aby nasza opowieść była autentyczna. Młode wokalistki same napisały teksty piosenek, na podstawie rozmów z uczestniczkami powstania, a także wykorzystując ich wspomnienia i listy. Muzyka, w którą te teksty ubraliśmy, jest współczesna, taka, jaką dziś gramy – rockowa, hip-hopowa, z elementami jazzu. Ta mieszanka sprawiła, że opowiedziane w piosenkach historie stały się bardzo prawdziwe. Młodzi ludzie zareagowali na nie niezwykle emocjonalnie, na koncertach było wiele wzruszenia i łez. Nasze historie nie były suchymi faktami, jakie uczniom podaje się na lekcjach historii – one nie wywołują ani głębszej reakcji, ani emocji, są kolejnym materiałem do wkucia. ■

KAROLINA PAWLAK, CZŁONEK GRUPY REKONSTRUKCJI HISTORYCZNEJ BORUJSKO, STUDENTKA

Problem z nauczaniem historii w szkole przejawia się na wielu płaszczyznach. Jedną z nich jest forma prowadzenia zajęć. Dużo zależy od nauczyciela, a często, niestety, trafiają się tacy, którzy zniechęceni recytują z podręcznika daty i nazwiska. Powinni iść za przykładem tych, którzy historię przedstawiają jako opowieść, spójną całość, której bohaterami są ludzie z potrzebami, planami i uczuciami. Wtedy możliwe jest wizualizowanie omawianych wydarzeń, dzięki czemu mogą się one stać interesujące, zrozumiałe i zapadać w pamięć. Właśnie dlatego coraz większym zainteresowaniem cieszą się filmy (np. „Powstanie Warszawskie"), seriale (np. „Czas honoru"), różnego rodzaju projekty (np. kalendarz „Panny niezłomne", pokazy grup rekonstrukcyjnych). To ciekawe propozycje, które przybliżają ludziom historię. Dzięki ogólnej dostępności, przyciągającej formie i przedstawieniu danych wydarzeń jako czyjejś historii, stają się interesującą alternatywą dla podręczników. Profil współczesnego odbiorcy zmienił się w ciągu ostatnich lat, więc aby zwiększyć atrakcyjność i skuteczność oddziaływania przekazywanych informacji, należy się dostosować do jego potrzeb. ■

SABATON TO NIEJEDYNY ZAGRANICZNY ZESPÓŁ, KTÓRY ŚPIEWAŁ O POWSTANIU WARSZAWSKIM. W 2004 ROKU BLACKMETALOWA GRUPA MARDUK WYDAŁA ALBUM „PLAGUE ANGEL" Z UTWOREM „WARSCHAU", A NIEMIECKI ZESPÓŁ HEAVEN SHALL BURN POŚWIĘCIŁ POWSTAŃCOM UTWÓR „ARMIA" (ALBUM „DEAF TO OUR PRAYERS" Z 2006 ROKU). SŁOWEŃSKA GRUPA LAIBACH W 2014 ROKU NAGRAŁA ZAŚ MINIPŁYTĘ „1 VIII 1944. WARSZAWA".

ADAM ROTFELD, BYŁY MINISTER SPRAW ZAGRANICZNYCH

Do nowego pokolenia trzeba mówić jego językiem, brać pod uwagę jego perspektywę, percepcję i wrażliwość. Mar-

tyrologia, która dominuje w środkach masowego przekazu, trafia do tej części społeczeństwa, która schodzi już ze sceny, choćby ze względów biologicznych. W opowieści o powstaniu warszawskim należy wydobyć aspekty pozytywne. Podkreślić odpowiedzialność młodych powstańców za państwo, ich solidarność i poczucie wspólnoty, a przede wszystkim to, że przywiązywali wagę do wartości, które mają trwały charakter. To właśnie wyznawane wartości kształtowały wspólnotę. Bohaterowie powstania warszawskiego, podobnie jak współczesna młodzież, byli pełni nadziei i oczekiwań. Byli też motywowani szlachetnymi pobudkami, które wynikały ze spójnych treści i sposobu przekazu oraz wychowania przez rodziców i przedwojenną szkołę. Było to pierwsze pokolenie ukształtowane w Polsce niepodległej. Należy umiejętnie ukazać radość życia i normalność powstańców, którzy chcieli dla Polski żyć i pracować. ■

WIESŁAW TURZAŃSKI, HARCMISTRZ ZWIĄZKU HARCERSTWA RZECZYPOSPOLITEJ

Mija 70 lat od wybuchu powstania warszawskiego. Odchodzą kolejni uczestnicy tamtych wydarzeń. Moje pokolenie, czyli osoby zakładające ZHR, miały bliski kontakt z powstańcami, z których wielu było żywymi legendami. Dziś harcerze nie mają już z nimi takiej łączności. Siłą rzeczy pojawia się pytanie, czy na pewno zrobiliśmy wszystko, aby znaleźć czytelne kanały przekazu informacji o naszej przeszłości, która powinna kształtować wrażliwość młodych ludzi i ich przywiązanie do własnego kraju. Znalezienie komunikatywnego języka w tym wypadku nie jest łatwe. Jednak jako harcerze mamy własne metody docierania do młodzieży: począwszy od harców miejskich, po gry planszowe czy miejskie z wykorzystaniem aplikacji na smartfony. Takie formy wciągają, a pokonanie trasy, jaką szli żołnierze Batalionu „Zośka" i „Parasol" z Żoliborza na Czerniaków, daje szansę na niezapomniane przeżycia. Przed dziesięciu laty o godzinie „W" harcerze w mundurach, z biało-czerwonymi opaskami na rękach, zaczęli blokować główne ronda w Warszawie. Pomysł się przyjął. ■

POWSTANIE WARSZAWSKIE UWIECZNIONO NA WITRAŻACH. W KOŚCIELE PRZY ULICY J. CONRADA NA WARSZAWSKICH BIELANACH SĄ KRZYŻE, MEDALE ORAZ ODZNAKI POLSKICH FORMACJI WOJSKOWYCH, ODDZIAŁÓW POWSTAŃCZYCH I PARTYZANCKICH. WITRAŻ POŚWIĘCONY POWSTANIU ZNAJDUJE SIĘ TEŻ W KOŚCIELE PRZY PLACU KONFEDERACJI 55.

STANISŁAW SOJKA, MUZYK

O powstaniu należy mówić prawdę i tylko prawdę. Nie racjonalizować. Dziś trudno nam sobie wyobrazić pragnienie wolności, jakie towarzyszyło powstańcom. Na płycie „Rozkwitały pąki białych róż" piękne stare pieśni przenieśliśmy bliżej współczesności. Pokolenie lat osiemdziesiątych żyje w innym tempie. Młodzi słuchają dziś innej muzyki, szybciej pobierają i przetwarzają informacje, mają inny sposób narracji. Wszystko jest szybsze i skrócone. Chętnie wziąłem udział w nagraniu płyty, bo zaintrygował mnie Paweł (Osicki) jako młody człowiek, który zainteresował się historycznymi pieśniami. Dla mnie także było to nowe doświadczenie. ■

PROF. **JAN FRANCISZEK MIODEK,** POPULARNY JĘZYKOZNAWCA, CZŁONEK KOMITETU JĘZYKOZNAWSTWA POLSKIEJ AKADEMII NAUK I RADY JĘZYKA POLSKIEGO, POPULARYZATOR WIEDZY O JĘZYKU POLSKIM

Skoro od najmłodszych klas szkoły podstawowej obowiązuje dziś tak zwane nauczanie zintegrowane, to szczególnie historia, w moim odczuciu, wręcz wymaga dydaktyki integrującej rozmaite dziedziny wiedzy. Dlaczego spośród naszych historyków najatrakcyjniejszy w odbiorze jest prof. Janusz Tazbir? Bo jak nikt potrafi naukowy wywód historyczny rzucić na tło historii europejskiej, na tło najważniejszych prądów kulturowych każdej epoki, z literackimi i językowymi włącznie. W takim kontekście historia może być nauką wyjątkowo atrakcyjną. Tylko z takim zapleczem erudycyjnym przestanie być kojarzona z nudnym wkuwaniem dat i faktów z tego kontekstu wyizolowanych. ■

FILIP BAJON, REŻYSER I SCENARZYSTA, TWÓRCA MIĘDZY INNYMI FILMÓW „PRZEDWIOŚNIE", „POZNAŃ '56" CZY „WIZJA LOKALNA 1901" – O STRAJKU DZIECI WRZESIŃSKICH

O powstaniu warszawskim należy rzecz jasna opowiadać, ale ani przez moment nie można zapominać, że nie było ono żadną wiktorią, że zakończyło się straszliwą klęską. Decyzja o jego wybuchu była kompletnie bez sensu, zarówno ze strategicznego, taktycznego, jak i czysto politycznego punktu widzenia. Przez lata powstanie obrosło mitologią, głównie ze względu na młodych ludzi, którzy brali w nim udział. Oni oczywiście, jak i wszyscy powstańcy, zasługują na pamięć i szacunek. Dla mnie najlepszym filmem o powstaniu warszawskim, nawet pewnym wzorcem, jest „Kanał" Andrzeja Wajdy. On powiedział mi o tym wycinku naszej historii najwięcej. Bardzo dobre rzeczy słyszałem o filmie „Miasto '44", czekam na przedpremierowy pokaz. ■

ROBERT KOSTRO, DYREKTOR MUZEUM HISTORII POLSKI

Od innych dyscyplin naukowych i przedmiotów szkolnych historia różni się jednym. Otóż każdy z nas jest jej uczestnikiem i twórcą. Nasze zachowania są uwarunkowane przez miejsce, gdzie mieszkamy i chodzimy na spacer, kim są nasi rodzice, do jakiej uczęszczamy szkoły, gdzie pracujemy. Największe wyzwanie stanowi fakt, że historia szkolna bywa często odrywana od naszego doświadczenia. Podręczniki podają daty i nazwiska, trudno jest natomiast dostrzec za tymi danymi rzeczywistych ludzi, ich dramaty, dylematy i decyzje. Niezwykle ważna dla odkrycia historii jest rozmowa ze świadkiem wydarzenia albo kontakt z oryginalnym źródłem, jeśli świadkowie epoki już nie żyją. Konieczne są umiejętność pokazania związków między naszym życiem a decyzjami przodków i nauczenie odczytywania znaków przeszłości w otaczającej nas przestrzeni. To mogą być obiekty, które istnieją, albo ślady w przestrzeni miejskiej po budynkach zburzonych podczas wojny.

Wielkie znaczenie dla popularyzacji historii mają media, w tym film. Popularność telewizyjnego serialu „Czas honoru" wynika stąd, że pozwala on młodemu człowiekowi przeżywać problemy rówieśników lub nieco starszych kolegów, które dotyczyły ich w przeszłości.

„APASZKA Z POWSTANIA", AKCJA MUZEUM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO, TO KREOWANIE MODY NA „SELFIE" W APASZCE W BIAŁE GROCHY. DOROTA WRÓBLEWSKA, PROMOTOR MODY, KULTURY I SZTUKI, JAKO PIERWSZA UMIEŚCIŁA ZDJĘCIE W POWSTAŃCZEJ CHUŚCIE NA SWOIM BLOGU.

Ogromną rolę w edukacji historycznej odgrywają i będą odgrywać muzea historyczne – pokazują one zarówno oryginalne obiekty, jak i zarejestrowane przez multimedia wypowiedzi świadków epoki. Nowoczesne ekspozycje to również urządzenia interaktywne i aranżacje plastyczne, dzięki którym młody widz może poczuć się uczestnikiem wydarzeń. Dzisiejsze muzea oferują wreszcie programy edukacyjne, bo nic nie zastąpi komentarza fachowego popularyzatora historii – entuzjasty, dzięki któremu muzealne przedmioty i instalacje nabierają prawdziwego życia. ■

TADEUSZ ŻABA, BYŁY WICEDYREKTOR I WSPÓŁTWÓRCA MUZEUM ARMII KRAJOWEJ, STARSZY KUSTOSZ INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ

O wydarzeniach należy opowiadać, pokazując losy zwyczajnych ludzi i rodzin oraz organizując spotkania z tymi, którzy przeżyli wojnę. To są niestety ostatnie chwile, żeby z takimi osobami obcować. Młodych można zainteresować historią także przez sztukę, na przykład muzykę. Wiele razy współorganizowałem koncerty hip-hopowe Tadka Polkowskiego, który poświęcił swoją twórczość nurtowi patriotycznemu. Podczas jednego z występów na scenę zaproszono dwóch kombatantów Armii Krajowej. Młodzież przywitała ich entuzjastycznie. Po kilku słowach dostali brawa, a widzowie skandowali „cześć i chwała bohaterom".

Przykładem niech będzie też działalność uczniów z krakowskiego Zespołu Szkół Społecznych nr 1, kierowanego przez dyrektora Jerzego Gizę. Młodzież jednej z klas postanowiła pamięć Żołnierzy Wyklętych uczcić koncertem. Mimo że żaden z uczniów nie umiał grać na jakimkolwiek instrumencie, w ciągu miesiąca przygotowali się i odbył się koncert rockowy! Stworzyli w końcu stronę internetową o Żołnierzach Wyklętych, gdzie publikują wiele własnych filmów oraz dziesiątki napisanych przez młodzież biogramów.

To jest właśnie efekt współczesnego nauczania historii – obudzenie sumień i pokładów ludzkiej wrażliwości.

Jako wieloletni pracownik Muzeum Armii Krajowej mam też świadomość, jak ważne jest, by ucząc o historii wykorzystywać zdobycze techniki. Zupełnie inaczej reaguje młody człowiek, gdy ogląda obiekty muzealne w gablotach, a inaczej, gdy do tych obiektów dodamy multimedia. Wówczas zwiedzający niejako uczestniczy w wydarzeniach, o których się dowiaduje. Muzeum powinno być swojego rodzaju kapsułą czasu. Warto się nad tym zastanowić i odpowiednio dobrać proporcje, by uniknąć efekciarstwa, nie zatracić przesłania i nie trywializować treści. ■

PŁK **WIESŁAW KUKUŁA**, DOWÓDCA JEDNOSTKI WOJSKOWEJ KOMANDOSÓW Z LUBLIŃCA

Jednostka Wojskowa Komandosów jest kontynuatorem działania batalionów Armii Krajowej „Zośka", „Parasol" i „Miotła", które brały udział w powstaniu warszawskim. Z żyjącymi bohaterami AK mamy bezpośrednie i przyjacielskie relacje. Mimo różnicy wieku płynie w nas ta sama krew. Chociaż kształtowani inaczej, wyznajemy ten sam system wartości. Ale kontynuowanie tradycji to coś więcej niż noszenie znaków AK na ramionach i sztandarach. Pamiętam, że pewnego dnia jeden z weteranów Armii Krajowej zadzwonił do mnie, by się podzielić swoją radością z faktu, że czytając relację z Afganistanu, zobaczył zdjęcie żołnierza naszej jednostki ze znakiem „Parasola" na ramieniu. Pamiętam kiedy powiedział mi, że po powrocie z Afganistanu powinniśmy pomyśleć o walce o serca i umysły młodego pokolenia.

Jestem pewien, że młodzi Polacy dzisiaj byliby zdolni do podobnych zrywów, jak ich rówieśnicy w 1944 roku. Trudno jednak wymagać od nich, by dali sobie narzucić formę przedstawiania historii dla nich niezrozumiałą. Co warto więc robić? Zachęcać młode pokolenia do bezpośredniego zaangażowania, które przełoży się na identyfikację, a tym samym uczyni pamięć o powstaniu warszawskim żywą. Naszą rolą powinno być umożliwianie im rozwijania świadomości historycznej i obronnej przez osobiste zaangażowanie w różnego typu projekty. Wiele takich pomysłów, związanych z obchodami 70. rocznicy wybuchu powstania warszawskiego, wspiera Jednostka Wojskowa Komandosów, a można się z nimi zapoznać między innymi na naszym profilu „Cisi i skuteczni" na Facebooku. W każdy z nich angażują się setki młodych ludzi. W czasach armii zawodowej stopniowo gaśnie wśród obywateli świadomość odpowiedzialności za bezpieczeństwo państwa. Dlatego też walka o przekazanie systemu wartości i etosu Armii Krajowej nowemu pokoleniu jest również wielką sprawą dla żołnierzy naszej jednostki. ■

MICHAŁ ZADARA, REŻYSER MIĘDZY INNYMI SPEKTAKLU „AWANTURA WARSZAWSKA"

Dzisiaj do młodzieży mówić o powstaniu należy tak samo, jak do starych: przekazując prawdę. Najgorszy sposób przypominania o nim polega na tym, że się nadaje komunikaty emocjonalne, które wykluczają reakcję krytyczną, czyli samodzielną. Historia jest dziś – i była zawsze – wykorzystywana do uzasadniania bieżącej polityki. Zadaniem niepolityków, czyli historyków i artystów, jest takie opowiadanie o przeszłości, które podważa prosty, uporządkowany sposób, w jaki masowe media i państwo podają historię. Na przykład: tak jak kiedyś nie można było mówić o żołnierzach walczących po wojnie przeciwko PRL-owi i ich heroizmie, tak dziś nigdzie nie można przeczytać o bohaterstwie żołnierzy armii Berlinga, czyli 1 Armii Wojska Polskiego. Każde „pamiętacie" jest zawsze równocześnie „zapomnieniem", każda polityka upamiętniania jest zawsze polityką zapominania. My, opowiadacze historii, możemy dbać o to, by jak najwięcej zostało przekazane. A na pewno, zwracając się do młodzieży, nie należy myśleć o tym, że się mówi do młodych ludzi, lecz o tym, żeby mówić prawdę, co nigdy nie jest łatwe. ■

PAWEŁ OSICKI, MUZYK, WOKALISTA I KOMPOZYTOR

Znanym piosenkom patriotycznym i ludowym, jakie znalazły się na płycie „Rozkwitały pąki białych róż", starałem się nadać nowe brzmienie. Pomysł na nagranie tego albumu zrodził się w 2009 roku, inspiracją były rodzinne opowieści i tradycje. Gdy zainteresowałem się polskimi pieśniami patriotycznymi i legionowymi, zauważyłem, że muzyka ta wymaga odświeżenia, nowych interpretacji. Stare piosenki rozebrałem do naga, a potem na nowo je ubrałem. Brzmienie, jakie im nadałem, nie jest już obciążone mistycznym charakterem produkcji archiwalnych. Kilka miesięcy trwały prace nad aranżacją i nagraniami wybranych utworów, potem zaprosiłem Stanisława Soykę i pozostałych muzyków, by nadać utworom finalny kolor i kształt. Ta muzyka oscyluje pomiędzy alternatywą, elektroniką, jazzem i popem. Mam nadzieję, że lepiej przemówi do młodych. ■

PAWEŁ MAŁASZYŃSKI, AKTOR FILMOWY, TEATRALNY I WOKALISTA, ODTWÓRCA GŁÓWNYCH RÓL MIĘDZY INNYMI W WIELU FILMACH O II WOJNIE ŚWIATOWEJ

Historia to wyzwanie i odpowiedzialność. Jest piękna i okrutna, wzruszająca i wstrząsająca. Dzieli się z nami emocjami. Gdy mówimy o historii, mówmy i pokazujmy prawdę. W tej chwili my sami piszemy naszą historię i nie chcielibyśmy, by jej przekaz odbiegał choć trochę od prawdy, nawet gdyby ta miała się okazać bolesna. Każda historia to początek niewiadomej podróży. Najciekawsze jest to, kiedy my sami odnajdziemy przejrzystość postrzegania jej z odpowiedniej perspektywy. ■

ŁUKASZ ORBITOWSKI, PISARZ, AUTOR KSIĄŻKI „WIDMA"

Jak opowiadać o powstaniu młodym ludziom? Wydaje mi się, że do każdego pokolenia należy przemawiać jego językiem. Ta metoda pozwala na ujęcie tematu w sposób nowy i aktualny. Pierwsze jaskółki już się pojawiły. Mam na myśli płytę Lao Che, piosenkę zespołu Sabaton, singiel formacji Laibach, wydany niedawno nakładem Narodowego Centrum Kultury. Dobrym pomysłem był również „Hardkor 44", film, w którym maczałem palce i który, jak na razie, nie jest realizowany. Próbowaliśmy tam mówić o powstaniu językiem kina awanturniczego, nawet heroicznego – moje pokolenie mogłoby to kupić. Problem w tym, że jest to oferta adresowana właśnie do mojego pokolenia. To dzisiejsi trzydziesto-, czterdziestolatkowie słuchają zespołów Laibach i Lao Che. To oni znają „Złoto dla zuchwałych", czyli bezpośrednią inspirację dla „Hardkor 44". Co kręci dzisiejszych nastolatków? Nie mam pojęcia. Trzeba poznać ich język i opowiedzieć nim o powstaniu. Innej drogi nie widzę. ■

W LATACH DZIEWIĘĆDZIESIĄTYCH WYSTĘPUJĄCY NA FESTIWALU W JAROCINIE ZESPÓŁ ANKH WYKONAŁ UTWÓR „BEZ IMIENIA" DO SŁÓW KRZYSZTOFA KAMILA BACZYŃSKIEGO.

JAN OŁDAKOWSKI, DYREKTOR MUZEUM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

Muzeum Powstania Warszawskiego to wyraz hołdu złożonego powstańcom, miejsce gromadzące pamięć o tym wydarzeniu. Naszym głównym odbiorcą jest jednak młody człowiek. Kiedy tworzyliśmy muzeum, zapytaliśmy Jana Nowaka-Jeziorańskiego, jak mamy je budować, a on wówczas odpowiedział: „Budujcie dla młodych, bo my tę historię znamy!". Dlatego staramy się w naszej placówce odwoływać się do emocji, a nie tylko do suchej wiedzy podręcznikowej. Wizyta tutaj powinna zainspirować, wzbudzić ciekawość, ale także zachęcić do poszerzenia swojej wiedzy, na przykład sięgnięcia do jakiejś książki. Co więcej, młodzi ludzie mogą się również spotkać z samymi powstańcami, a także porozmawiać z nimi. Mamy świadomość, że młodych interesuje historia ich ojczyzny, chcą poznać dzieje swoich przodków. Jeśli chodzi o powstanie warszawskie – wciąż jest ono historią żywą, osoby uczestniczące w tym zrywie nadal są wśród nas. Młodzi ludzie mają zatem niezwykłą okazję, aby w muzeum spotkać się ze świadkami historii i poznać powstanie dzięki ich relacjom. ■

JACEK JĘDRZAK, INSTRUKTOR HARCERSKI, STUDENT

Najlepszym sposobem mówienia o historii wśród uczniów jest zachęcenie ich do własnych poszukiwań. Jako członek Grupy Historycznej Gustaw-Harnaś brałem udział w projekcie „Warszawa zbuntowane miasto", realizowanym przez uczniów Gimnazjum nr 6 w Poznaniu. Przez cały rok spotykali się oni z powstańcami, pytania, które zadawali, były bardzo wnikliwe i dojrzałe, jak na wiek tych młodych ludzi. Spotkania, zaplanowane na godzinę, często przeciągały się na kilka kolejnych. Od razu dało się odczuć, że nie były one z listy przygotowanej przez nauczycieli, ale płynęły prosto z serca. Projekt zwieńczyło wystawienie spektaklu. To dzieło, przygotowane przez młodzież, tak chwytało za serce i było tak prawdziwe, że w pewnym momencie ze wzruszenia płakali nie tylko nasi powstańcy, ale też cała publiczność oraz, co się rzadko zdarza, sami występujący. Opis całego przedsięwzięcia oraz jego poszczególnych etapów można znaleźć na stronie projektu. Zawiera bogatą dokumentację fotograficzną. ■

OPRACOWANIE: A. DĄBROWSKA, M. KOWALSKA-SENDEK, M. SCHWARZGRUBER, P. GLIŃSKA, Ł.ZALESIŃSKI, A. FĄFARA

SZLAKIEM BOJOWYM STRZELCÓW KANIOWSKICH

INSCENIZACJA HISTORYCZNA

WALKI OBRONNE 1939

STROŃSKO – BELEŃ ZAGÓRZYCE **SOBOTA 6 IX 2014**

PRZYJDŹ I ZOBACZ INSCENIZACJĘ HISTORYCZNĄ ORAZ WYSTAWĘ WSPÓŁCZESNEGO I HISTORYCZNEGO SPRZĘTU WOJSKOWEGO

INSCENIZACJA HISTORYCZNA

6 IX godzina 17:00

WYSTAWA SPRZĘTU WOJSKOWEGO CZYNNA OD 14:00

7 IX godzina 11:00

UROCZYSTA MSZA POLOWA PRZY KWATERZE WOJENNEJ NA CMENTARZU W STROŃSKU

PATRONAT HONOROWY:

DOWÓDCA 15. SIERADZKIEJ BRYGADY WSPARCIA DOWODZENIA

WOJEWODA ŁÓDZKI

MARSZAŁEK WOJEWÓDZTWA ŁÓDZKIEGO

POLSKIE TOWARZYSTWO HISTORYCZNE

ORGANIZATORZY:

POWIAT ZDUŃSKOWOLSKI

15. SIERADZKA BRYGADA WSPARCIA DOWODZENIA

GMINA ZAPOLICE

STOWARZYSZENIE HISTORYCZNE „STRZELCY KANIOWSCY"

PATRONAT MEDIALNY:

TVP ŁÓDŹ

RADIO ŁÓDŹ

POLSKA THE TIMES Dziennik ŁÓDZKI

Polska Zbrojna

facebook.com/kaniowscy

Fragmenty muralu stworzonego w ramach projektu „63 dni z życia Warszawy". Przed przystąpieniem do prac każdy z artystów otrzymał życiorys i zdjęcie jednego z bohaterów powstania warszawskiego.

Chwała bohaterom nieznanym

Z Grzegorzem Piwnickim o społecznych projektach graficznych związanych z powstaniem warszawskim rozmawia Andrzej Fąfara.

Zyskał Pan rozgłos dzięki projektowi „63 dni z życia Warszawy", upamiętniającemu nieznanych bohaterów powstania warszawskiego. Skąd się wziął ten pomysł?

To był mój magisterski projekt dyplomowy w Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. Pomyślałem w pewnym momencie, że bohaterami powstania są wyłącznie dowódcy oddziałów, czasami żołnierze, którzy wyróżnili się w akcjach. Nic natomiast nie wiadomo o zwykłych uczestnikach, tych, dzięki którym możliwe było codzienne życie w powstańczej Warszawie, i tych, którzy wspomagali działalność konspiracyjną. To oni podrabiali dokumenty, tworzyli materiały informacyjne czy propagandowe. Postanowiłem się też upomnieć o artystów, którzy organizowali spektakle uliczne, grali koncerty. To była spora grupa ludzi, reprezentująca sztuki plastyczne, muzykę, teatr, architekturę.

I co Pan z tym pomysłem zrobił?

Zwróciłem się do Muzeum Powstania Warszawskiego z prośbą o pomoc w zebraniu potrzebnych informacji. Dosta-

łem je bez problemów i mogłem działać. Tak powstała gra on-line „63 dni z życia Warszawy". Zdawałem sobie sprawę z tego, że to nietypowy sposób propagowania wiedzy historycznej. Chciałem jednak w ten sposób dotrzeć do ludzi młodych, przede wszystkim w wieku licealnym. Wiem, jaki stosunek ma młodzież do staroświeckiej dydaktyki. Stąd forma gry oraz grafika nawiązująca do street-artu.

Skąd Pan wie, że to zostało zaakceptowane przez licealistów?

Z liczby odwiedzin strony internetowej, z wielu e-maili. Wiem też, że gra została wykorzystana jako narzędzie dydaktyczne. Bardziej mnie jednak zaskoczyła informacja, którą otrzymałem od jednej ze starszych osób. Pewien dojrzały mężczyzna pochwalił się, że wytatuował sobie logo projektu na przedramieniu. Na dowód przysłał zdjęcie. Dla mnie, artysty, nie ma nic bardziej satysfakcjonującego niż taki odbiór dzieła.

Czy to prawda, że wykonał pan swój projekt społecznie?

Stuprocentowa. Pomagał mi przy nim mój przyjaciel z dzieciństwa Szymon Lesisz, a także kilku znajomych. Czułem, że mam dług wobec miasta, w którym się urodziłem i wychowałem. Także dług wobec ludzi, którzy zapłacili najwyższą cenę podczas trwającej 63 dni walki. Byli bardzo młodzi, mieli przed sobą najwspanialsze lata życia.

Dzisiejsza młodzież zachowałaby się tak samo jak ta z 1944 roku, gdyby zaszła potrzeba?

Trudno powiedzieć. Dziś nie musimy na szczęście podejmować takich decyzji. W czasie pokoju możemy natomiast pielęgnować pamięć o bohaterach tamtych dni, dbać o ich godność. Wychodzę z założenia, że im więcej osób robi coś dla swojego otoczenia, tym nam wszystkim będzie żyło się lepiej. Powinniśmy działać społecznie, bez nakazów. Wyobraźmy sobie, jak wyglądałoby nasze otoczenie, gdyby każdy, w miarę swoich zdolności, zrobił coś społecznie.

Nie poprzestał Pan na „63 dniach z życia Warszawy".

Nowy projekt nazywa się „Most 63" i ma premierę 1 sierpnia. Już nie mój, ale nasz, bowiem udało mi się namówić do współpracy mojego wspólnika z Truest.pl, Piotra Jasińskiego. Postanowiliśmy, że w ramach naszej firmy będziemy tworzyć jeden społeczny projekt rocznie.

Na czym polega „Most 63"?

Projekt opowiada o ludziach zamieszkujących Warszawę, o osobach, z których każda ukochała to miasto na swój sposób. Ma on formę 63 miniatur filmowych, w których wypowiedzi przedstawicieli młodego pokolenia są zestawione z wypowiedziami ludzi starszych – żołnierzy Armii Krajowej, uczestników powstania warszawskiego. Oddaliśmy głos nie tylko Polakom, ale także obcokrajowcom, którzy związali się z Warszawą. Na filmie ci wszyscy ludzie mówią, czym dla nich są takie pojęcia, jak chleb, woda, rodzina, przyjaciele, szczęście czy samotność. „Most 63" przybliża dwa pokolenia, pokazuje historię w nietypowy sposób. Jednocześnie zaprzecza opinii głoszącej, że aby czuć się prawdziwym warszawiakiem, trzeba się tu urodzić. Zdawaliśmy sobie z Piotrem Jasińskim sprawę z tego, że to może ostatnia chwila, by porozmawiać z uczestnikami czy też naocznymi świadkami powstania na tematy, na które dotychczas ci ludzie się nie wypowiadali. Liczymy, że nasze miniatury filmowe będą miały szeroki odbiór, dlatego zrobiliśmy je też w wersji niemieckiej, angielskiej, rosyjskiej oraz dla głuchoniemych.

Znowu społecznie?

Większość kosztów pokryliśmy z własnej kieszeni. Otrzymaliśmy też wsparcie finansowe od jednego z naszych klientów, firmy Inter Cars SA. W promocji pomogła nam agencja Kostrzewa PR. To, że nie wszyscy w dzisiejszych czasach kierują się komercją, napawa optymizmem. Ale powinienem chyba zacząć od tego, że projekt nie zostałby zrealizowany, gdyby nie pomoc Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej. ■

Element projektu – gra on-line opowiadająca o ludziach i zdarzeniach powstańczej stolicy

WIZYTÓWKA

GRZEGORZ PIWNICKI

(rocznik 1981), artysta plastyk, absolwent Wydziału Grafiki warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych. Najbardziej znany z tworzenia okładek płyt, których ma na swoim koncie ponad 80. Działa też pod pseudonimem „Forin".

KRYSTYNA
BARANOWSKA

HOŻA 7

Po latach niewoli cieszył widok chłopców w panterkach z biało-czerwonymi opaskami. Gdy się pomyślało, ile znowu zniszczeń, ilu młodych ludzi zginie, ile ran i krwi... A przecież w pierwszych dniach nie domyślałyśmy się nawet, jakie będą ostateczne rozmiary tej tragedii.

O tym, że powstanie wybuchnie lada dzień, wiedzieli wszyscy. Niemcy również. To się czuło. Kiedy 1 sierpnia około południa ulice zaczęły się wyludniać, mama postanowiła zamknąć sklep. Wracałyśmy w pośpiechu do domu wśród przemykających grupek młodych ludzi z plecakami i chlebakami. Szczęściem z Koszykowej na Hożą nie było daleko.

Pierwsze strzały usłyszałyśmy około osiemnastej. Zaraz też na podwórko naszej kamienicy wniesiono kobietę, którą kula dosięgła pod bramą. Lokatorzy, najpierw z ciekawością wyglądający przez okna oficyny, już po chwili zaczęli się gromadzić na dole. Jeden z sąsiadów objął przywództwo: „Nieście ranną podwórkami na Kruczą, tam się organizuje szpital". Zarządził nadto gromadzenie materiałów opatrunkowych – kto co ma, bandaże, białe płótno, prześcieradła – oraz butelek i benzyny.

Wkrótce cała społeczność z Hożej 7 zajęła się produkcją broni przeciwczołgowej. Robota szła w najlepsze, gdy chłopak z naszej klatki wpadł z wiadomością: „Czołgi w Alejach Ujazdowskich!".

Kilkunastu młodych ludzi chwyciło „granaty" i pobiegło za nim. Wrócili wkrótce, niosąc jednego z kolegów na plecach. Tłumaczyli, że butelki spisują się świetnie, ale nie mogli z nimi podejść odpowiednio blisko. Rana nie wyglądała groźnie, jednakże chłopak zmarł następnego dnia na tężec.

DO POWSTANIA NIE PÓJDZIESZ!

Jeszcze tego samego dnia, przed wieczorem, sąsiedzi przystąpili do budowy barykady, mającej zablokować wjazd z placu Trzech Krzyży na Hożą. Niestety, obyli się beze mnie. Mama ze łzami w oczach zagrodziła drzwi. Z sześciorga rodzeństwa już tylko ja zostałam na stałe w domu. Tatuś umarł trzy miesiące wcześniej, młodszy z braci, Lutek, przebywał w niewoli, starszy, Henryk, utknął gdzieś pod Warszawą. Z sióstr była wprawdzie Zosia, z „cywila" farmaceutka, z powołania siostra zakonna, która wpadła na chwilę, wracając ze szpitala do swego klasztoru. Utknąwszy u nas, włączyła się w robienie granatów. Z braku surowca produkcja zbrojeniowa szybko się skończyła.

Rozpoczęło się przedziwne życie. Gdzieś wokół nas, w mieście, toczyły się walki, a tu wszyscy siedzieli w kamienicy. Do pracy oczywiście nikt nie chodził. Nawet do bramy strach było podejść, bo niemiecki „gołębiarz" strzelał z ukrycia do wszystkiego, co się ruszało. Powstańcy upolowali go po kilku dniach. Po odblokowaniu ulicy przyszli do nas wujostwo Gasińscy. Prowadzili sklep tuż obok, pod jedenastym. Przynieśli ze sobą zapasy żywności i już zostali z nami.

Z rejonów opanowanych przez Niemców docierały do nas straszne wieści o rozstrzeliwaniach, podpalaniu domów i wrzucaniu ludzi w ogień, a także używaniu kobiet i dzieci jako żywych tarcz przed czołgami.

Nasz kawałek miasta był cały czas w rękach powstańców. Szkopy siedzieli wokół, w Alejach Ujazdowskich, w sejmie, w Banku Gospodarstwa Krajowego na rogu Nowego Światu i Alei Jerozolimskich, w Muzeum Narodowym, i prowadzili ogień z budynków. Strzelały też czołgi, działo kolejowe zwane krową, nieustannie spadały też bomby lotnicze. Samoloty w pierwszych dniach krążyły szczególnie nad Starym Mia-

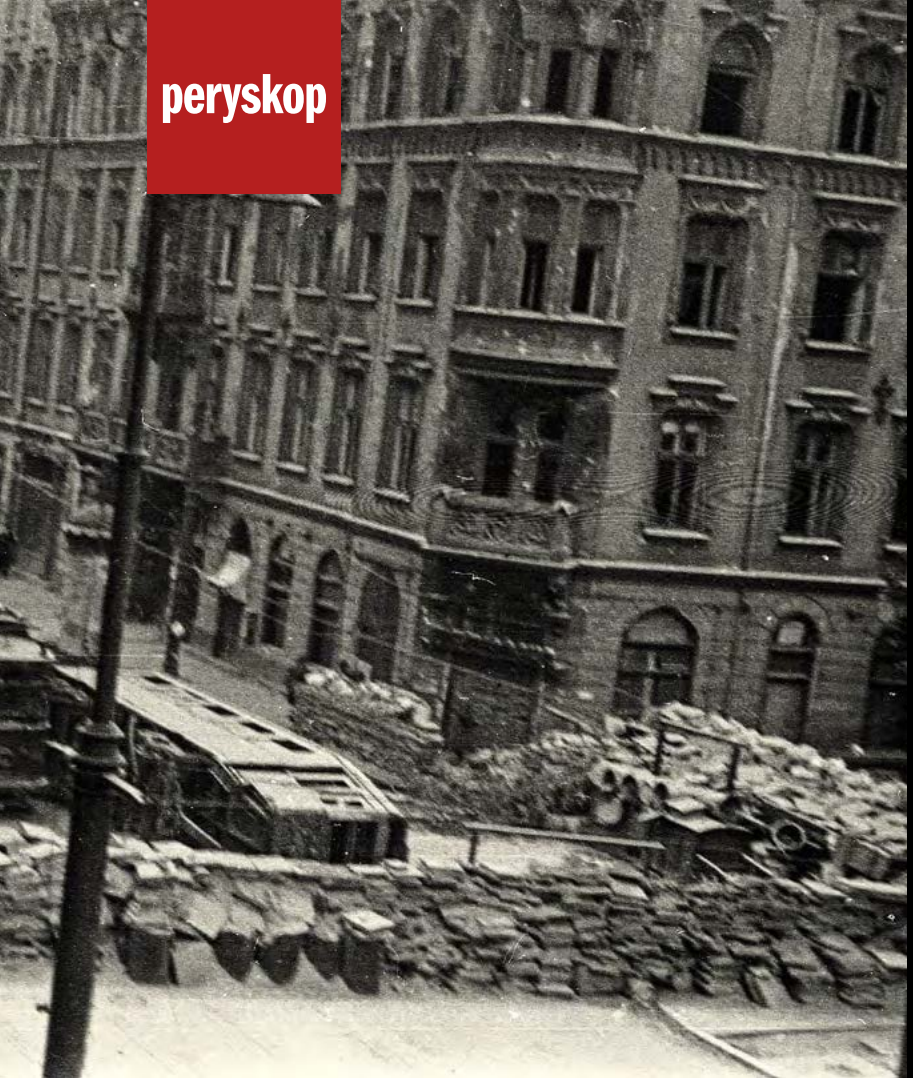

Śródmieście Południowe. Widok ul. Marszałkowskiej od skrzyżowania z Wilczą w kierunku północnym. Na pierwszym planie barykada i unieruchomione tramwaje. Od prawej: wylot ul. Wilczej, dalej kamienica Marszałkowska 66 / Wilcza 34, Marszałkowska 68/70, wylot ul. Skorupki, Marszałkowska 72, wylot ul. Hożej i dalsza zabudowa. Data wykonania: połowa sierpnia 1944 roku. Fot. Marian Grabski „Wyrwa"/ Muzeum Powstania Warszawskiego

Z SZEŚCIORGA RODZEŃSTWA JUŻ TYLKO JA ZOSTAŁAM NA STAŁE W DOMU. TATUŚ UMARŁ TRZY MIESIĄCE WCZEŚNIEJ, MŁODSZY Z BRACI, LUTEK, PRZEBYWAŁ W NIEWOLI, STARSZY, HENRYK, UTKNĄŁ GDZIEŚ POD WARSZAWĄ

GDZIEŚ WOKÓŁ NAS, W MIEŚCIE, **TOCZYŁY SIĘ WALKI**, A TU WSZYSCY SIEDZIELI W KAMIENICY. DO PRACY OCZYWIŚCIE NIKT NIE CHODZIŁ

stem. Podwórkami chodziłam do koleżanki na Mokotowską i z balkonu ze ściśniętymi sercami patrzyłyśmy na bomby setkami lecące na Starówkę.

Syn zmarłej siostry, Mirek, wpadł do domu, żeby się przebrać i umyć. Wraz z Leszkiem i Januszem, dziećmi sąsiadów, byli łącznikami w jednym z oddziałów Armii Krajowej. Mieli po czternaście lat, za duże panterki i zdobyczne, niemieckie hełmy na głowach.

Mirkowi zrobiono w takim ekwipunku zdjęcie, gdy konwojował kilkunastu jeńców niemieckich. Fotografia z tego zdarzenia była publikowana w powojennej prasie. Jednego razu dostali się piwnicami do Banku Gospodarstwa Krajowego w Alejach Jerozolimskich. Budynek był obsadzony szwabami, a ci smarkacze chodzili po piwnicach i kombinowali, jak go wysadzić w powietrze. Niestety, w żaden sposób nie byliby w stanie zgromadzić odpowiedniej ilości materiałów wybuchowych.

Gdy Mirek usnął zmęczony, mama schowała mu hełm, usiadła przy drzwiach i oznajmiła, że więcej do powstania go nie puści. Schował się więc w pokoju i zaczął wiązać linę z prześcieradeł. Bałam się o niego okropnie, ale przekonałam mamę, że chłopak czuje się żołnierzem i żadna siła go nie utrzyma w domu. Lepiej więc, gdy będzie miał hełm na głowie.

TO MIAŁO TRWAĆ KILKA DNI…

Życie ogniskowało się w tym czasie głównie na podwórzu i w piwnicy. Tu krzyżowały się wiadomości, wpadali powstańcy, łączniczki, pielęgniarki ze szpitala, czasem przynoszono prasę, między innymi „Błyskawicę".

– Nasi zdobyli Pastę…
– Nasi zdobyli czołg…
– A dziś w nocy nasi zdobyli pałacyk na Książęcej, na górce. Jeden oddział zajął go wieczorem, drugi, nie wiedząc o tym, szturmował. Dopiero rano zauważyli, że się tłuką między sobą.

Hoża 7, jeszcze daleka od centrum wydarzeń, również nie była oazą spokoju. Naszego kolegę Wojtka trafiła kula, gdy się znajdował na otwartej przestrzeni. Żył, ale znalazł się pod ostrzałem. Dzidka popełzła z noszami na pomoc. Ją również ranili. Nie bacząc na niebezpieczeństwo, podczołgała się do niej Wacka. Mimo że chwilę potem też oberwała, zdołała podciągnąć oboje do bramy. Wkrótce cała trójka leżała na jednej sali w szpitalu. Ich matki, nasze sąsiadki, poszły pielęgnować dzieciaki.

Coraz bardziej brakowało żywności. Znaczną część prowiantu oddaliśmy do szpitala. Bez obaw, że będziemy głodni, bo przecież nasi w kilka dni opanują miasto, zaraz też wkroczą Rosjanie z Pragi… Tymczasem ciągnęły się długie dni i tygodnie, a zwycięstwa nie było widać. Codziennie, przy starej kapliczce lub pod ołtarzem wystawionym przy bramie, zanosiliśmy modły za tych, którzy już zginęli, błagaliśmy o zmiłowanie dla tych, którzy jeszcze żyli. W niedziele cała społeczność brała udział w podwórkowym nabożeństwie.

Nie mieliśmy już niczego oprócz modlitwy. Brakowało światła (szczęściem były karbidówki), żywności, wody, coraz mniej zostawało też nadziei. Po wodę chodziłyśmy z Zosią piwnicami na Wilczą, do pompy. Gromadziły się tam niesamowite tłumy. Bez kolejki drogocenny płyn mogły brać jedynie szpitale i powstańcy. Czekałyśmy po kilkanaście godzin, nie ruszając się ze swych miejsc nawet podczas nalotów. A w domu mama rozpaczała, przekonana, że zginęłyśmy.

Wracając, rozważałyśmy, jak podzielimy każdy litr cennego płynu. Od dawna już nie było mowy o kąpieli, jedynie przecierałyśmy ciała zwilżonym ręcznikiem. Pranie? Lepiej nie mówić.

A ŻEBY WAS, BANDYTÓW…

Pewnego dnia, nie bacząc na ostrzał, przedostałam się do Hali na Koszykach. Zabrałam z naszego sklepu konserwy, a od znajomych ze sklepu obok dostałam jeszcze ryż i kaszę. W domu podzieliłyśmy skarby – część dla nas, część dla walczących. Ciocia Kazia Gasińska również miała ukryte zapasy... i to jakie! Mleko w proszku, jaja, kakao. Nie pozwalała ich ruszać, były przeznaczone na ucztę, którą mieliśmy urządzić już wkrótce, po wkroczeniu Rosjan do miasta.

Ciotka, bardzo pobożna osoba, całymi dniami na przemian modliła się i przeklinała Niemców: „Zdrowaś Mario… a żeby was, bandytów, pokręciło…”.

Zosia, od niedawna siostra zakonna, prosiła: „Ciociu, albo niech się ciocia modli, albo klnie. Takiego mieszania ani my, ani Bóg nie wytrzyma”.

Dotarli do nas powstańcy, którzy cudem przedarli się ze Starego Miasta kanałami. Wyglądali strasznie – brudni, obdarci, poranieni, szarzy. Przeżyli koszmar, za sobą zostawili gruzy i pożary. U Marysi Piotrowskiej zamieszkała koleżanka, łączniczka ze Starówki. Dziewczyna opowiadała straszne historie o walkach, o zasypanym na Freta sztabie Armii Ludowej, o tym jak latarnia przywaliła jej najbliższą przyjaciółkę: „Nie było żadnej siły, żeby ją wydobyć. Ciało od pasa w dół miała pogruchotane i strasznie krzyczała: Baśka dobij mnie! Nie mogłam. Będę ten krzyk słyszała do końca życia”. Po tej opowieści płakałyśmy długo.

Na początku września były imieniny Marychny. Nasz Mirek i jej brat Leszek przynieśli solenizantce w prezencie gruszki. Zebrali je w parku na Frascati. Dopiero później Mirek się przyznał, z jakim narażeniem życia je zdobyli. Po tych imieninach Leszek przestał się pojawiać. Po raz ostatni Mirek

ARCHIWUM RODZINNE

KRYSTYNA BARANOWSKA
URODZIŁA SIĘ W 1925 ROKU, W OSIADŁEJ OD POKOLEŃ W STOLICY RODZINIE KUPIECKIEJ.

Wybuch wojny uniemożliwił jej rozpoczęcie nauki w liceum. Przez całą okupację pracowała w rodzinnym sklepie, uczyła się na kompletach. Podczas bombardowania Śródmieścia straciła pod gruzami domu najbliższą rodzinę. Gdy powstanie warszawskie upadło, została wywieziona do Wrocławia. Ciężko chora, przechodziła rekonwalescencję. Następnie przez osiem miesięcy pracowała niewolniczo przy budowaniu umocnień w obleganym mieście. Po wyzwoleniu wróciła wojskowym eszelonem do Warszawy. Na gruzy. Rozpoczynała życie od nowa. Założyła rodzinę, pracowała początkowo fizycznie, potem w uspołecznionym handlu. Mimo niezwykłej siły i pogody ducha, niewiele mówiła o powstaniu. Wspomnienia, których fragment dziś prezentujemy, spisała dopiero po wielu latach, dla wnuka. Przez całe życie były dla niej zbyt ciężkie i bolesne. Zmarła w 2007 roku.

widział go przed bombardowaniem w YMCA. Sam wtedy cudem ocalał. Państwo Piotrowscy nigdy nie uwierzyli w śmierć syna.

PRZEZ CHWILĘ ŻYŁYŚMY NADZIEJĄ…

Po upadku Starówki Niemcy zaczęli mocniej bombardować Śródmieście. Robili to po swojemu, systematycznie, ulicę po ulicy. Wiedzieliśmy, że wkrótce przyjdzie kolej na nas. Bomby spadały coraz bliżej. Piwnicę naszej, czteropiętrowej, solidnej kamienicy zapełniali bezdomni. Co mogliśmy zrobić? Jak ocalić życie? Proponowałam, by schronić się w gruzach, ale mama wyperswadowała mi ten pomysł. Przecież trzeba gdzieś spać, gotować jedzenie.

Pewnego dnia dotarła do nas wspaniała wiadomość, na Czerniakowie został wysadzony desant. Odetchnęliśmy. Tak więc wkrótce koniec męki. Przez kilka dni żyliśmy nadzieją, wyczekując gazetek powstańczych, jakichkolwiek informacji. Powstańcy mówili o zaciętych walkach… I wreszcie wieść – wybili ich Niemcy. Dopiero po wojnie dowiedziałam się, że w desancie uczestniczyli nasi rodacy, żołnierze 1 Armii Wojska Polskiego.

Po niedawnej euforii załamaliśmy się zupełnie. Powstańcy miasta nie zdobyli, wojska radzieckie nie wejdą, nie ma amunicji, wody, żywności, opatrunków. Za to bomby padały już tak blisko, że mieszkanie było szare od kurzu.

Po osiemnastu godzinach stania w kolejce przyniosłyśmy z Zosią wiadra z wodą i postanowiłyśmy nieco posprzątać. Już się wzięłyśmy do roboty, gdy zaczął się kolejny nalot. Zeszłyśmy do piwnicy, gdzie ciocia i wujek mieszkali na stałe. Mieli tam polowe łóżka, a my nosiliśmy im jedzenie. W korytarzach ustawiono ławki, na których, w wielkiej ciasnocie, ulokowali się bezdomni.

Tego dnia Niemcy ogłosili, że wstrzymują walkę w pewnych godzinach, by umożliwić ludności cywilnej opuszczenie Warszawy. Niektórzy, szczególnie bezdomni, szykowali się do wyjścia. Ale jak można zaufać okupantom? Nadto – nie było Mirka. Nie mogliśmy go zostawić.

Przed drzwiami naszej piwnicy siedziały dwie młode kobiety, siostry, jedna z dwójką maluchów. Szykowały się do wyjścia, gdy nagle matka dzieci dostała ataku histerii: „Uciekajmy! Uciekajmy!”. Druga uspokajała ją, w pośpiechu pakowała dobytek i przy okazji opowiadała, że kobieta ma szczególny dar wyczuwania niebezpieczeństwa. Już kilkakrotnie wyprowadzała wszystkich z domów, gdzie wkrótce stało się coś złego. Po chwili nie było po nich śladu, a nas ogarnęły złe przeczucia.

Za dwie godziny rozpoczęło się bombardowanie. Dał się słyszeć łomot i nagły podmuch zgasił karbidówki. W ciemnościach waliło się wszystko wokół. Usłyszałam swój krzyk: „Jezus Maria!”. Cegły tłukły mnie po głowie i ramionach, przyginały do ziemi. Szarpnęłam się do tyłu i za plecami wyczułam ścianę. Już nie było uderzeń, ale zasypywał mnie gruz i piach, sięgając coraz wyżej, a pył wdziera się do gardła i strasznie dusił.

Wreszcie ustało. Bomby wybuchały gdzieś dalej, a do mnie doszedł słaby głos z głębi piwnicy. „Mamo, żyjesz?”, zawołałam. To nie była mama, lecz ciotka Kazia. Jeszcze raz zawołałam mamę oraz Zosię. Na próżno, a przecież dzieliła mnie od nich jedynie szerokość polowego łóżka. Byłam zasypana niemalże po piersi, ale ręce miałam wolne. Pomacałam nad głową. Skrzyżowały się nad nią klepki wielkiej beczki z kąta piwnicy. Z góry nadal osuwał się gruz, coraz bardziej się dusiłam. „Ciociu, jesteś cała?”, spytałam. „Leżę przysypana, tylko trochę głowy mi wystaje. O Boże, czemu taką straszną śmiercią każesz mi ginąć”, rozpaczała. Modliła się na głos, a ja wołałam o ratunek, wyłam wręcz. Wreszcie jej głos umilkł, a z zewnątrz usłyszałam: „Idziemy, idziemy. Słyszymy”.

Czyżbym zwariowała? A jednak między belkami a gruzem migotała latarka. „A wódkę pani ma? A papierosy pani ma?”, usłyszałam. „Mam, mam!”, krzyczałam. Wyciągnęli blokujące wyjście walizy… Pytali o papierosy i wódkę. Zwariowali?

Wybawcy uciekli po chwili przed kolejnym atakiem bombowców. Podobno byli pijani. Ludzie potem mówili, że nikt trzeźwy nie odważyłby się wejść w to rumowisko.

Szalony strach dodał mi sił. Wyrywałam się tym łatwiej, że miałam na nogach buty oficerki. Słyszałam jedynie, jak za mną osuwało się wszystko z rumorem.

W sąsiedniej piwnicy ginie w tym czasie Januszek, przyjaciel Mirka, zabrany przez rodziców z powstania. Trzy razy odkopywany, udusił się w pyle…

ŚNIŁY MI SIĘ KRYNICE…

Nocowałam na placu między kamienicami. Mimo zaproszeń sąsiadów, nie byłam w stanie podejść do żadnego budynku, przekonana, że za chwilę na mnie runie. Odczuwałam paniczny strach. W czasie kolejnego nalotu chowałam się do dołu i zasłaniałam pokrywką od kotła.

Nie miałam nic własnego, byłam sama, wszyscy zostali pod gruzami. Jadałam po sucharku i kostce cukru dziennie. To dary od głodnych, tak jak i ja, ludzi. Wreszcie odnalazł mnie wujek Stradecki, zaprowadził do lekarza. Okazało się, że mam grypę żołądka. Zmierzono mi temperaturę… Miałam 40° i dwie kreski.

Dopiero po kilku dniach pozwoliłam się zabrać na Wilczą 21 do przyjaciółki, Marysi Kotkowskiej. Przeżyłam tam jeszcze wybuch pocisku z działa kolejowego. Chorowałam i strasznie cierpiałam z braku wody. Miałam majaki, śniły mi się krynice i całe skrzynki lemoniady.

Wreszcie znalazł mnie Mirek. Był już wcześniej na Hożej, chciał się podzielić resztkami żywności. Kamienica runęła, gdy do niej dochodził. Początkowo myślał, że wszyscy zginęliśmy. Teraz nie miał wiele do powiedzenia: „To już koniec. Opuszczamy wszyscy Warszawę. Wychodzę ze swym oddziałem”.

Czternastoletni żołnierz w zdobycznym hełmie, opadającym mu niemal na ramiona, poszedł do niewoli. Opowiadał z goryczą, że jak maszerowali wśród ruin, jedna z kobiet krzyknęła za nimi tragicznym głosem: „Zbrodniarze!”.

Spotkaliśmy się długo po wojnie. Mnie, po obozie przejściowym w Pruszkowie, czekał koszmar wielu miesięcy na „robotach” w oblężonym Wrocławiu. Jego wywieziono do obozu w głąb Niemiec.

Powstanie upadło. 2 października opuszczałam Warszawę razem z rodziną Stradeckich, ale pogubiliśmy się w straszliwym tłoku przy Polach Mokotowskich. Zrobiono tam, w nierozebranej barykadzie, przejście mieszczące co najwyżej dwie osoby. Po wielu godzinach kotłowaniny w falującym tłumie dobrnęłam do tego przepustu.

Byłam nadal ciężko chora. Ze sobą miałam zawiniątko z odzieżą, litrową butelkę wody i laskę, którą się podpierałam. Musiałam budzić litość, bo w pewnej chwili jeden z konwojujących nas Niemców podszedł i pomógł mi nieść tę paczkę. Byłam niewyobrażalnie zaskoczona. ■

ANDRZEJ FĄFARA

Z orzełkiem w sercu

Sztandarową postacią wśród sportowców walczących z okupantem był długodystansowiec Janusz Kusociński. Jako bohaterowie powstania warszawskiego zapisali się oszczepnik Eugeniusz Lokajski i tenisista Ignacy Tłoczyński.

Ignacy Tłoczyński. Wimbledon, czerwiec 1934 roku

Janusz Kusociński, wybitny biegacz, mistrz olimpijski na dystansie 10 km (Los Angeles, 1932), oddał życie za ojczyznę na samym początku wojny. Należał do Organizacji Wojskowej „Wilki", która w pewnym momencie została zdekonspirowana. Niemcy aresztowali Kusocińskiego w marcu 1940 roku. Trzy miesiące później wielki sportowiec już nie żył – został rozstrzelany przez hitlerowców w Palmirach.

Do momentu zatrzymania Kusociński pracował jako kelner w gospodzie Pod Kogutem przy ulicy Jasnej w Warszawie. Lokal cieszył się sporym powodzeniem – któż by nie chciał być obsługiwany przez znanych z pierwszych stron gazet sportowców. Zatrudnieni tam jeszcze byli tenisiści Jadwiga Jędrzejowska i Ignacy Tłoczyński oraz lekkoatletka, brązowa medalistka olimpijska w rzucie oszczepem Maria Kwaśniewska. Tłoczyński wspominał, że Kusociński nie krył się specjalnie ze swoją działalnością konspiracyjną. Zachowywał się dość nonszalancko. Czytał przy stoliku ulotki, wygłaszał antyniemieckie tyrady. Był przekonany, że wojna długo nie potrwa.

POWSTAŃCZY SET

Tłoczyński pochodził z Poznania, gdzie zaczynał też swoją błyskotliwą karierę. Z Warszawą związał się w 1930 roku, gdy został członkiem Legii. Był bez wątpienia najlepszym polskim tenisistą w okresie międzywojennym. Aż pięciokrotnie zdobył tytuł mistrza kraju, reprezentował Polskę w turniejach międzynarodowych, także tych najważniejszych, wielkoszlemowych (awansował do ćwierćfinału na Roland Garros w 1939 roku) oraz w rozgrywkach o Puchar Davisa (43 występy, 26 zwycięstw). W tych ostatnich kilka miesięcy przed wybuchem wojny odniósł dwa spektakularne zwycięstwa nad czołowymi wówczas europejskimi graczami, Hennerem Henkelem i Roderichem Menzlem. Kibice, wypełniający do ostatniego miejsca trybuny kortów Legii w Warszawie, znieśli go do szatni na rękach. Nasi, niestety, przegrali całe spotkanie 2:3, bo drugi z reprezentantów, Adam Baworowski, nie potrafił stawić Niemcom oporu.

W momencie wybuchu wojny Tłoczyński miał 28 lat. Śmierć Kusocińskiego nie zniechęciła go do działalności konspiracyjnej. Został członkiem Związku Walki Zbrojnej, przemianowanego później na Armię Krajową. Miał pseudonim „Igo". Gdy wybuchło powstanie, stanął oczywiście do walki. Już pierwszego dnia wziął udział w zdobyciu koszar SS przy ulicy Koszykowej 38. Wraz z nim w akcji uczestniczyli jeszcze trzej tenisiści: jego młodszy o osiem lat brat Ksawery oraz Czesław Spychała i Antoni

Nazwiska wielu mistrzów sportu, którzy bohatersko walczyli z okupantem w sierpniu i we wrześniu 1944 roku, można znaleźć na liście poległych.

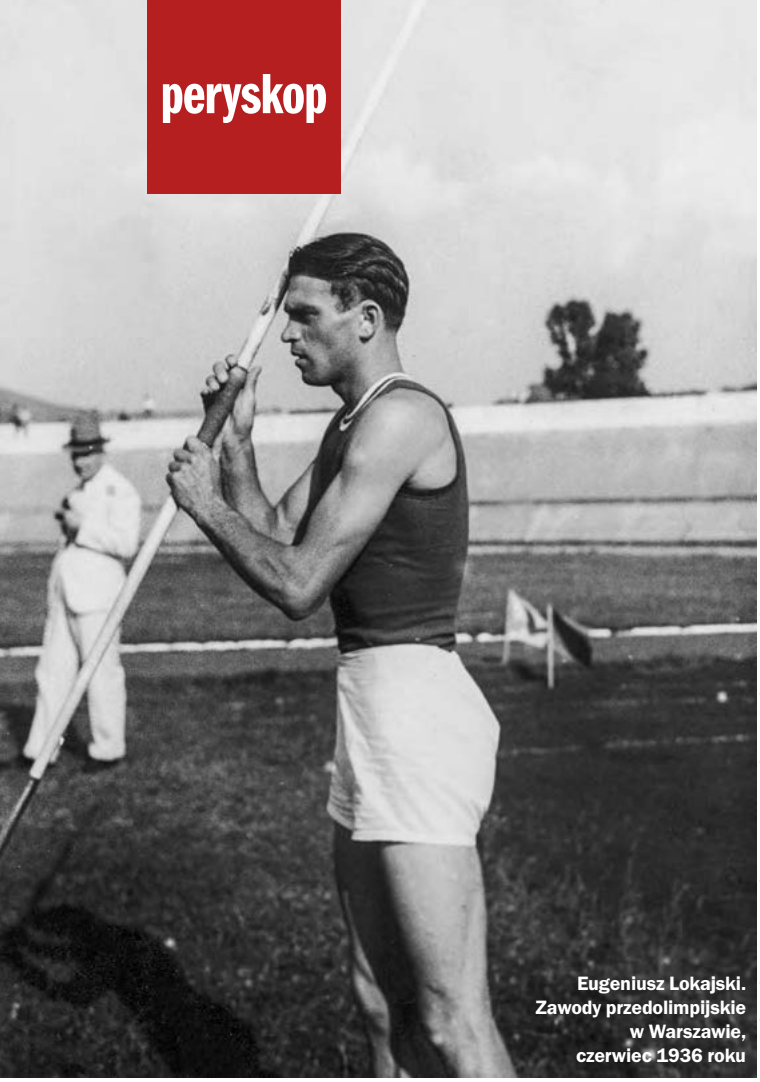

Eugeniusz Lokajski. Zawody przedolimpijskie w Warszawie, czerwiec 1936 roku

NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (2)

Smordowski, a także lekkoatleta Tadeusz Hanke. Wszyscy oni byli żołnierzami sformowanego podczas powstania Batalionu „Ruczaj". Wyposażeni w granaty i butelki z benzyną zdobyli po trwającej 89 min. walce wspomniane koszary, a przy okazji samochód pancerny oraz ciężarówkę z żywnością, ubraniami i medykamentami.

Ranny podczas powstania trafił po kapitulacji do obozu jenieckiego pod Salzburgiem. Po zakończeniu wojny dołączył do korpusu gen. Władysława Andersa, by ostatecznie osiedlić się w Wielkiej Brytanii. Grywał jeszcze w tenisa, uczestniczył wielokrotnie w turnieju wimbledońskim. Kiedy jednak w 1947 roku przyszła z kraju propozycja, by wystąpił w meczu o Puchar Davisa przeciw Brytyjczykom, odmówił. Konsultował ponoć tę decyzję z gen. Andersem, któremu nadal podlegał jako wojskowy. Trudno się tej odmowie dziwić. W styczniu 1947 roku odbyły się w Polsce sfałszowane wybory, po których już nikt nie miał wątpliwości, jak będzie wyglądała przyszłość kraju.

Ignacy Tłoczyński nigdy nie wrócił do Polski. Nawet po zmianie ustroju w 1989 roku. Mieszkał w Edynburgu, gdzie pracował jako trener w klubie Craiglockhart. Zmarł w 2000 roku w wieku 89 lat. Jego brat Ksawery pozostał natomiast w kraju, występował z dobrym skutkiem na korcie (był niezłym deblistą), a po zakończeniu kariery zyskał renomę jako trener.

Z BRONIĄ I APARATEM

Można się zastanawiać, czy Ignacy Tłoczyński zetknął się podczas powstania z innym wybitnym sportowcem, Eugeniuszem Lokajskim. Wygląda na to, że nie (brak jakichkolwiek przekazów na ten temat), choć wiadomo, że znali się sprzed wojny. Lokajski był o trzy lata starszy, pochodził ze stolicy. Po ukończeniu gimnazjum im. Mikołaja Reja rozpoczął studia w Wyższej Szkole Handlowej, a jednocześnie podjął pracę urzędniczą w policji. Potem jednak był skłonny poświęcić się karierze wojskowej. Ukończył Szkołę Podchorążych Rezerwy Piechoty w Zambrowie z wynikiem celującym. Później był szkolony na stanowisko dowódcy plutonu w 35 Pułku Piechoty w Brześciu nad Bugiem. Po odbyciu służby wojskowej miał już jednak nowy pomysł na życie. Rozpoczął studia w Centralnym Instytucie Wychowania Fizycznego (obecnie AWF), które ukończył w 1934 roku.

Już wtedy był wyróżniającym się sportowcem. Próbował różnych konkurencji, ale najlepsze wyniki uzyskiwał w rzucie oszczepem. Pobił w tej specjalności rekord Polski (73,27 m w 1936 roku), który poprawił dopiero po 17 latach wielki mistrz Janusz Sidło. Rekordowy rezultat Lokajskiego był wtedy jednym z najlepszych na świecie. Polak należał do faworytów olimpijskiego konkursu rzutu oszczepem w Berlinie (1936), ale nie spełnił oczekiwań, bo zajął siódme miejsce (na 17 startujących). Powodem była odnawiająca się kontuzja. Niemiec Gerhard Stöck, który zdobył złoty medal, uzyskał wynik o 2 m gorszy od rekordu Polaka. Lokajski nie osiągnął w sporcie sukcesów na miarę swojego talentu. Cierpiał na przewlekłą chorobę ucha, przeszedł nawet trepanację czaszki. To sprawiło, że przedwcześnie zakończył karierę.

ŚMIERĆ POD GRUZAMI

We wrześniu 1939 roku trafił do wspomnianego wcześniej 35 Pułku Piechoty jako dowódca plutonu w stopniu podporucznika rezerwy. Wzięty do niewoli w rejonie Brześcia, zbiegł i wrócił do Warszawy. Prowadził zakład fotograficzny, co miało związek z jego drugą, obok sportu, wielką życiową pasją. Do konspiracji go na początku jakoś nie ciągnęło. W AK działał natomiast młodszy brat Eugeniusza, Józef. Też oszczepnik zresztą, brązowy medalista mistrzostw Polski juniorów z 1937 roku. Zginął w potyczce z Niemcami w grudniu 1943 roku. Dopiero wtedy Eugeniusz wstąpił do AK. Został zaprzysiężony w styczniu 1944 roku, miał pseudonim „Brok".

Od początku powstania był oficerem łącznikowym Komendy Obszaru Warszawa AK. Wystarał się o upoważnienie do noszenia i używania aparatu fotograficznego i kamery filmowej. Korzystał z tego zezwolenia niemal bez przerwy. Dzięki temu zachowało się kilkaset zdjęć autorstwa Eugeniusza Lokajskiego. Są znakomitym dokumentem przebiegu walk, życia powstańców, a także hitlerowskich zbrodni.

30 sierpnia Lokajski objął dowództwo plutonu w Kompanii „Koszta" (Kompania Ochrony Sztabu Obszaru Warszawa). Zginął tuż przed końcem powstania (29 września) pod gruzami zbombardowanego domu przy ulicy Marszałkowskiej 129.

Eugeniusz Lokajski i Ignacy Tłoczyński to najbardziej znane sportowe postaci spośród uczestników powstania warszawskiego. Mistrzów sportu, którzy bohatersko walczyli z okupantem w sierpniu i we wrześniu 1944 roku, było oczywiście więcej. Nazwiska wielu w nich można znaleźć na liście poległych. Wszyscy w tych tragicznych chwilach udowodnili, że nosząc orzełka na piersi, mieli go także w sercu. ■

ARCHIWUM PZ (3)

ANNA DĄBROWSKA

Powstanie na szpaltach

Nadszedł dzień, na który w męce i zaciętości czekaliśmy pięć długich lat. Zorza wolności wschodzi nad stolicą Polski.

Z dnia na dzień Warszawa zrzuca z siebie znienawidzone zewnętrzne objawy okupacji. Zrywane są tabliczki z idiotycznymi nazwami ulic, diabli wzięli godzinę policyjną, stuliły pysk megafony. Na oswobodzonych ulicach na każdym domu polska chorągiew", pisano 4 sierpnia 1944 roku w „Biuletynie Informacyjnym" Armii Krajowej. W pierwszych dniach powstania gazeta podawała praktyczne rady dotyczące walki z okupantem. „Z braku amunicji przeciwczołgowej ludność cywilna powinna przygotować sobie do walk z czołgami niezawodne butelki zapalające", czytamy. Dalej następował dokładny opis, jak takie butelki zrobić i jak je przechowywać. „Rzucenie butelki na czołg daje wynik podobny do rzutu filipinką", zapewniał autor tekstu.

5 sierpnia biuletyn wzywał z kolei do budowy barykad. „Układać je należy z płyt chodnikowych na płasko i tylko na skrzyżowaniach ulic skośnie od rogu do rogu, pozostawiając pod murami przejście dla żołnierzy", pouczano. Niedługo potem szef sanitarny okręgu warszawskiego zwracał uwagę komendantów domów, aby wykuwane w ścianach otwory, łączące piwnice, miały szerokość pozwalającą na transport rannych na noszach.

Pojawiały się też nowe udogodnienia. „Nieliczne aparaty telefoniczne są czynne. Należy używać ich z największą ostrożnością, ponieważ Niemcy siedzą jeszcze w centrali i mogą stosować podsłuch", informowano. Działała też poczta harcerska i polowa. „Wysyłane listy nie mogą przekraczać 25 słów, należy pisać je wyraźnie i nie wolno podawać żadnych wiadomości wojskowych", instruował biuletyn. W uwolnionych dzielnicach Warszawy czynne były też ruchome rozgłośnie megafonowe. „Informują o przebiegu walk i wydarzeniach w kraju. Audycje przeplatane są wojskowymi piosenkami i marszami".

SCHRONOWI DEZERTERZY

Dziennikarze tłumaczyli warszawiakom, że czas opanować nerwy i wrócić do normalnego życia. „Trzeba opuścić piwnice, które tylko w razie nalotu winny stanowić schronienie. Teraz, kiedy całe dzielnice miasta opanowane są przez oddziały AK, trzeba zamieść podwórka, klatki schodowe i ulice, uprzątnąć gruz i szkło, gdzie to tylko możliwe otworzyć sklepy i rozpocząć normalną sprzedaż. Uruchomić zakłady rzemieślnicze, szewskie i fryzjerskie, otworzyć jadłodajnie". Nie wszyscy jednak posłuchali tych rad, bo po kilku dniach pojawił się artykuł o schronowych dezerterach. „To osoby, które w ogóle nie opuszczają piwnicy. Wtedy schron staje się centralą bzdurnej plotki i nastrojów pesymistycznych, dlatego nie wolno spędzać tam całych dni", pouczano. Zachęcano także do włączenia się w pomoc powstańcom, a okazji ku temu nie brakowało: „Wojskowa Służba Kobiet poszukuje ochotniczek do pralni i szwalni"; „Do służby sanitarnej potrzebne są osoby wykwalifikowane"; „Wzywa się niezatrudnionych chirurgów do zgłaszania się do pracy w szpitalach"; „Potrzebna jest skuteczna organizacja samopomocy społecznej dla osób pozbawionych przez naloty dachu nad głową". Tłumaczono też, że nie wolno lekceważyć żadnego zadania. „Najbardziej szary posterunek stanowi niezbędne kółko w ogólnym mechanizmie maszyny powstańczej".

PIASEK NA STRYCHU

Z lektury biuletynu wynika, że głównym zagrożeniem pierwszych tygodni walk były bomby zapalające, dlatego informowano, jak sobie z nimi radzić. „Nie wolno poddawać się panice. Nie wolno uciekać z domów, którym grozi pożar. Bomby zapa-

W czasie okupacyji "Biuletyn Informacyjny" był wydawany jako tygodnik, a podczas powstania warszawskiego jako dziennik.

BIULETYN INFORMACYJNY

WYDANIE CODZIENNE

Dowódca Armii Krajowej dał rozkaz do walki z wrogiem

ŻOŁNIERZE STOLICY

Wydałem dziś upoważniony przez Was rozkaz do jawnej walki z odwiecznym wrogiem Polski, najeźdźcą niemieckim. Po pięciu blisko latach nieprzerwanej i twardej walki prowadzonej w podziemiach konspiracji stajecie dziś otwarcie z bronią w ręku, by Ojczyźnie przywrócić Wolność i wymierzyć zbrodniarzom niemieckim przykładną karę za terror i zbrodnie dokonane na ziemiach Polski.

Warszawa, 1.VIII-1944 r. Dowódca Armii Krajowej (-) Bór

NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

lające nie są groźne, ogień można i trzeba ugasić. Główny ratunek przy pożarze polega na przestrzeganiu zasady, że mieszkańcy muszą sami obronić swój dom". Autor tekstu tłumaczył, że na strychach musi trwać nieprzerwany dyżur, a w budynku działać drużyna przeciwpożarowa gotowa do akcji całą dobę. „Bomby zapalające zwalczać należy piaskiem. Użycie wody może spowodować rozszerzenie się ognia. Dlatego dach i strychy domów należy przykryć grubą warstwą piasku i mieć jego zapas na każdym piętrze i na podwórku. Po upadku bomby obserwator na dachu alarmuje umówionym sygnałem drużynę, która najpierw gasi pożar we własnym domu, potem rusza na pomoc sąsiadom".

Z upływem dni pojawiały się kolejne problemy. „Należy się liczyć z tym, że podjęte przez Niemców bombardowanie miasta może spowodować dalsze uszkodzenia sieci wodociągowej. Trzeba więc robić jak największe zapasy wody, wykorzystując do tego wszystkie domowe zbiorniki". Proszono też o używanie wody tylko do najkonieczniejszych potrzeb i w najmniejszej niezbędnej ilości.

Wkrótce zaczęły powstawać studnie zastępcze. „Wodę z nich pić można tylko po przegotowaniu. Picie surowej grozi bowiem czerwonką lub durem brzusznym, a w konsekwencji prowadzi do epidemii", przestrzegali dziennikarze. 1 września ustalono godziny korzystania ze studzien, aby zapobiec sporom o pierwszeństwo: „wojsko 6–7 i od 21.30 do 23, kuchnie 5–6, 15–16, szpitale 4–5 i 20–21.30, ludność 7–15, 16–20".

Kolejną kwestią do rozwiązania było wyżywienie. „Gospodarstwa prywatne i niektóre kuchnie zbiorowe sięgnęły już do konserw. Jest to przedwczesne. Dopóki mamy wodę, możemy gotować kasze, kluski, fasolę i groch", zachęcał autor tekstu z 12 sierpnia. Jak dodawał, chleb, suchary i konserwy należy zarezerwować na wypadek braku wody. Pouczał też, aby ostrożnie korzystać z żywności pozostawionej przez cofających się Niemców, gdyż zdarzały się nawet śmiertelne wypadki zatrucia.

Biuletyn zachęcał również do oszczędzania prądu i stosowania dogotowywaczy, w których dochodzić mogą potrawy. Jak tłumaczono, można je zrobić z przykrywanej skrzyni wypełnionej papierem, sianem czy szmatami. Oszczędności służył też wspólny wypiek chleba u piekarzy z zebranej przez komitety domowe mąki. „Z 1 kg mąki wychodzi 1,3 kg chleba, nadwyżki będą przekazywane dla pogorzelców i wysiedleńców".

19 sierpnia gazeta doniosła, że głodują w mieście nowo narodzone dzieci. „Niemowlęta umierają z braku mleka. Jeśli posiadacie mleko skondensowane, kaszę manną dobrą dla osesków, zgłaszajcie się z nimi do kuchni dziecięcych na Zgoda 15 i Złota 34". Cztery dni później okazało się, że apel spotkał się z szerokim odzewem. „Już w pierwszych dniach zebrano kilkadziesiąt puszek mleka skondensowanego, pewną ilość manny i różnych pożywek".

Po kilku tygodniach pojawiło się też niebezpieczeństwo epidemii. Jak pouczano na łamach dziennika, aby jej uniknąć, należy ściśle przestrzegać higieny osobistej, kąpieli, zmieniania bielizny i częstego mycia rąk. „Odpadki i śmieci winny być natychmiast spalane, a zwłoki jak najszybciej pogrzebane na najbliższym skwerku czy podwórzach". Apelowano też o budowę ustępów polowych w ogródkach i niezabudowanych parcelach. „Należy wykopać głęboki dół, a nad nim na wysokości 50 cm zamocować na dwóch kozłach drąg do siedzenia, osłonić wszystko zasłoną desek lub szałasem z gałęzi. Ustawić wiadro z piaskiem i łopatę, i każdy po użyciu powinien dół zasypać".

PROSI O WIADOMOŚĆ

Bardzo szybko szpalty gazety zaczęły zapełniać ogłoszenia o poszukiwaniu zaginionych. „Codziennie wpływa do nas około tysiąca informacji o poszukiwaniach. Drukować możemy co najwyżej 130–150 z nich", informowała redakcja. Jednocześnie apelowano, aby egzemplarzy pisma nie niszczyć, ale nalepiać na murach, aby jak najwięcej osób mogło je przeczytać.

Warszawiacy najczęściej prosili o informacje: „Andrzej lat 10 i Zosia lat 8, dajcie znać o sobie i kierujcie się na Pańską 13. Wasi rodzice żyją i czekają na was". „Tytusowa jest w schronie Złota 5 i błaga o wiadomość o Pawełku i rodzicach". Wiadomość o zaginionej Wandzie Skalskiej, lat 10 kierować na Czackiego 3". „Karolina Budzyńska prosi o wiadomość o synu, Sienna 32".

Zdarzały się też wiadomości pomyślne: „Podchorąży Tadzik jest zdrów". „Suchocki Tadeusz zawiadamia Irenę, że żyje". „Stawe Wanda zawiadamia, że wszyscy żyją". Z upływem czasu oraz więcej było jednak informacji tragicznych: „Matka zabitego Wiktora Terleckiego prosi Jana Wiśniewskiego o odnalezienie grobu i dokumentów". „Karola i Martę zawiadamia Andrzej, że Bogusław, ranny 2 sierpnia, umarł w Maltańskim".

Wreszcie 1 października gazeta podała: „W związku z trudnym pod względem żywnościowym, sanitarnym i taktycznym położeniem walczącej już dwa miesiące Warszawy polskie władze dla zmniejszenia strat ludności cywilnej przyjęły niemiecką propozycję ewakuowania z miasta cywilów, rannych i chorych". Poinformowano, że opuszczanie miasta odbywać się będzie 1 i 2 października od piątej rano do siódmej wieczór. „W godzinach tych obie strony zaprzestaną ognia". ■

NORBERT BĄCZYK

Z szacunkiem do faktów

Jednym z najsilniejszych mitów współczesnych, dotyczących powstania warszawskiego, jest ten o zatrzymanej przez Stalina nad Wisłą Armii Czerwonej.

Czekamy ciebie czerwona zarazo, byś nas wybawiła od czarnej śmierci", napisał w tragicznych, sierpniowych dniach powstania Józef Szczepański „Ziutek", żołnierz Batalionu „Parasol", znany głównie jako autor piosenki „Pałacyk Michla". Daremne było jednak to oczekiwanie. Armia Czerwona nie tylko nie zamierzała pomóc okrążonym w ginącym mieście powstańcom, ale też z premedytacją czekała, aż zostaną wybici przez Niemców. Znajdujące się na tyłach frontu, po radzieckiej stronie, oddziały NKWD, jeszcze w lipcu otrzymały rozkaz likwidacji wszystkich oddziałów Armii Krajowej, także tych chcących teraz spieszyć na pomoc Warszawie. Józef Stalin, który za namową brytyjskiego premiera Winstona Churchilla przyjął w pierwszych dniach sierpnia 1944 roku w Moskwie premiera rządu RP Stanisława Mikołajczyka, wkrótce po jego wyjeździe otwarcie zadeklarował, że ZSRR i Armia Czerwona „odcinają się od awantury warszawskiej".

Nie było kluczenia ani udawania – Stalin wprost ogłosił, że AK jest organizacją wrogą i nie będzie jej pomagał ani bezpośrednio, ani pośrednio, na przykład udzielając zgody na loty z Zachodu samolotów z zaopatrzeniem. Rzucono hasło: „skoro faszyści biją się między sobą, po co im przeszkadzać?". Tymczasem wobec tego, co w mieście wyrabiały niemieckie jednostki pacyfikacyjne, bierność Stalina skazywała na zagładę nie tylko wrogie mu politycznie oddziały AK, lecz także niemal całą ludność milionowego miasta.

Wyzwalanie Pragi przez żołnierzy Armii Czerwonej i Wojska Polskiego, wrzesień 1944 roku

NAJCZĘŚCIEJ STALIN URASTA DO ROLI DEMIURGA, KTÓRY JUŻ PRZED WYBUCHEM INSUREKCJI PRZEWIDZIAŁ JEJ DRAMATYCZNY KONIEC

Stalin nie chciał pomóc powstaniu w Warszawie. Ten znany fakt we współczesnej dyskusji na temat roli ZSRR w klęsce polskiej insurekcji całkowicie jednak przyćmił pytanie, czy pomóc mógł. W czasach PRL-u historycy twierdzili, że ta pomoc – niezależnie od poglądów i woli dyktatora z Kremla – nadejść nie mogła, bo wykluczała ją sytuacja na froncie. Po 1989 roku wahadło odchyliło się w drugą stronę. Stopniowo rodziło się – poprzez wyrażane opinie – nie tylko przeświadczenie o realności takiej pomocy, lecz wręcz skrajne przekonanie, że gdyby nie powstanie, Armia Czerwona latem 1944 roku oprócz tego, że przekroczyłaby Wisłę, doszłaby nawet do Berlina.

Wspólną cechą tych dyskusji, prowadzonych zarówno przed zmianami ustrojowymi, jak i po nich, był brak argumentacji opartej na faktach, zastąpionej ideologią. Czytelnik poszukujący obiektywnych informacji miał trudne zadanie, dlatego że na przykład ci sami historycy wojskowości, w zależności od tego, czy ich książki wydano w latach osiemdziesiątych, czy dziewięćdziesiątych XX wieku, wyrażali na jeden temat sprzeczne opinie. Taka sytuacja trwa do dziś i w większości współczesnych opracowań poświęconych zewnętrznym okolicznościom powstania próżno szukać wyważonych tez i merytorycznego przekazu faktów. Doszło do paradoksu – o powstaniu pisze się i mówi dużo, ale rzeczowa podbudowa jest bardzo słaba, zwłaszcza gdy w grę wchodzi kwestia Armii Czerwonej, ZSRR i radzieckiego dyktatora.

Najczęściej Stalin urasta do roli demiurga, który już przed wybuchem insurekcji przewidział jej dramatyczny koniec, a być może przez swych agentów był nawet jej inspiratorem i w ten sposób zniszczył AK rękami Niemców. Jednocześnie, nawet jeśli odrzuca się aż tak skrajne przekonania, to i tak odium, jakie spada na Stalina w związku z nieudzieleniem powstaniu pomocy, pozwala racjonalizować decyzje polskich dowódców o jego wywołaniu. W tym kontekście to właśnie brak wsparcia ze strony Armii Czerwonej staje się nagle główną przyczyną polskiej klęski. Jest więc ona wynikiem domniemanej zdrady i osamotnienia, a nie konsekwencją własnych, nieprzemyślanych wyborów czy myślenia życzeniowego.

BADANIA ŹRÓDŁOWE

Polskich historyków, którzy zgromadzone dziś w archiwum rosyjskiego ministerstwa obrony w Podolsku akta Armii Czerwonej wertowali w kontekście powstania warszawskiego, policzyć można na palcach obu rąk. Przez lata główny wysiłek naszych placówek badawczych wysyłających naukowców do Rosji był skierowany na zajmowanie się sprawą katyńską. Na badania tragicznego roku 1944 zabrakło już sił lub pomysłu. Nie może →

Zdobyczne czołgi PzKpfw V Panther w wyposażeniu oddziału gwardii por. Sotnikowa. Przedpola warszawskiej Pragi, sierpień 1944 roku

więc dziwić fakt stopniowego umacniania się w odbiorze społecznym stereotypów. W dyskusji o roli w tamtych wydarzeniach Armii Czerwonej niechętnie przywołuje się informacje, że w czasie trwania powstania 1 Front Białoruski marsz. Konstantego Rokossowskiego, którego armie doszły do Wisły i Narwi, stracił w ciągu dwóch miesięcy 200 tys. żołnierzy – w tej liczbie byli zabici, ranni, zaginieni i chorzy. Uzupełnienia sięgnęły 130 tys. ludzi, co dla grupy armii liczącej ponad 900 tys. żołnierzy nie oznaczało ostatecznie jakiegoś straszliwego ubytku, ale jest dowodem niezwykle zaciętych walk. Armia Czerwona – co słusznie i zgodnie z faktami podkreślali historycy komunistyczni – nie stała z bronią u nogi nad Wisłą, lecz wyprowadzała przez cały okres powstania zacięte ataki – na Wyszków, Radom, Łomżę, Pułtusk. Niektóre z tych miast zdobyła po tygodniach morderczych walk.

Historycy przemilczali kiedyś to, że Rokossowski atakował przez cały sierpień wszędzie, tylko nie Warszawę. Innymi słowy Stalin nie zatrzymał ofensywy Armii Czerwonej z powodu powstania. On nakazał wyłączyć z pasa natarcia jedynie stolicę – i czekać, aż Niemcy zniszczą AK. Ta decyzja radzieckiego dyktatora w praktyce oznaczała zamienienie Warszawy w arenę długich i morderczych walk, bo Wehrmacht nie wysłał do tłumienia insurekcji ani jednej swej dywizji. Zamiast tego skierowano na miasto oddziały policyjne i kolaboranckie o niskiej wartości bojowej, które tygodniami musiały łamać heroiczny, ocierający się o fanatyzm, opór polskich powstańców. Dowódca wojsk pacyfikacyjnych Erich von dem Bach cały czas prosił o przysłanie do Warszawy choć jednej liniowej dywizji, by wreszcie skończyć z bohaterskimi obrońcami, ale stale mu odmawiano. Wszystkie regularne związki taktyczne brały bowiem udział w walkach z Armią Czerwoną. Gdy wreszcie 10 września 1944 roku Stalin, pod naciskiem brytyjskim, zezwolił na szturm i Armia Czerwona zajęła Pragę, Wehrmacht wprowadził do lewobrzeżnego miasta swe dywizje pancerne i w dwa tygodnie zdusił powstanie – wówczas już wspomagane radzieckim zaopatrzeniem (wbrew pozorom to właśnie broń i amunicja z tych zrzutów stanowiły pod koniec walk większość uzbrojenia powstańców) oraz artylerią zza Wisły.

NIEJEDNOZNACZNA OCENA

Czy Armia Czerwona mogła zatem pomóc powstaniu, gdyby istniała taka wola w Moskwie? Odpowiedź na to pytanie jest niezmiernie trudna i niejednoznaczna. Pierwsze natarcie wojsk radzieckich na Pragę – to z przełomu lipca i sierpnia 1944 roku – Niemcy zdecydowanie odparli. Potem przez cały miesiąc następnego nie było. Na froncie na warszawskich przedmieściach zapanowała cisza.

Gdyby udzielono zgody na lądowanie alianckich samolotów z zaopatrzeniem i wysłano nad miasto własne myśliwce, stanowiłoby to znaczne wsparcie dla powstańców, militarnie jednak nie zmieniłoby końcowego efektu walki. Gdyby zaś w połowie sierpnia, po koniecznym przegrupowaniu, Armia Czerwona uderzyła na Pragę, a nawet sforsowała Wisłę koło Góry Kalwarii i Wilanowa, a następnie ruszyła na Warszawę od wschodu i południa, wynik bitwy wciąż pozostawałby otwarty. Warto pamiętać, że Rokossowski bardzo chciał w sierpniu zdobyć Radom. Niemcy nie pozwolili mu jednak na to, eliminując 25 tys. radzieckich żołnierzy na przyczółku warecko-magnuszewskim. Warszawy broniliby równie zajadle, z innych frontów kierując alarmowo kolejne dywizje. Być może zostaliby wyparci z miasta, ale koszt zwycięstwa byłby duży. Nawet najlepsza wola Stalina nie uchroniłaby bowiem warszawiaków od rzezi mieszkańców Woli i mordów na Ochocie z początków powstania, w których zginęło kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Uniknąć można było natomiast późniejszych masowych ofiar – zwłaszcza piekła Starego Miasta.

Często w kalkulacjach nie uwzględnia się tego, że chęć Stalina zajęcia Warszawy, oznaczająca wzmożoną aktywność Armii Czerwonej na przedmieściach miasta, musiała wywołać równie zdecydowaną postawę Hitlera – obrony nowymi środkami. W rzeczywistości nazistowski dyktator nie musiał ich użyć. Wprawdzie w styczniu 1945 roku Rosjanie przełamali front na Wiśle w ciągu kilku dni, a Niemcy nie bronili ruin polskiej stolicy. Wówczas jednak sytuacja była inna niż latem 1944 roku. Armia Czerwona zaatakowała po długich przygotowaniach dużo większymi siłami. Wehrmacht był z kolei znacznie słabszy na tym odcinku niż kilka miesięcy wcześniej.

Smutna konkluzja jest taka, że powstanie warszawskie trwało aż 63 dni głównie z powodu decyzji Stalina. Najpierw, w sierpniu, wstrzymał ataki Armii Czerwonej na Warszawę, ale kazał kontynuować ofensywę wszędzie indziej. W efekcie Niemcy musieli zaangażować do walk z Rosjanami wszystkie wartościowe siły, pacyfikację zbuntowanego miasta pozostawiając oddziałom najgorszego autoramentu. Zbyt słabym, aby szybko zdusić heroiczny opór powstańców. Potem, gdy dowództwo AK chciało skapitulować, Stalin zaatakował Warszawę, dając fałszywą nadzieję na ostatecznie zwycięski wynik bitwy. Przyniosło to kilka tygodni dalszych, niepotrzebnych cierpień. W wymiarze operacyjnym i strategicznym powstanie nie powstrzymało Armii Czerwonej w marszu na zachód nawet na jeden dzień. Ofensywę Stalina latem 1944 roku na Wiśle zatrzymał bowiem Wehrmacht. Nie na długo. Te kilka miesięcy stało się jednak czasem tragicznym w najnowszej polskiej historii. ■

DATA: sobota, 23 sierpnia 2014

START: Rynek w Sobótce, godz. 11:00 • **META:** DT „ Pod Wieżycą"

PATRONAT HONOROWY: *Lidia Lwow-Eberle, Weronika Sebastianowicz, Zbigniew Lazarowicz*

PATRONAT INSTYTUCJONALNY: *Burmistrz Miasta i Gminy Sobótka, Komendant Centrum Szkolenia Wojsk Inżynieryjnych i Chemicznych im. gen. Jakuba Jasińskiego we Wrocławiu, Przewodniczący Zarządu Regionu Dolny Śląsk NSZZ „Solidarność"*

DYREKTOR BIEGU: *Wiesław Drozdowski*

PIERWSZY BIEG PO ULICACH I TRAKTACH LEŚNYCH MASYWU ŚLĘŻY

DYSTANS: 10 km

- W ramach biegu prowadzona będzie punktacja Ligi Garnizonowej Garnizonu Wrocław.
- Dla wszystkich uruchamiamy specjalny pociąg na trasie **WROCŁAW - SOBÓTKA (wyjazd: 8.00), SOBÓTKA - WROCŁAW (wyjazd: 17.30)**

IMPREZY TOWARZYSZĄCE:

- Zawody Cross Country Nordic Walking
- Biegi krótkodystansowe dla dzieci i młodzieży na 0,5; 1; 2 km
- Koncert zespół „FORTECA"
- Wystawy, konkursy, pokazy

SPONSORZY:

PATRONI MEDIALNI:

PARTNERZY:

TADEUSZ WRÓBEL

W KRAINIE NORMANDZKICH ŻYWOPŁOTÓW

Gdy w Komendzie Głównej Armii Krajowej w ostatnich dniach lipca 1944 roku trwały narady dotyczące powstania w Warszawie, na Zachodzie rozpoczynała się decydująca faza bitwy o Normandię.

Desant na południu

Gdy rozpoczynała się ostatnia faza bitwy o Normandię, 15 sierpnia 1944 roku, wojska alianckie wylądowały na śródziemnomorskim wybrzeżu Francji. W operacji „Dragon" wzięło udział około 200 tys. żołnierzy amerykańskich, brytyjskich, francuskich i kanadyjskich.

Brytyjsko-kanadyjskim wojskom po sześciotygodniowych walkach udało się 19 lipca 1944 roku ostatecznie wyprzeć oddziały niemieckie z miasta Caen, które, według pierwotnych planów, mieli zająć tuż po lądowaniu we Francji. Aliantów powstrzymał jednak zaciekły opór przeciwnika, czyli 12 Dywizji Pancernej SS „Hitlerjugend".

Opanowanie Caen, chociaż miało wymiar propagandowy, nie było przełomem w bitwie o Normandię, bo Niemcy utworzyli nową pozycję obronną tuż za miastem. Ze względu na brak znaczących sukcesów w kolejnych brytyjsko-kanadyjskich natarciach, w których atakujący ponieśli duże straty, postanowiono uderzyć na odcinku frontu normandzkiego obsadzonego przez Amerykanów. Operację o kryptonimie „Cobra" miała przeprowadzić amerykańska 1 Armia pod dowództwem gen. por. Omara Bradleya. Liczyła ona w tym czasie trzy korpusy armijne (VII, VIII i XIX), czyli razem trzy dywizje pancerne i osiem dywizji piechoty. Siły amerykańskie miały około 2 tys. czołgów, w tym 1269 średnich M4, oraz 288 niszczycieli czołgów. Co ciekawe, aż 60% amerykańskich maszyn wyposażono w pewnego rodzaju nożyce do cięcia normandzkich żywopłotów, będących utrapieniem dla alianckich pancerniaków. Ponadto amerykańskie jednostki lądowe miały zapewnione wsparcie z powietrza.

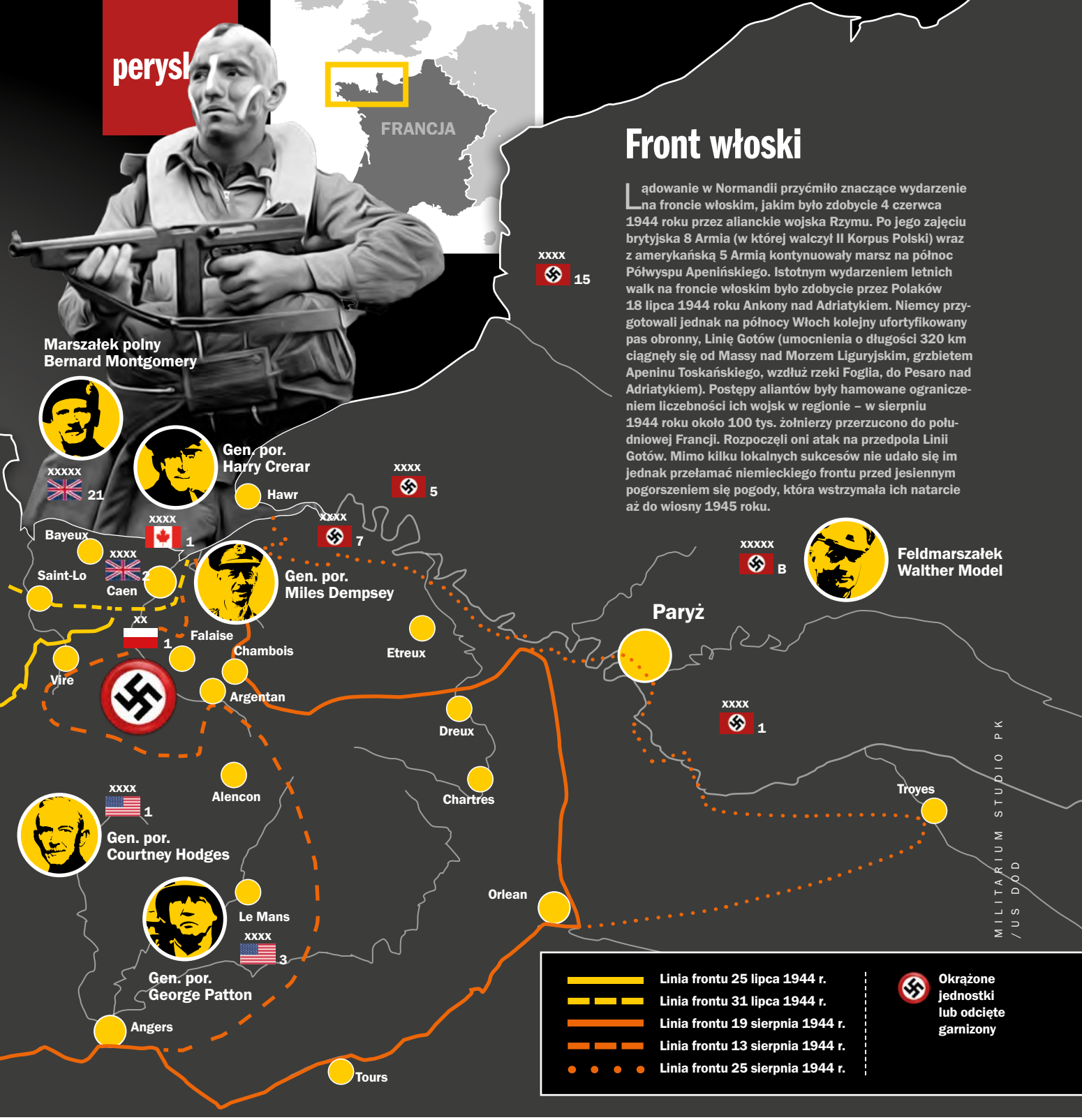

Front włoski

Lądowanie w Normandii przyćmiło znaczące wydarzenie na froncie włoskim, jakim było zdobycie 4 czerwca 1944 roku przez alianckie wojska Rzymu. Po jego zajęciu brytyjska 8 Armia (w której walczył II Korpus Polski) wraz z amerykańską 5 Armią kontynuowały marsz na północ Półwyspu Apenińskiego. Istotnym wydarzeniem letnich walk na froncie włoskim było zdobycie przez Polaków 18 lipca 1944 roku Ankony nad Adriatykiem. Niemcy przygotowali jednak na północy Włoch kolejny ufortyfikowany pas obronny, Linię Gotów (umocnienia o długości 320 km ciągnęły się od Massy nad Morzem Liguryjskim, grzbietem Apeninu Toskańskiego, wzdłuż rzeki Foglia, do Pesaro nad Adriatykiem). Postępy aliantów były hamowane ograniczeniem liczebności ich wojsk w regionie – w sierpniu 1944 roku około 100 tys. żołnierzy przerzucono do południowej Francji. Rozpoczęli oni atak na przedpola Linii Gotów. Mimo kilku lokalnych sukcesów nie udało się im jednak przełamać niemieckiego frontu przed jesiennym pogorszeniem się pogody, która wstrzymała ich natarcie aż do wiosny 1945 roku.

Ich przeciwnikiem była niemiecka VII Armia. SS-Obergruppenführer (w Waffen SS był to odpowiednik generała porucznika w Wehrmachcie) Paul Hausser dysponował dwoma korpusami, które w sumie miały osiem dywizji – cztery pancerne, dwie piechoty, grenadierów pancernych i spadochronową. Wprawdzie znaczącą część jego podwładnych stanowili żołnierze elitarnych wojsk spadochronowych i Waffen SS, brakowało im jednak uzbrojenia, gdyż uzupełnienia nie pokrywały strat ponoszonych w walkach. Cztery dywizje pancerne miały zaledwie około 200 czołgów i dział szturmowych. Niemniej jednak Niemcy byli bardzo groźni, o czym alianci przekonali się po lądowaniu we Francji.

Operacja „Cobra" miała się rozpocząć 24 lipca 1944 roku nalotem 1,6 tys. amerykańskich bombowców. Niestety, część zrzuconych bomb spadła na pozycje wojsk własnych, powodując chaos i straty w ludziach. Natarcie przełożono zatem na następny dzień, ale i 25 lipca 1944 roku ruchy wojsk lądowych zostały poprzedzone atakami lotniczymi. Najpierw stanowiska niemieckiej artylerii zaatakowało 550–600 myśliwców bombardujących. Potem nadleciało 1,5 tys. ciężkich bombowców, a w ostatniej fali uderzeniowej było około 400 średnich. Tym razem znów nie obyło się bez strat wśród Amerykanów. Jednym z zabitych był gen. por. Lesley McNair (najwyższy stopniem Amerykanin, który poległ podczas II wojny światowej).

Po wielkim bombardowaniu do ataku ruszyły siły lądowe wzdłuż drogi Saint-Lô – Périers. Główne uderzenie wyprowadził VII Korpus, najsilniejszy w 1 Armii, który miał aż sześć dywizji, w tym dwie pancerne. Amerykanie napotkali jednak silny opór niemieckiej Dywizji Pancernej Lehr, która w tym czasie liczyła zaledwie 2,2 tys. żołnierzy i 45 pojazdów pancernych. Następnego dnia do akcji ruszył też VIII Korpus US Army. 27 lipca niemieccy żołnierze wycofali się ze swoich stanowisk obronnych, pozostawiając za sobą pola minowe. Zorganizowana obrona Niemców już wówczas nie istniała. Amerykanie opanowali miejscowości Marigny, Lessy i Périers.

28 lipca nowo wprowadzona do walki amerykańska 4 Dywizja Pancerna zajęła Coutances. Niemcy próbowali kontratakować, ale bez skutku. Do natarcia włączył się też amerykański XIX Korpus. 30 lipca wyzwolono Avranches, Bréhal i Graville. Ostatniego dnia lipca Amerykanom udało się opanować most na rzece Sélune w Pontaubault. XIX Korpus odparł też ostatnie kontrataki Niemców, których linia obrony na odcinku 1 Armii przestała istnieć. Wówczas Amerykanie wydostali się z „krainy normandzkich żywopłotów".

UDERZENIE NA ZACHODZIE

Wykorzystawszy powodzenie ofensywy sojuszników, do natarcia ruszyły brytyjskie jednostki – dwa korpusy 2 Armii, mające razem cztery dywizje piechoty i trzy pancerne oraz dwie brygady, pancerną i czołgów. Ataki Brytyjczyków odpierała grupa pancerna, składająca się z części XLVII Korpusu Pancernego i dwóch dywizji piechoty. Potem wzmocniono ją II Korpusem Pancernym SS, liczącym cztery dywizje pancerne.

Brytyjczycy zamierzali uderzyć z rejonu Daumont w kierunku Vire i Mont Pinçon, najwyższego wzniesienia w Normandii. Operacja „Bluecoat" rozpoczęła się 30 lipca 1944 roku od ataków lotniczych, które jednak nie były zbyt skuteczne. Niebawem marsz oddziałów brytyjskich zaczęły opóźniać pola minowe, zalane drogi i wąskie wąwozy. Żołnierze parli jednak naprzód i 2 sierpnia alianci byli już 8 km od Vire. Działania prowadzili w rejonie rozgraniczenia armii amerykańskiej i brytyjskiej, więc pojawiły się problemy z tym, kto może korzystać z głównych dróg. Dzięki temu Niemcom udało się ściągnąć posiłki do obrony Vire. Dowództwo brytyjskie nie było zadowolone z działań XXX Korpusu i 2 sierpnia dowodzący nim gen. por. Gerard Bucknall utracił stanowisko (zastąpił go weteran z kampanii północnoafrykańskiej gen. por. Brian Horrocks). 6 sierpnia 1944 roku Amerykanie w nocnym ataku zdobyli Vire, a Brytyjczycy zajęli Mont Pinçon. Tym samym osiągnięto cele operacji „Bluecoat".

OSTATNI ZRYW

Niemieckie dowództwo tak było skupione na powstrzymywaniu aliantów na dwóch skrzydłach, że zostało zaskoczone przełamaniem frontu normandzkiego w części centralnej. Feldmarszałek Günther Adolf Ferdinand „Hans" von Kluge, który dowodził na zachodzie, już 22 lipca 1944 roku ostrzegał Adolfa Hitlera, że przerwanie przez aliantów frontu normandzkiego jest kwestią czasu. Führer jednak 2 sierpnia rozkazał mu, by rozpoczął kontrnatarcie mimo braku żołnierzy i sprzętu oraz bez wsparcia lotniczego. Takie same rozkazy przyszły do kwatery głównej Wehrmachtu. Kluge sugerował przełożonym, że nie mają szans i powinni wycofać wojska na linię rzeki Seine, póki jest to możliwe. Hitler jednak 4 sierpnia kategorycznie rozkazał feldmarszałkowi, by ruszył do ataku. Według jego wyobrażeń było to zadanie dla ośmiu, dziewięciu dywizji pancernych, mających wsparcie całej rezerwy Luftwaffe. Operacji tej nadano kryptonim „Lüttich". Brytyjscy historycy określają te działania jako kontrofensywa koło Mortain – od nazwy miejscowości, w której rejonie 7 sierpnia wojska niemieckie zaatakowały Amerykanów.

Rozkaz przeprowadzenia kontruderzenia otrzymał XLVII Korpus Pancerny. W tym czasie miał do dyspozycji 2 i 116 Dywizję Pancerną, 2 Dywizję Pancerną SS i część 1 Dywizji Pancernej SS – razem około 300 czołgów i dział szturmowych. Były to siły o wiele mniejsze niż wyobrażał to sobie Hitler. Operacja rozpoczęła się 7 sierpnia 1944 roku. Początkowo niemieckie wojska odnotowały pewne sukcesy, ale szybko sytuacja odwróciła się na ich niekorzyść, kiedy amerykański VII Korpus dostał wsparcie lotnictwa i dodatkowe jednostki pancerne. Niemieccy dowódcy nie wiedzieli też, że alianci znają treść ich depesz szyfrowanych maszynami Enigma. Walki trwały do 12 sierpnia. XLVII Korpus stracił w nich większość ze swych czołgów.

Gdy niemieckie wojska wdały się w wyczerpującą bitwę pod Mortain, utworzona 1 sierpnia 1944 roku amerykańska 3 Armia pod dowództwem gen. George'a Pattona rozpoczęła ofensywę i 8 sierpnia zajęła Le Mans. Tego samego dnia 1 Armia Kanadyjska przystąpiła do operacji „Totalize" na południe od Caen, żeby przełamać niemiecką obronę i zniszczyć I Korpus Pancerny. Jako część II Korpusu Kanadyjskiego walczyła tam polska 1 Dywizja Pancerna. Walki trwały do 13 sierpnia. Siły polsko-kanadyjskie poniosły wówczas znaczne straty i zostały zatrzymane 11 km przed Falaise.

Wielokrotnie podczas walk w Normandii dawały o sobie znać problemy z precyzją alianckiego lotnictwa. 13 sierpnia przez pomyłkę zbombardowało ono dowództwo kanadyjskiej 3 Dywizji Pancernej. Na tym jednak nie koniec. Kolejnego dnia podczas nalotu wykonanego przez 800 ciężkich bombowców Halifax i Lancaster również część bomb spadła na własne oddziały, powodując setki ofiar wśród Polaków i Kanadyjczyków.

KOREK POD FALAISE

Mimo strat spowodowanych przez „friendly fire", pancerniacy gen. Stanisława Maczka zajęli miasteczko Potigny. Razem z Kanadyjczykami zbliżyli się następnie do Falaise. Chociaż 16 sierpnia wdarły się tam oddziały kanadyjskiej 2 Dywizji Pancernej, to utknęło natarcie w kierunku Trun. Upadek tej miejscowości oznaczał dla Niemców, że znajdą się w kotle. I tak się stało 18 sierpnia, kiedy alianci zajęli Trun. W tym samym dniu część polskich oddziałów zbliżyła się do Chamois. Alianci zatem niejako osaczali Niemców, więc nowy głównodowodzący wojskami niemieckimi feldmarszałek Walther Model rozkazał swym podwładnym, by nie dopuścili do zamknięcia pierścienia okrążenia.

Tymczasem Polacy i Kanadyjczycy wznowili natarcie i żołnierzom 1 Dywizji Pancernej udało się zająć strategiczne wzgórze 262 oraz nawiązać kontakt z amerykańskimi oddziałami. Cały czas alianci byli jednak atakowani przez próbujące wyrwać się z kotła oddziały niemieckie. Niektórym udało się przebić, a inni złożyli broń. Żołnierze SS i strzelcy spadochronowi walczyli jednak dalej. Przez trzy dni atakowali zaciekle kontrolowane przez Polaków wzgórze 262, znane jako Maczuga. Ostatecznie większość Niemców, którym nie udało się wyrwać z kotła pod Falaise, poddała się 21 sierpnia. Dwa dni później oddziały francuskie i amerykańskie wkroczyły do Paryża. ■

XI PRZEGLĄD PIOSENKI WOJSKA POLSKIEGO

12–15 sierpnia 2014
Zegrze

12 SIERPNIA | WTOREK
Ośrodek Kultury w Serocku | *ul. Pułtuska 35*
16.00 – I Koncert Konkursowy
20.00 – II Koncert Konkursowy

13 SIERPNIA | ŚRODA
Ośrodek Kultury w Serocku | *ul. Pułtuska 35*
16.00 – III Koncert Konkursowy
20.00 – IV Koncert Konkursowy

14 SIERPNIA | CZWARTEK
Miejski Ośrodek Kultury w Legionowie | *ul. J. Piłsudskiego 41*
11.00 – Uroczyste zakończenie Przeglądu i rozdanie nagród

Ogródek Jordanowski w Zegrzu
19.00 – Koncert podczas festynu z okazji Święta Wojska Polskiego

15 SIERPNIA | PIĄTEK
Amfiteatr „Teatr na wodzie" | *Łazienki Królewskie w Warszawie*
13.00 – Koncert Galowy XI Przeglądu Piosenki Wojska Polskiego Zegrze 2014

miasto i gmina Serock

Polska Zbrojna

Pancerny potwór

W walkach przeciwko powstańcom wykorzystano jeden z najnowocześniejszych niemieckich pociągów pancernych Panzerzug 75. Był to typ BP-44, który miał dziesięć wagonów rozmieszczonych w lustrzany sposób po obu stronach opancerzonej lokomotywy z tenderem. W sumie był uzbrojony w cztery haubice kalibru 105 mm, dwie armaty kalibru 105 mm oraz dwa poczwórnie sprzężone działka przeciwlotnicze kalibru 20 mm. Oprócz tego miał dwa lekkie czołgi i dwie opancerzone drezyny. Jego załoga dysponowała też dwoma moździerzami 80-militrowymi i kilkunastoma karabinami maszynowymi. ■

Pociąg składał się z dziesięciu wagonów

Determinacja i pomysłowość

Pistolet maszynowy Błyskawica

Powstańcy mieli ogromne braki w uzbrojeniu. Ich broń pochodziła z różnych źródeł, a część sami wyprodukowali. Już w trakcie walk kontynuowano składanie pistoletów maszynowych Błyskawica. Powstańcy mieli też dwa inne typy pistoletów maszynowych własnej produkcji – steny i KOP-PAL, a także miotacze ognia. Nową broń konstruowano już po wybuchu powstania – na przykład wykorzystywano rury wodociągowe do zrobienia granatników. Powstał też wówczas opancerzony wóz Kubuś. W walczącej Warszawie nadal produkowano granaty ręczne ET-40 Filipinka, R-42 Sidolówka i Karbidówka oraz opracowano nowe granaty woreczkowe. Powszechnie stosowaną przez powstańców bronią były butelki zapalające – dla zwiększenia zasięgu ich użycia skonstruowano nawet ich miotacze. ■

NA TYGRYSY

TADEUSZ WRÓBEL

Niemcy użyli w 1944 roku przeciwko powstańcom warszawskim najbardziej niszczycielskiej broni, jaką mieli – od samobieżnych min, poprzez wyrzutnie rakiet, po najcięższe moździerze oblężnicze.

Rycząca szafa

Wielką siłę niszczycielską miały wieloprowadnicowe wyrzutnie rakietowe. Nebelwerfer (miotacz mgły) to ogólna nazwa wyrzutni z pociskami kalibrów 8, 10, 15, 21, 28, 30 i 32 cm o zróżnicowanym zasięgu – od około 2 km do prawie 8 km. Najcięższy niemiecki pocisk rakietowy, 30-centymetrowy Wurfgranate 42 Spreng, ważył 125,6 kg. Ze względu na charakterystyczny dźwięk przy odpalaniu salwy rakietowej powstańcy nazywali nebelwerfery krowami lub szafami. ■

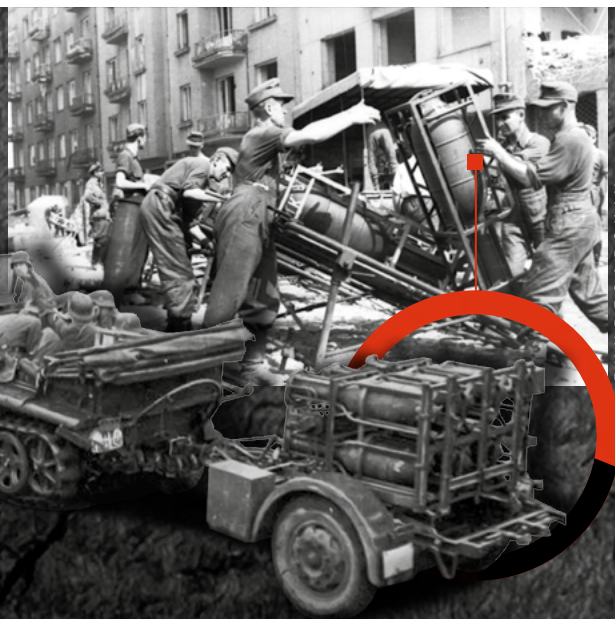

BUNDESARCHIV

Bezkarny sztukas

Od 4 sierpnia 1944 roku Warszawę ostrzeliwały niemieckie bombowce nurkujące Junkers Ju-87 Stuka, znane jako sztukasy. Budziły one przerażenie mieszkańców stolicy już podczas kampanii wrześniowej. W drugiej połowie 1944 roku Ju-87 był już samolotem przestarzałym, ale powstańcy nie mieli broni przeciwlotniczej, więc niemieccy lotnicy czuli się nad Warszawą bezkarni. 23 sierpnia udało się jednak Polakom zestrzelić jeden ze sztukasów. Do pacyfikacji powstania Niemcy użyli też średnich bombowców Heinkel He 111H i myśliwców Messerschmitt Me 109G-6. ■

Niemcy dysponowali wersją D-5 z dwoma działkami kalibru 20 mm w skrzydłach, która zabierała tonę bomb.

Niszczycielski Goliat

Wyjątkowo groźną bronią tłumiących powstanie warszawskie wojsk niemieckich były zdalnie sterowane samobieżne miny Leichter Ladungsträger Sd.Kfz.302 i 303 Goliath, które stworzono z myślą o precyzyjnym niszczeniu wrogich umocnień. Tych maszyn wyprodukowano ponad 7,5 tys., ale Niemcy rzadko ich używali, bo była to broń kosztowna i podatna na uszkodzenia. Inne wady goliatów to mała prędkość i nieduży prześwit. ■

Niewielki gąsienicowy pojazd miał napęd elektryczny lub spalinowy i zawierał 60–100 kg materiału wybuchowego.

MIELI VISY

Monstrualny karl

Budowniczowie drugiej linii metra natrafili na kilkusettonowe niewybuchy, które były pociskami wystrzelonymi z największych niemieckich moździerzy Karl-Gerät, których użyto w powstaniu warszawskim. Te ponad 120-tonowe pojazdy gąsienicowe miały lufy kalibrów 540 i 600 mm. Z siedmiu moździerzy, które wyprodukowano, przeciwko Warszawie użyto aż cztery. Ostrzał z nich nie tylko wywoływał gigantyczne zniszczenia, lecz także silnie oddziaływał psychologicznie, bo ludzie widzieli lecące w ich kierunku monstrualne pociski. ■

Karl mógł strzelać pociskami o masie od 1250 kg do ponad 2 t.

BUNDESARCHIV

POWSTANIE WARSZAWSKIE

ANDRZEJ FĄFARA

Podczas II wojny światowej Niemcy zburzyli aż 85% zabudowy Warszawy.

ZABIĆ MIASTO

Kościół pw. św. Augustyna przy ul. Nowolipki 48/50 wśród gruzów getta. Ujęcie ze skrzyżowania ul. Karmelickiej i Nowolipki w kierunku zachodnim. Na pierwszym planie po lewej resztki budynku Karmelicka 17. Data wykonania: 19–21 stycznia 1945 roku. Fot. Eugeniusz Haneman/Muzeum Powstania Warszawskiego

Nieistniejący Pałac Brühla znajdował się przy obecnym pl. Piłsudskiego.

Straty ludzkie poniesione w powstaniu warszawskim będą zawsze na pierwszym planie (10 tys. poległych żołnierzy, 5 tys. zaginionych, 25 tys. rannych, 150 tys. zabitych wśród ludności cywilnej), ale zniszczenia materialne też robią przerażające wrażenie. W trakcie walk Niemcy zburzyli 25% zabudowy miasta, a po kapitulacji jeszcze więcej – aż 35%. Gdy do tego dodamy zniszczenia dokonane we wrześniu 1939 roku (10%) i w czasie powstania w getcie (15%), dostaniemy obraz stolicy niemal zmiecionej z powierzchni ziemi. Dość powiedzieć, że na Starówce, chlubie Warszawy, do użytku nadawał się tylko jeden dom (przy ul. Długiej).

Atak na budynki w trakcie działań bojowych można jeszcze zrozumieć, jednak destrukcja dokonana po 2 października 1944 roku była już rodzajem okrutnej zemsty na stolicy i jej mieszkańcach. Niemcy nie oszczędzali zabytkowych budowli, grabiąc przy okazji to wszystko, co miało historyczną i praktyczną wartość. Było to oczywiście związane bezpośrednio z powstaniem, w którym hitlerowcy ponieśli dotkliwe straty, ale stanowiło też część wcześniejszego planu unicestwienia stolicy Polski. Jego autorem był sam Adolf Hitler, który kilka miesięcy przed wybuchem powstania miał powiedzieć do generalnego gubernatora Hansa Franka, że „Warszawa powinna zostać zburzona przy najbliższej nadarzającej się okazji". Tą sposobnością było powstanie warszawskie. Gubernator dystryktu warszawskiego Ludwig Fischer w notatce z 11 października 1944 roku pisał: „Warszawę należy spacyfikować, to znaczy jeszcze podczas wojny zrównać z ziemią, o ile konieczności wojskowe, związane z umocnieniami, nie stoją temu na przeszkodzie. Przed zburzeniem należy usunąć wszystkie surowce, tekstylia i meble".

Zadanie wykonała administracja cywilna wespół z oddziałami saperskimi policji, dowodzonymi przez gruppenführera (generała porucznika) Willego Schmelchera. Ten bezprzykładny akt wandalizmu przerwała ofensywa Armii Czerwonej. Sowieci wkroczyli do wyludnionej, leżącej w gruzach stolicy 17 stycznia 1945 roku. Jak wyglądało wtedy miasto, można się przekonać dzięki zachowanym fotografiom. Zamieszczamy kilka z nich, zestawiając je z przedwojennymi zdjęciami, pozwalającymi ocenić skalę zniszczeń. ■

ARCH. AGATA ROMAŃSKA

SYSYTEMATYCZNE ZNISZCZENIA DOKONANE PRZEZ NIEMCÓW PO UPADKU POWSTANIA WARSZAWSKIEGO BYŁY RODZAJEM OKRUTNEJ ZEMSTY NA STOLICY I JEJ MIESZKAŃCACH

Gmach Poczty Głównej przy pl. Napoleona (obecnie Powstańców Warszawy)

ARCH. ANDRZEJ WITKOWSKI (8)

Katedra św. Jana została odbudowana w latach 1948–1956.

W budynek Towarzystwa Ubezpieczeniowego „Prudential" trafiło 1000 pocisków.

Rynek Starego Miasta został doszczętnie zniszczony.

PIOTR BERNABIUK

ROZPOZNANIE

POWRÓT DO NATURY

Zwiadowców z jednostek rozpoznawczych będą wspierały nowoczesne systemy, ale podstawą szkolenia musi być dla nich działanie w terenie, na lądzie i w wodzie.

PIOTR BERNABIUK

Najcenniejszym towarem we współczesnym świecie jest informacja. By nie utonąć jednak w zalewie wiadomości, musimy nauczyć się szybko je analizować, segregować i wyciągać wnioski. Dotyczy to również wojska, w szczególności rozpoznania, które w naszej armii przechodzi daleko idące przeobrażenia. Dotąd na szczeblu centralnym nie było struktur zajmujących się koordynacją działalności rozpoznawczej poszczególnych elementów rodzajów sił zbrojnych oraz wojsk, które dokonywałyby całościowych analiz. Co więcej, NATO nie dysponuje autonomicznymi środkami wywiadu i rozpoznania, więc państwa sojuszu stanęły przed koniecznością przystosowania systemów narodowych do współdziałania, do osiągnięcia zdolności operacyjnej określanej jako ISTAR (Intelligence, Surveillance, Target Acquisirion and Reconnaissance). Utworzony w wyniku reformy systemu dowodzenia Siłami Zbrojnymi RP w Inspektoracie Rodzajów Wojsk Dowództwa Generalnego Zarząd Rozpoznania i Walki Elektronicznej musi wykonać wielką robotę – do 2022 roku mamy osiągnąć zdolności w dziedzinie dowodzenia i kierowania elementami rozpoznawczymi.

W trwającej już od kilku lat technologicznej rewolucji w dziedzinie rozpoznania nie zabraknie jednak miejsca dla żołnierza zwiadowcy. Tworzone dziś programy nie pomijają więc szkolenia w przenikaniu, prowadzeniu obserwacji, działaniu w najbardziej skrajnych warunkach terenowych i pogodowych. W jednostkach i pododdziałach rozpoznawczych trwa powrót do natury – odbywają się szkolenia w działaniach górskich, kursy przetrwania i pokonywania przeszkód wodnych. Dzisiejsza armia potrzebuje znakomicie wyszkolonych i świetnie wyposażonych żołnierzy. ■

ARCH. PRZEMYSŁAWA WARDOWSKIEGO

PIOTR BERNABIUK

Górska kawaleria

Zwiadowcy z 25 Brygady Kawalerii Powietrznej uznali, że dobrym sposobem na odnalezienie się po misji afgańskiej jest mocne uderzenie szkoleniowe. Wyruszyli zatem w Karkonosze na wyprawę taktyczną.

Podczas ataku rebeliantów na bazę Ghazni zespół zwiadowców kawalerii powietrznej uniemożliwił uderzenie na bramę (więcej na temat ich akcji w „Polsce Zbrojnej" 3/2014). Do służby w XIII zmianie PKW Afganistan przygotowywali się długo i starannie. Opłacało się, bo w czasie decydującej akcji, w najtrudniejszym momencie zaprocentowały dziesiątki „dobówek", zajęć prowadzonych „na maksa", wynikających nie tylko z programu szkolenia, lecz także z inicjatywy członków zespołu.

Po powrocie do kraju nie chcieli przyjmować postawy weteranów, mających za sobą już wszystko, co może spotkać żołnierza. Szukali odpowiedzi na pytanie: co dalej? Jak działać, by po ulotnych chwilach satysfakcji nie pojawiły się marazm i nuda. Zaczęli zatem szukać nowych form szkolenia oraz uzupełniać luki w umiejętnościach. Wróciły kolejne „dobówki" spędzane w lesie… Wreszcie powstał projekt wyprawy w Karkonosze, mającej być przygotowaniem do prowadzenia działań rozpoznawczych w górach.

NAJCZARNIEJSZY SCENARIUSZ

Rutynowe szkolenie górskie żołnierzy z jednostek nizinnych zazwyczaj sprowadza się do marszów kondycyjnych szlakami turystycznymi, z nauką podstaw wspinaczki skałkowej. Czasami pojawiają się elementy ratownictwa lub bytowania w naturze. Zajęcia zwiadowców miały jednak odbiegać od standardów. Gdy tylko kapitan Przemysław Wardowski, dowódca kompanii dowodzenia 7 Batalionu 25 Brygady Kawalerii Powietrznej, dostał „błogosławieństwo" przełożonych, wyruszył na rekonesans. W kompanii zaś rozpoczęły się przygotowania do niezwykłego przedsięwzięcia.

„Ciachu", „Zabor" i „Biały" – żołnierze opowiadający tę historię chcą pozostać anonimowi – zaczęli od opracowania fabuły wyprawy, czyli tła taktycznego: „Mieliśmy prowadzić działania rozpoznawcze w sytuacji kryzysowej, wspierając Straż Graniczną. Zamierzaliśmy przemieszczać się marszem ubezpieczonym, patrolować trasę, a w kolejnym etapie wykonać rozpoznanie miejscowości", opowiadają. „Najpierw należało więc wbić sobie do głowy, że nie jedziemy na wycieczkę turystyczno-krajoznawczą. Szykowaliśmy się jak na operację bojową. W pododdziale była udostępniona niezwykle długa lista niezbędnego wyposażenia, od bielizny po broń".

„Zabor", ratownik medyczny, szykował się ze szczególną starannością: „To nie jest tak, że biorę standardową torbę medyczną i już! Znacznie wcześniej zebrałem wiedzę o terenie, prognozach pogody i zasadach działania. W Afganistanie miałem głównie zajmować się udzielaniem pomocy po wybuchach, postrzałach czy wypadkach drogowych. Wiedziałem, że teraz w górach nikt do nas nie będzie strzelał, ale mogą być inne zdarzenia wymagające medycznego wsparcia czy prowadzenia akcji ratowniczej, takie jak różnego rodzaju urazy, wyziębienie organizmu, odwodnienie czy ukąszenie żmii. Ratownik jest w grupie tym, który w fazie przygotowań przerabia najczarniejsze scenariusze".

NA ZŁE I NA DOBRE

Intensywnie padało, gdy po całonocnej jeździe wysiadali ze stara i honkera, którymi dotarli w Karkonosze. Pojazdy zostawili w Szklarskiej Porębie przy Skale Marianki. Rozkaz bojowy został postawiony przed wyjazdem, jeszcze w Tomaszowie Mazowieckim. Nie było czasu na żadne rozprostowywanie kości. Od razu uformowali szyk i ruszyli w góry.

Było ich siedemnaścioro. Dwunastu zwiadowców, w tym „Ciachu", „Zabor", „Biały", „Szewcu", „Derek", żołnierze, którzy razem z kpt. Przemysławem Wardowskim brali udział we wspomnianej akcji afgańskiej. Dołączyła do nich czwórka saperów, wśród nich Karolina i „Pudzian". Sformowali dwie sekcje zadaniowe dowodzone przez „Ciacha" i „Fokę" oraz działającą między nimi dowódczą, kpt. Wardowskiego.

Maszerując pod górę, prowadzili rozpoznanie przepustów, skrzyżowań dróg i ścieżek, rejonów, które uważali za niebezpieczne. Marszruta wiodła szlakiem od Szklarskiej Poręby do Karpacza. Na wysokości Szrenicy mieli przejść Halę pod Łabskim Szczytem, Łabski Szczyt, następnie Śnieżne Kotły, Szyszak, do schroniska Odrodzenie. Następnego dnia planowali dotrzeć do Strzechy Akademickiej. Zamierzali w ciągu dwóch dni pokonać, w połączeniu z działaniami, niemalże całe pasmo Karkonoszy.

Szli w deszczu pod górę. Dźwigali na sobie, oprócz broni i kamizelek, ponad 30 kg sprzętu. Po kilku godzinach przyszło ogromne zmęczenie, pojawiły się skurcze mięśni. W takim żmudnym marszu pokonywali 1–2 km/h. Nie było mowy o ustawieniu rytmu, bo co chwilę musieli się zatrzymywać, żeby rozpoznać skrzyżowanie ścieżek na szlaku, a później biegiem minąć kolejny odsłonięty odcinek, by jak najmniej być na widoku.

Dochodzili już do Śnieżnych Kotłów, gdy wokół rozszalało się piekło. Nastąpiło załamanie pogody. Do ulewnego deszczu dołączył grad, a gdy temperatura spadła poniżej zera, osiągający do 50 km/h wiatr uderzył w nich padającym niemal poziomo śniegiem. Nie mieli się gdzie schronić. Zdawali sobie sprawę z tego, że jeśli nie zaczną działać, za chwilę wszystko na nich zamarznie. Robiło się niebezpiecznie… I tak działania taktyczne zamieniły się w szkołę przetrwania. Gdy dowódca zarządził postój, bez komendy wiedzieli, że zostało parę chwil na to, by schować się za skałką, szybko przebrać, zdjąć z siebie mokrą, przepoconą bieliznę, włożyć wyciągniętą z folii ciepłą i suchą.

„Biały" zapewnia, że w takich sytuacjach nie można sobie odpuścić: „Każdy przestój na trasie to obowiązkowa przebieranka. Kiedy jesteś najbardziej zmęczony, wszystko cię wkurza. Ręce się trzęsą z zimna, a ty musisz pić i jeść, nie czekając na to, aż będziesz spragniony i głodny, bo taki sygnał w skrajnej sytuacji może przyjść za późno. A jak się nagle, na kolejnym podejściu »wyłączysz«, to nikt cię nie będzie niósł".

Faktycznie nikogo się nie niesie w takiej sytuacji, ale w zespołach działa ustanowiona przez kapitana instytucja „body", czyli partnera na złe i na dobre. Jeśli zatem komuś przydarzyłaby się kontuzja niewymagająca ewakuacji, jak hipotermia czy złamanie, zostałby na miejscu ze środkiem łączności, w towarzystwie przydzielonego wcześniej kolegi. Cała grupa nie schodziłaby na dół, nie wzywała wsparcia, bo patrol wykonuje zadanie bojowe. Ta dwójka skryłaby się i czekała, aż koledzy po przeprowadzeniu akcji po nich wrócą.

„Późnym wieczorem dotarliśmy do schroniska Odrodzenie", wspomina „Ciachu". „Byliśmy przygotowani na nocleg w górach, nawet przy takiej pogodzie. Chodziło jednak o to, żeby zjeść coś ciepłego i wypocząć, bo wtedy następnego dnia można sprawnie działać".

Kapitan nie ukrywa, że stanęli wówczas przed trudnym wyborem: maksymalnie sprawdzić własną wytrzymałość czy odtworzyć zdolności bojowe, by następnego dnia kontynuować działania? Zdecydował się jednak na nocleg w schronisku: „W działaniach bojowych będziemy wykorzystywali każdą okazję, by poprawić swoją sytuację. Nie chciałem »dożynać« ludzi, by od pierwszego dnia kombinowali, jak przetrwać do końca, zamiast myśleć o robocie".

Po całodziennych działaniach pokonali około 20 km. Z 700 m n.p.m. w Szklarskiej Porębie weszli na 1509 m. Średnia wyszła im około 2 km/h, ale podczas zajęć taktycznych taki przelicznik, szczególnie w górach, nie ma większego sensu.

SZKICE W 3D

Następny dzień rozpoczęli od treningu wspinaczkowego bez opuszczania budynku. Kapitan wykorzystał możliwość poćwiczenia z zespołem na sztucznej ściance w schronisku: „Poprzedniego dnia, dochodząc do Odrodzenia, mijaliśmy Kukułcze Skały, gdzie zaplanowałem przerywnik wspinaczkowy. Po deszczu było jednak mokro i ślisko, do tego dochodziło zmęczenie. Zrezygnowałem wówczas, ale tu nadrobiliśmy te zaległości".

Po wspinaczce ponownie wyruszyli w góry. Na ostrym podejściu nogi natychmiast przypomniały sobie o wczorajszym wysiłku. Przez pierwszy kwadrans, dopóki żołnierze nie złapali rytmu, bolały i puchły. Źle się maszerowało, bo głazy na drodze były wielkie, niestabilne, a do tego mokre. Z ciężarem na plecach nie dało się lekko przeskoczyć z kamienia na kamień. Jeśli któryś z żołnierzy się poślizgnął, to razem z bagażem zwalał się na ziemię.

Gdy weszli wyżej, pojawiła się na dodatek mgła, co było złą przepowiednią przed oczekującym ich kolejnym zadaniem. Zrobiło się biało i nic nie było widać, więc skrócili odległości między sobą – szli jeden za drugim, niemal w zasięgu ręki. Kapitan zastanawiał się nawet, czy nie powiązać ludzi w zespołach liną. A kiedy już wychodzili na Kocioł Małego Stawu, jak na zawołanie pojawiło się słońce. Zachwyciły ich wspaniałe widoki, a znakomita przejrzystość powietrza sprzyjała sporządzaniu szkiców terenowych.

„Na grani pokazywałem zwiadowcom, jak dobrze widać wszystkie drogi – na Mały Staw, do schroniska Samotnia, dalej na Strzechę Akademicką, jeszcze dalej na Śnieżkę", wspomina dowódca. „Fantastyczne miejsce do takiej roboty, więc kilka godzin spędziliśmy na rysowaniu".

„Zabor" nie do końca podzielał entuzjazm dowódcy: „Mieliśmy przygotować szkic, policzyć azymuty i odległości. To było naprawdę żmudne zajęcie. Widok był jak z lotu ptaka, a raczej jak ze śmigłowca, w trzech wymiarach, czyli zupełnie inaczej niż na płaszczyźnie mazowieckiej".

Rysowali góry, domy, najważniejsze obiekty tak, aby jak najwierniej oddawały rzeczywistość, żeby te szkice były przydatne na przykład przy naprowadzaniu lotnictwa czy ognia artylerii →

POWRÓT W KARKONOSZE

W 2007 roku para śmigłowców W-3W Sokół z 25 Brygady Kawalerii Powietrznej wspierała ratowników karkonoskiego oddziału GOPR w miesiącach dla nich najgorętszych, czyli zimowych. Piloci ćwiczyli loty ratownicze, goprowcy doskonalili swoje umiejętności, a przy nich szkolili się szturmani kawalerii powietrznej.

Kpt. Przemysław Wardowski, idąc za ciosem, w 2008 roku zorganizował w Karkonoszach szkolenie swoich żołnierzy, a w 2014 powrócił tam z zespołem zwiadowców i saperów.

na konkretne obiekty. Wcześniej podpatrzyli, jak to robią Kanadyjczycy na kursie snajperskim w Toruniu. Teraz chcieli wypróbować tę metodę w górach. A więc najpierw robi się pomiar odległości na oko, później pomiar odległości ze wzorem polowym, i za pomocą laserowego przyrządu rozpoznawczego sprawdza się, czy się zgadzają. W sumie nawet nieźle im to wyszło.

„Biały" takie szkice sporządzał wcześniej w Afganistanie: „Było to bardzo trudne, bo na kartce formatu A4 trzeba wszystko oddać przestrzennie, jak w 3D. W Karkonoszach mieliśmy wspaniałą widoczność i niesamowity kąt obserwacji. Wykorzystywaliśmy przy tym nasze ciężkie dalmierze, które wtaszczyliśmy ze sobą na grań. Na szczęście sprzyjała nam pogoda".

Jak tylko zwinęli kartki, nadciągnęły chmury i przyszło gradobicie. W czasie zejścia po wielkich śliskich kamieniach droga zrobiła się bardzo niebezpieczna. Na dole jednak czekało na nich schronisko. Tyle że dziewięciu ochotników zaraz poszło na patrol – z bronią, ale już bez plecaków – na Śnieżkę. No bo jak to, być tak blisko i nie wejść?

ZJAZDY I WYCIĄGI

Trzeciego dnia do ekipy dołączył „Goździor", instruktor wspinaczki i ratownik z Grupy Jurajskiej GOPR. Kiedyś był zwiadowcą, ale odkąd awansował, jako kapral służy w szwadronie szturmowym. Razem z dowódcą, „Foką" i „Zaborem" stanowili wystarczający zespół instruktorski, by przygotować i poprowadzić na Krzywych Basztach szkolenie linowe – poręczowanie podejścia, wspinaczkę, zjazdy, w tym układy wyciągowe, pozwalające duży ładunek lub człowieka na noszach wtargać do góry albo zwieźć na dół.

„W skałkach zaczęliśmy od działania bez obciążenia, jedynie w mundurach", opowiada kpt. Wardowski. „Później żołnierzom dołożyliśmy kamizelki taktyczne, a na koniec przygotowaliśmy przeprawę z całym sprzętem. Zjazd na »szybkiej ósemce« czy rolce był świetną zabawą, ale gdy trzeba było to zrobić z plecakiem ważącym ponad 30 kg, zaczęły się komplikacje. Należało pamiętać o włożeniu uprzęży piersiowej, o tym, żeby się za mocno nie wychylić, bo ciężar mógłby nas przerzucić głową w dół. Do tego trzeba było odpowiednio ułożyć broń, żeby nie przeszkadzała, a jednocześnie żeby można ją było szybko użyć. Ponadto nie mogliśmy zapominać o tym, że działamy w rejonie zajętym przez przeciwnika".

Gdy zatem pierwszy żołnierz wspinał się „na lekko" i ciągnął za sobą linę, by założyć stanowisko, a na nim zamontować wyciąg do asekuracji ludzi czy transportu zasobników, inni musieli go ubezpieczać. Jak mówią zwiadowcy – „połapać sektory", w których ktoś niespodziewanie może się pojawić. Banalne na pozór zadanie zrobiło się zatem złożone i trudne. Nie było tu „kibiców", jak to się często zdarza, gdy jeden się wspina, a pięciu patrzy. W pewnym momencie okazało się, że jest tyle roboty, że zaczyna brakować ludzi. Jedni wciągali wzdłuż liny poręczowej lżejszy sprzęt, drudzy – skomplikowanym układem lin i bloczków, ten cięższy. Pozostali asekurowali kolegów i osłaniali miejsce akcji.

Kpt. Wardowski po tych zajęciach nie ukrywał satysfakcji: „Zacięcie do roboty przy linach i wyciągach szczególnie było widać u debiutantów, dla których skomplikowane układy linowe stanowiły nowość. Trudno zresztą się dziwić emocjom, gdy wszyscy patrzyli, jak ważąca niespełna 50 kg saperka Karolina z łatwością wciąga do góry jednocześnie trzy zasobniki, łącznie ważące ze 120 kg". ■

Pływać, lepiej lub gorzej, potrafią wszyscy, jednakże pierwszy, kompleksowy kurs wodny okazał się dla zwiadowców wyższą szkołą jazdy.

PIOTR BERNABIUK (5)

PIOTR BERNABIUK

JAK RYBA W WODZIE

Dla zwiadowców z warmińskiego pułku rzeczki, jeziora i mokradła stają się środowiskiem naturalnym.

Żołnierze 9 Warmińskiego Pułku Rozpoznania przez pięć dni niemalże nie wychodzili z jeziora Orzysz. Na pierwszym kompleksowym kursie szkolenia wodnego tematów „do przerobienia" było bez liku: od doskonalenia żabki i kraula po pływanie z żołnierskim rynsztunkiem. Nieustannie wzrastał poziom zaawansowania – po zajęciach pływackich żołnierze przechodzili do szkolenia przeprawowego, a po nim do desantowania z szybkich łodzi.

Dla znacznej części szkolących się zwiadowców żywioł wydawał się przyjaznym środowiskiem. Starsi szeregowi

SZKOLENIE WODNE, POŁĄCZONE Z RYWALIZACJĄ, BUDZIŁO WIELKIE EMOCJE

Paweł Jankowiak, Paweł Rozum czy Grzegorz Warchocki nie mieli najmniejszych trudności ze skokami, z pokonywaniem dystansu w mundurach, z bronią, ze związanymi nogami i dłońmi. Inni, ci mniej wprawni, początkowo toczyli walkę sami ze sobą oraz z żywiołem, nadrabiając brak wprawy zacięciem i chęcią do walki.

SZTUKA IMPROWIZACJI

Podstawowym środkiem przeprawowym zwiadowcy jest ponton, z którym podczas szkolenia należało się zaprzyjaźnić. Żołnierze robili to w następujący sposób – najpierw wywracali go do góry dnem, lądując przy tym w wodzie. Następnie ćwiczyli podróżowanie pod spodem, pod osłoną wywróconej łodzi. Wreszcie jeszcze raz obracali jednostkę i pakowali się całą załogą na pokład.

Tyle że zwiadowca nie zawsze będzie miał ze sobą ponton. Musi więc opanować sztukę improwizacji. W myśl idei, że wszystko pływa, sporządzali tratwy do suchego i bezpiecznego przeprawienia wyposażenia i broni. Pokonanie kilkudziesięciometrowego przesmyku wpław i równocześnie holowanie całego dobytku na tratwie sporządzonej z płachty foliowej wypełnionej leśnym suszem było nie lada wyzwaniem. →

Po kilku dniach radzili sobie świetnie, pływając w mundurach, butach i z bronią oraz ze związanymi nogami.

PIOTR BERNABIUK (3)

Instruktorami byli oficerowie, podoficerowie i szeregowi, bo w tym wypadku nie liczył się stopień, lecz kwalifikacje instruktorskie.

Inną przeszkodę stanowiły mokradła. Niektórzy twierdzą, że najlepiej je obejść… Kpt. Marek Szpakowski, dowódca kompanii rozpoznawczej, a zarazem kursu szkolenia wodnego, miał jednak odmienne zdanie w tej kwestii: „Obiekt, który żołnierze mają rozpoznać, mieści się kilka kilometrów za bagnem. Przeciwnik z pewnością wystawił wokół ubezpieczenia i na leśnych drogach działają jego patrole. Zwiadowcy znajdujący się w środku jego ugrupowania, dziesiątki kilometrów od sił własnych, nie mogą związać się walką, bo po chwili ruszy przeciwko nim cały batalion. Nie będzie wielkich szans na wyjście cało z okrążenia. Nie wykonają też zadania. Naszą siłą w takiej sytuacji jest skrytość działania”.

Przeprawa przez mokradła z pewnością nie należała do przyjemności. Pełzanie z twarzą zanurzoną w błocie wymagało dużego samozaparcia. A na dodatek trzeba było to robić z wielką uwagą, żeby się nie zdemaskować, nie poruszyć trzcin, nie złamać gałęzi.

NA SZCZĘŚCIE SPRZYJAŁA IM POGODA. MUNDURY SCHŁY JUŻ PO KILKU GODZINACH, ALE GORZEJ BYŁO Z NASĄCZONYMI WODĄ BUTAMI

RAMIĘ W RAMIĘ

Zajęcia pływackie i przeprawowe prowadzili szeregowi, podoficerowie i oficerowie. Por. Tomasz Jedliński, dowódca kompanii dalekiego rozpoznania, prowadzący zarazem naukę pływania, nie widzi w tym naruszenia wojskowej hierarchii: „W trakcie tak specyficznego szkolenia jak kurs wodny, liczą się kwalifikacje, a nie stopnie wojskowe. Część kolegów instruktorów ma w tej dziedzinie większe ode mnie doświadczenie. Nie ma w tym dla nikogo ujmy, że porucznik pracuje ramię w ramię z szeregowym albo szeregowy uczy pływać oficera”.

Pułk nie ma własnego zaplecza do szkolenia wodnego, więc każdy żołnierz o odpowiednich kwalifikacjach jest tutaj na wagę złota. Między innymi takimi skarbami są dla jednostki st. kpr. Grzegorz Chmura i st. szer. Paweł Snopek, magistrowie wychowania fizycznego, instruktorzy pływania, a zarazem ratownicy wodni. Z prowadzeniem zajęć wodno-ratowniczych świetnie radzi sobie również zwiadowca, st. szer. Dariusz Pastuszka, ratownik medyczny z pięcioletnim stażem nauczycielskim w gimnazjum.

St. kpr. Grzegorz Chmura dzieli się refleksją: „Nie wszyscy ludzie dobrze sobie radzą z żywiołem wodnym, więc w szkoleniu konieczne są elementy ratownictwa, pływanie, a nadto skoki mające na celu przełamanie strachu przed wodą. Po desantowaniu z szybkich łodzi motorowych, dającym potężną dawkę adrenaliny, inne zadania wydają się znacznie prostsze. W ten sposób przygotowujemy się też do skoków na wodę ze śmigłowca, a dla zwiadowców to bardziej prawdopodobny transport w rejon działania niż desant z motorówki”. ■

STARSZY SZEREGOWY DAMIAN SZAFRAN

FUNKCJA: OPERATOR

DATA I MIEJSCE URODZENIA: 1990 rok, Gołdap.

W WOJSKU SŁUŻĘ OD: października 2011 roku w 15 Pułku Przeciwlotniczym w Gołdapi.

EDUKACJA WOJSKOWA: w styczniu 2011 roku w Centrum Szkolenia Łączności i Informatyki w Zegrzu ukończyłem służbę przygotowawczą o specjalności radiostacje małej mocy.

PRZEŁOMOWE WYDARZENIE W ŻYCIU: WSTĄPIENIE DO ARMII :).

MISJE I ĆWICZENIA: w przyszłości chciałbym odbyć jakąś misję, dzięki której zdobyłbym cenne doświadczenia.

NIEZAPOMNIANY FILM: „Quest", „Krwawy sport".

NIE POTRAFIĘ ŻYĆ BEZ: bez wielu rzeczy da się żyć, ale nie wyobrażam sobie życia bez osób mi bliskich.

ZOSTAŁEM ŻOŁNIERZEM, BO: od zawsze chciałem iść do wojska. Po ukończeniu liceum planowałem kontynuować naukę w szkole podoficerskiej, ale ułożyło się inaczej – szkoły zostały zamknięte. Chciałem też podtrzymać tradycje rodzinne, mój ojciec jest emerytowanym żołnierzem.

W UMUNDUROWANIU POLSKIEGO ŻOŁNIERZA PODOBA MI SIĘ: mundur wyjściowy. Ale przede wszystkim to, że ludzie mają szacunek dla munduru.

MOJA KSIĄŻKA ŻYCIA: nie mam takiej, ale lubię czytać o sporcie i na temat treningów.

GDYBYM MÓGŁ ZMIENIĆ COŚ W WOJSKU: na pewno stworzyłbym większe możliwości rozwoju i awansu dla szeregowych. Wielu z nich to żołnierze wykształceni, którzy cały czas inwestują w siebie, tylko nikt tego nie zauważa. Może kiedyś się to zmieni. Zdecydowanie za dużo jest również biurokracji.

NAJLEPSZA BROŃ: kbk AKMS.

MOJE NAJWIĘKSZE OSIĄGNIĘCIE: do największych osiągnięć związanych ze sportem i służbą zaliczyłbym zdobycie mistrzostwa Polski służb mundurowych w kick-boxingu w 2013 roku oraz wicemistrzostwa w 2014 roku.

GDYBYM NIE ZOSTAŁ ŻOŁNIERZEM, BYŁBYM DZIŚ: MOŻE W INNYCH SŁUŻBACH MUNDUROWYCH ALBO SPEŁNIAŁBYM SIĘ W SPORCIE JAKO TRENER LUB ZAWODNIK.

CO ROBIĘ PO SŁUŻBIE: ROZWIJAM SWOJĄ PASJĘ, KTÓRĄ SĄ SPORTY WALKI, DUŻO TRENUJĘ, DODATKOWO STUDIUJĘ I SPĘDZAM CZAS Z DZIEWCZYNĄ.

OPRAC. JOANNA ROCHOWICZ
FOT. ARCHIWUM D. SZAFRANA

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

WZMOCNIONY KORPUS

Już niedługo zapadnie decyzja o wzmocnieniu dowództwa korpusu wielonarodowego w Szczecinie.

Był pierwszą strukturą NATO w państwie byłego Układu Warszawskiego, dziś jest przykładem dobrej współpracy regionalnej i integracji z sojuszem oraz partnerem we wspólnych, międzynarodowych działaniach. Mowa o Wielonarodowym Korpusie Północno-Wschodnim w Szczecinie, największej sojuszniczej jednostce w Polsce. Już wkrótce, jako jedna z dziewięciu kwater NATO w Europie, stanie się on prawdopodobnie jednostką wysokiej gotowości. W czerwcu porozumieli się w tej sprawie ministrowie obrony Polski, Niemiec i Danii. Ostateczna decyzja ma zapaść we wrześniu na szczycie NATO.

Zmiany, które po 15 latach działalności czekają Wielonarodowy Korpus Północno-Wschodni, są rezultatem decyzji Kwatery Głównej NATO w sprawie reformy sojuszu. Przyspieszyły je wydarzenia na Ukrainie. Polska zaproponowała Niemcom i Danii wzmocnienie korpusu jeszcze w ubiegłym roku. Długi czas nie było żadnej reakcji, wywołał ją dopiero kryzys ukraińsko-rosyjski. W „Der Spiegel" napisano, że wzmocnienie korpusu w Szczecinie ma stanowić symboliczną demonstrację siły wobec Rosji, oskarżanej o podsycanie konfliktu na Ukrainie.

Dowódca korpusu gen. broni Bogusław Samol przyznaje, że „ocena zagrożeń zależy od tego, gdzie w Europie leży dane państwo. To zrozumiałe, że każdy kraj postrzega je nieco inaczej i ma własną strategię". Na przykład polskim propozycjom stałego rozmieszczenia sił NATO w naszym kraju niechętne są Niemcy. Obawiają się, że będzie to prowokacja wobec Rosji.

W K P W

W MARCU 2000 ROKU **„GŁOS SZCZECIŃSKI”** DONOSIŁ, ŻE W KORPUSIE URODZIŁO SIĘ PIERWSZE NATOWSKIE DZIECKO – DZIEWCZYNKA O IMIENIU NATALKA

Jednak, jak podkreśla generał, „mimo różnic, osiągamy konsensus, na tym polega uniwersalność sojuszu”.

Projekt zmian w Wielonarodowym Korpusie Północno-Wschodnim jest gotowy, jednak gen. Samol niewiele o nich mówi. Wiadomo, że plany te nie przewidują rozmieszczenia sił bojowych, lecz jedynie wzmocnienie dowództwa korpusu. Minister obrony narodowej Tomasz Siemoniak podczas wizyty w Szczecinie w maju 2014 roku zapewnił, że „sojusz widzi w korpusie ważny element wzmacniania bezpieczeństwa, a wzmocnienie wschodniej flanki NATO powinno odbyć się między innymi poprzez wzmocnienie korpusu”. Dzisiaj jako kwatera sił NATO niższej gotowości sztab ma od 91 do 180 dni na przygotowania do udziału w misji. W siłach wyższej gotowości czas ten skraca się do 90 dni.

„Podniesienie gotowości bojowej korpusu umożliwi szybsze jego reagowanie w wypadku zagrożeń czy sytuacji kryzysowych”, tłumaczy gen. Samol. Teraz szczecińska kwatera korpusu ma nieco ponad 240 osób kadry. Zdaniem dowódcy, w razie zmiany jej statusu liczba ta powinna zwiększyć się o około 200. Wzmocniony korpus osiągnie zdolność dowodzenia siłami liczącymi 70–100 tys. żołnierzy.

WBREW UPRZEDZENIOM

Początki współpracy duńsko-niemiecko-polskiej sięgają połowy lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku. W 1996 roku prezydent Aleksander Kwaśniewski oceniał, że wspólny korpus to lepsza koncepcja niż propozycja kanclerza Helmuta Kohla powołania jednostki polsko-niemieckiej, pozwalała bowiem ominąć historyczne uprzedzenia.

18 września 1999 roku Wielonarodowy Korpus Północno-Wschodni rozpoczął działalność. Pierwszym dowódcą został duński gen. broni Henrik Ekmann, na siedzibę wybrano Szczecin, a za język obowiązujący w sztabie uznano angielski.

W następnych latach w Koszarach Bałtyckich pojawiały się flagi kolejnych państw: Estonii, Litwy i Łotwy (2004), Słowacji i Czech (2005), Stanów Zjednoczonych (2006), Rumunii (2008), Słowenii (2009), Chorwacji (2012) oraz Węgier (2013). Dziś Korpus liczy około 240 żołnierzy z 13 krajów, w tym 80 z Polski (prawdopodobnie wkrótce dołączą Szwedzi). Dowódcą jest gen. broni Bogusław Samol, jego zastępcą duński gen. dyw. Anger Rokos, a szefem sztabu niemiecki gen. bryg. Lutz Niemann. Duńczycy kierują sprawami personalnymi i planowaniem, Niemcy – sprawami operacyjnymi i łącznością, Polacy – rozpoznaniem, logistyką oraz finansami. Szef każdego wydziału ma zastępcę innej narodowości.

Pułkownik Kai-Uwe Stupmf jest szefem G-3, oddziału operacyjnego. Kieruje przygotowaniami do prowadzenia operacji (także do misji afgańskiej), nadzoruje je i koordynuje. „W moim oddziale są oficerowie dziewięciu różnych narodowości. Międzynarodowa współpraca poszerza horyzonty, w tej różnorodności tkwi siła”.

W czasie pokoju działa tyko sztab korpusu, finansowany solidarnie głównie przez armie Polski, Niemiec i Danii. Jako część struktury wojskowej sojuszu, korpus może być użyty w ramach obrony kolektywnej krajów NATO. Do jego zadań należy wspieranie operacji pokojowych, a także planowanie i prowadzenie humanitarnych.

WOJCIECH WIŚNIEWSKI/WKPW

Żołnierze WKPW biorą regularnie udział w ćwiczeniach międzynarodowych, takich jak „Crystal Eagle" (na zdjęciu) czy „Viking", oraz w krajowych – „Anakonda", „Dragon" lub „Bagram".

Aby się dobrze zintegrować, nowa jednostka potrzebowała czasu i wspólnych ćwiczeń. Wstępną zdolność operacyjną do wykonywania zadań w ramach artykułu 5 traktatu waszyngtońskiego korpus uzyskał we wrześniu 2000 roku w trakcie ćwiczeń „Crystal Eagle 2000". We wrześniu 2003 roku osiągnął tymczasową zdolność operacyjną. Pomyślnie przebiegły także ćwiczenia certyfikujące „Compact Eagle" w listopadzie 2005 roku. W lutym 2006 roku gen. James Jones ogłosił, że korpus osiągnął pełną gotowość operacyjną.

„Aby nie stracić formy, regularnie bierzemy udział w ćwiczeniach międzynarodowych, takich jak »Crystal Eagle« czy »Viking«, oraz w krajowych – »Anakonda«, »Dragon« lub »Bagram«", mówi mjr Marcin Walczak. Jak tłumaczy, korpus realizuje kilkuletni cykl szkolno-treningowy, którego kumulacją są ćwiczenia organizowane dla jednostek wytypowanych przez państwa zrzeszone w korpusie. Największe z nich noszą nazwę „Kryształowy orzeł". Ich przeprowadzenie na taką skalę wymaga wielomiesięcznych przygotowań, wielu ustaleń i porozumień.

W 2013 roku po raz pierwszy odbyły się ćwiczenia „na życzenie". O ich przeprowadzenie poprosili Niemcy, którzy chcieli lepiej przygotować do afgańskiej misji jedną ze swoich jednostek. W niemieckim centrum symulacji działań wojennych w ćwiczeniach „Crystal Eagle '13" wzięło udział ponad 1400 żołnierzy z 19 krajów, w tym niemiecka 1 Dywizja Pancerna oraz polska 10 Brygada Kawalerii Pancernej (te jednostki razem z korpusem przygotowywały się wówczas do udziału w misji w Afganistanie). „Wszystko skrupulatnie zaplanowaliśmy pod afgański scenariusz. Odzwierciedlał on sytuacje, które mogły czekać na żołnierzy podczas misji. Skupiliśmy się nie tylko na wypadkach militarnych, lecz także wzięliśmy pod uwagę nieoczekiwane informacje, które mogły wpłynąć na przebieg misji", mówi mjr Walczak.

MISJA W AFGANISTANIE

W 2006 roku NATO postanowiło, że w 2007 roku korpus wejdzie w skład kolejnej zmiany dowództwa Międzynarodowych Sił Wsparcia Bezpieczeństwa (ISAF) w Afganistanie. Sojusz zmienił wówczas strukturę dowodzenia ISAF z korpusowej na kompozytową (tworzyły ją już nie konkretne jednostki, lecz oficerowie z różnych krajów), więc 160 żołnierzy korpusu obsadziło tylko część stanowisk. Pełnili służbę od lutego do sierpnia 2007 roku.

Podczas drugiej misji – od lutego do sierpnia 2010 roku – około 130 żołnierzy wielonarodowego korpusu służyło w dowództwie sił połączonych ISAF oraz w Połączonym Dowództwie Operacyjnym (IJC) w Kabulu. W tym roku po raz trzeci korpus uczestniczy w afgańskiej misji. „To specyficzny czas, bo wygasa mandat ISAF", zwraca uwagę mjr Walczak. Na początku roku do Afganistanu wyjechała pierwsza grupa ponad 20 żołnierzy, ponad setka dołączyła w lipcu. Do końca miesiąca wspierali oni działalność Korpusu Szybkiego Reagowania NATO z Turcji, w drugiej połowie roku oficerowie i podoficerowie ze szczecińskiego korpusu stanowią trzon dowództwa, z mniejszym udziałem żołnierzy tureckich.

Gen. Samol wysoko ocenia zaangażowanie korpusu w Afganistanie. Mjr Walczak uważa, że „korpus to dobre miejsce do przygotowania kadry dla struktur poza granicami kraju".

W SYMBIOZIE Z MIASTEM

W 1999 roku gen. Edward Pietrzyk, zastępca dowódcy korpusu, przypomniał, że na szczecińskim cmentarzu centralnym jest pochowanych 130 tys. Polaków i 120 tys. obywateli niemieckich. To dowód na wielokulturową przeszłość miasta. O ile przed 15 laty żołnierze w obcych mundurach wzbudzali na szczecińskich ulicach zainteresowanie, o tyle dziś ten widok spowszechniał.

Płk Strumpf, który kilka lat temu przyjechał do Szczecina, zauważył, że starsi mieszkańcy mówią po niemiecku, ze średnim pokoleniem można porozumieć się po rosyjsku, a młodzi znają język angielski. Przed wyjazdem zastanawiał się, co go czeka w obcym mieście (żona została w Berlinie). Nie przypuszczał na przykład, że w Polsce można wezwać po godzinie 20 hydraulika. „W Niemczech to niemożliwe", śmieje się pułkownik.

Korpus wrósł w miasto i, jak mówi gen. Samol, „stał się jednym z elementów życia społecznego w Szczecinie". W Bałtyckich Koszarach zatrudnienie znaleźli także mieszkańcy, różne firmy nawiązały współpracę z dowództwem korpusu, a do miejskiej kasy wpływają wyższe podatki. Studenci Wyższej Szkoły Integracji Europejskiej dwukrotnie uczestniczyli w ćwiczeniach „Kryształowy orzeł", przygotowujących stanowiska dowodzenia do wykonywania zadań. Gen. Samol wygłasza wykłady na temat roli korpusu w realizacji natowskiej polityki bezpieczeństwa. Chwali także współpracę z lokalnymi i regionalnymi władzami. Porozumienie z wojewodą, podpisane wiosną 2014 roku, przewiduje wspólne ćwiczenia oraz wymianę informacji w razie zagrożeń militarnych czy klęsk żywiołowych. Prezydent Szczecina Piotr Krzystek zapewnia, że „miasto czuje obecność NATO w Szczecinie i bardzo się z tego cieszy. Mamy nadzieję, że żołnierze pracujący w korpusie są ambasadorami Szczecina w swoich krajach". ■

PATRONAT **POLSKI ZBROJNEJ**

V FESTYN KOMANDOSA

BOGUSŁAW POLITOWSKI

„Mrófki” i jego ludzie

Wysokogórska akcja żołnierzy z Task Force 50 w Afganistanie

„Gdy ktoś zaczyna strzelać w moim kierunku lub do moich ludzi, nie panikuję, tylko działam instynktownie. Wówczas strach schodzi na dalszy plan, a włączają się nawyki ze szkolenia”.

MARCIN WÓJCIK/WOJNOGRAFIA.PL

Na wąskiej półce skalnej lądowali w nietypowy sposób. Potężny dwuwirnikowy śmigłowiec Chinook z amerykańskiej eskadry działań specjalnych tylko tylną częścią podwozia oparł się o skały i załoga natychmiast otworzyła rampę. Przód maszyny wisiał nad przepaścią. Gdy ostatni komandos zeskoczył z pokładu, śmigłowiec szybko odleciał. Nie było miejsca w wysokich górach na zwykłe lądowanie. Amerykanie obawiali się też, że duża maszyna może być łatwym celem. W ten sposób komandosi znaleźli się ponad 3 tys. m n.p.m. Każda z trzech sekcji lądowała na innej półce skalnej i w rejon operacji miała dotrzeć inną drogą. W dole rozpościerał się dystrykt Sar Hauza afgańskiej prowincji Paktika, a gdzieś za górskimi grzbietami znajdowała się baza Sharana, w której stacjonowali.

Tuż po wylądowaniu dowódca grupy bojowej o pseudonimie „Mrófki” nawiązał łączność z dowódcami sekcji. Wszystkie wylądowały szczęśliwie. Dwie bojowe, jedna wsparcia, snajperzy oraz kilku policjantów z oddziału specjalnego lokalnej policji – w sumie około 30 osób było gotowych do akcji. Oficer dał znak do wymarszu.

AKCJA ROZPOZNAWCZA

W kwietniowy dzień 2013 roku polscy operatorzy z Jednostki Wojskowej Komandosów oraz miejscowi policjanci na prośbę amerykańskich sojuszników znaleźli się w wysokich partiach Hindukuszu. W nocy talibowie zaatakowali posterunek lokalnej policji i zginęło kilku funkcjonariuszy. Po tym starciu rebelianci szybko wycofali się w góry. Amerykanie wysłali za nimi szturmowe śmigłowce Apache, odnaleźli mały oddział napastników i go ostrzelali. Nie wiedzieli jednak, czy terroryści ponieśli straty. Poproszono wówczas o pomoc Polaków. Komandosi z Task Force 50 XII zmiany Polskiego Kontyngentu Wojskowego w Afganistanie mieli sprawdzić skutki ataku z powietrza.

„Mieliśmy policzyć ewentualnych zabitych, oszacować skutki nalotu i zlikwidować lub ująć pozostałych przy życiu członków grupy terrorystycznej”, wspomina dowódca grupy. „Chodziło również o znalezienie bazy rebeliantów i jej zniszczenie. Akcja, chociaż została szybko przygotowana, nie była spacerkiem. Wylądowaliśmy na dużej wysokości, w niedostępnych partiach gór, na zupełnie nieznanym terenie. Za każdym załomem skalnym mógł czaić się snajper, a pod każdym kamie-

niem na górskiej ścieżce mogła leżeć mina. Zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że lekko uzbrojeni bojownicy doskonale znają góry, więc mają nad nami przewagę".

Ze zwiadu lotniczego wynikało, że na jednym z grzbietów skalnych znajdowała się maleńka wioska. Prawdopodobnie było to kilka namiotów należących do wędrownego plemienia Kuczi. To mogła być też baza, w której po walce ukrywają się terroryści.

„Po kilkugodzinnej wspinaczce operatorzy z sekcji, do której dołączyłem, zobaczyli namioty. Ostrożnie zbliżyliśmy się do obozowiska. Zaskoczyło nas to, co zobaczyliśmy", wspomina „Mrófki". „Baza rebeliantów była doskonale wyposażona. W namiotach i w ich pobliżu znaleźliśmy magazyny broni i amunicji. Były tam między innymi – oprócz broni indywidualnej, karabinków kbk AK kalibru 7,62 mm, popularnych kałasznikowów – karabiny maszynowe PK, amerykańskie granatniki przeciwpancerne LAW, rosyjskie RPG-7. Rebelianci stworzyli sobie dobre zaplecze logistyczne – znaleźliśmy worki warzyw, nowe mundury, bieliznę. Było też widać, że to miejsce opuścili przed chwilą. Na kuchniach stały bowiem gorące garnki z jedzeniem. Musieliśmy być zatem bardzo ostrożni. Wiedzieliśmy, że w każdej chwili możemy zostać zaatakowani".

„MRÓFKI" PRYWATNIE JEST DOBRYM MĘŻEM I OJCEM.

Sam się rozgrzesza z długich nieobecności w domu, bo żona Wioletta zna charakter służby. On uwielbia bawić się z dziećmi. Sześcioletni syn Tymon jest dumny, gdy widzi tatę w mundurze. Sonia ma dopiero trzy lata i jest oczkiem w głowie komandosa. Nie do końca rozumie jednak, dlaczego tatusia tak często nie ma w domu... „Mrófki" lubi też chodzić z rodziną po górach. Według niego, polskie są znacznie ładniejsze niż te w Afganistanie. Nie lubi pracować w przydomowym ogródku, ale sprawdza się za to w kuchni. Dużo też czyta, najbardziej interesuje go historia wojskowości.

Wkrótce po odnalezieniu bazy dowódca polskich komandosów otrzymał wiadomość, że operatorzy innej sekcji, którzy podchodzili na górski grzbiet z przeciwnej strony, znaleźli miejsce ostrzelane przez śmigłowce. Wśród skał leżało siedmiu zabitych terrorystów. Zwłoki były ułożone jedne przy drugich, a obok stały prowizoryczne nosze do transportu. Prawdopodobnie pozostali przy życiu rebelianci uciekli, gdy usłyszeli śmigłowce, i schowali się w jaskiniach w wyższych partiach.

„Zameldowałem do dowództwa, że znaleźliśmy zwłoki rebeliantów. Następnie dokonaliśmy oględzin ciał, cały czas się ubezpieczając. Przeprowadziliśmy tak zwaną biometrykę, czyli zrobiliśmy zabitym zdjęcia i pobraliśmy ich odciski palców. Poza tym w obozowisku zebraliśmy wszelkie dowody przestępczej działalności, dokumenty, środki łączności, czyli wszystko to, co mogło się przydać oficerom wywiadu. W tym celu zrobiliśmy też zdjęcia. Zabraliśmy ze sobą broń, a pozostałe rzeczy, które mogłyby się jeszcze przydać rebeliantom, w tym amunicję wysadziliśmy. Po kilkunastu godzinach wróciliśmy do bazy", wspomina dowódca komandosów.

CHŁOPAK Z SĄSIEDZTWA

„Mrófki" ma 34 lata. Sprawia wrażenie spokojnego faceta z sąsiedztwa. Często się uśmiecha. Operatorzy z Lublińca wiedzą jednak, że w czasie akcji bojowych ten uśmiech znika. Wtedy pojawia się maksymalna koncentracja. Mówią, że ich dowódcę cechują olbrzymia odwaga, zmysł precyzyjnego planowania, analityczny umysł i celność oka. On natomiast o swoich chłopakach opowiada z uśmiechem, że to grupa niespotykanie spokojnych zabijaków. Ludzi z silnymi charakterami, którzy są w stanie wykonać nawet najbardziej niebezpieczne zadanie. Właśnie oni dawno temu nadali mu ksywę „Mrófki". Nie „Mrówka", bo to rodzaj żeński, i nie przez „w", aby było oryginalnie.

W Afganistanie „Mrófki" był na dwóch zmianach – VIII i XII. Brał udział w wielu operacjach specjalnych. Szczególnie podczas pierwszego pobytu, gdy stacjonował w bazie Warrior, często dochodziło do kontaktów z przeciwnikiem. Przyznaje, że wówczas większa część akcji, w których brał udział, wiązała się z walką: „Nigdy nie żałowałem, że zostałem komandosem. Nawet wtedy, gdy bywało bardzo gorąco. Pierwsze pociski gwiżdżące nad głową każdy przeżywa inaczej. Mnie do takich sytuacji przygotowało szkolenie. Gdy ktoś zaczyna strzelać w moim kierunku lub do moich ludzi, nie panikuję, tylko działam instynktownie. Wówczas strach schodzi na dalszy plan, a włączają się nawyki ze szkolenia. Pierwszy raz strzelano do mnie w 2011 roku w miejscowości Purdel, znajdującej się 8 km od bazy Warrior. Doszło tam do intensywnej wymiany ognia. W tej wiosce było sporo rebeliantów. Ze zbocza pobliskiej góry, nazywanej przez nas płetwą wieloryba, bardzo często ostrzeliwali bazę. Postanowiliśmy to ukrócić. Aby ich dopaść, musieliśmy wejść do wioski i tam zdobywać dom po domu. To było bardzo stresujące, bo nie wiedzieliśmy, z którego okna, zza którego rogu wyskoczy nagle bojownik i wygarnie serię. Umysł wtedy pracuje na najwyższych obrotach. Trzeba umiejętnie kierować ludźmi, wzajemnie się ubezpieczać, błyskawicznie reagować, ale z namysłem, aby nie postrzelić kogoś z naszych lub jakiegoś przestraszonego dziecka. Po takim doświadczeniu kontakty ogniowe nie robiły już na mnie takiego wrażenia".

ZAWSZE NA CZELE

„Mrófki" zaczął służbę wojskową w 2000 roku w Wyższej Szkole Oficerskiej Wojsk Lądowych we Wrocławiu. Po studiach pierwsze stanowisko dowódcy plutonu piechoty zmotoryzowanej objął w jednostce obrony terytorialnej w Lęborku. Nigdy nie lubił monotonii. Zawsze był żądny przygód, nowych wyzwań. Zgłosił się zatem na selekcję do Lublińca. Po roku jego marzenia się spełniły i został komandosem. Trafił do zespołu bojowego „A", a po trzech latach został dowódcą jednej z grup bojowych.

Gdy jego sekcje wychodziły z bazy na akcje bojowe, zawsze ruszał z nimi, chociaż nie musiał. Czuł, że powinien być ze swoimi ludźmi, bo ponosi za nich odpowiedzialność. Nie wszystkie operacje udawało się przeprowadzić po cichu i wiele z nich kończyło się strzelaniną „na obiekcie". Ku jego zadowoleniu z każdej jednak wszyscy wracali cali i zdrowi. Ze swoimi operatorami zatrzymywał terrorystów z czołówki JPEL (Joint Prioritized Effects List), czyli ludzi najbardziej poszukiwanych przez wojska koalicji, oraz groźnych szefów lokalnych band czy przemytników.

„Pełnię obowiązki na najlepszym stanowisku, jakie mogłem sobie wymarzyć. Chociaż bycie dowódcą wcale nie jest łatwe. Zaufanie podwładnych buduje się jednak szczerością i otwartością. W czasie operacji bojowej na przykład dowódca jest tylko częścią większej całości. Podczas planowania trzeba wysłuchać dowódców sekcji, a nawet każdego z operatorów. Nie można zdecydować o wszystkim samemu, a później powiedzieć »idźcie walczyć, życzę powodzenia«. Trzeba stanąć na czele i powiedzieć »idziemy razem«", przyznaje „Mrófki".

Komandos marzy o tym, aby mógł jak najdłużej dowodzić grupą bojową. Kiedy przyjdzie mu zmienić stanowisko czy awansować, chciałby zostać zastępcą dowódcy zespołu bojowego. Nie myśli o pracy za biurkiem. „Biała taktyka, jak żartobliwie nazywamy pracę sztabowców, nie jest dla mnie. Ja lubię ruch i adrenalinę", mówi na zakończenie. ■

ŚWIĘTO KAWALERII POLSKIEJ

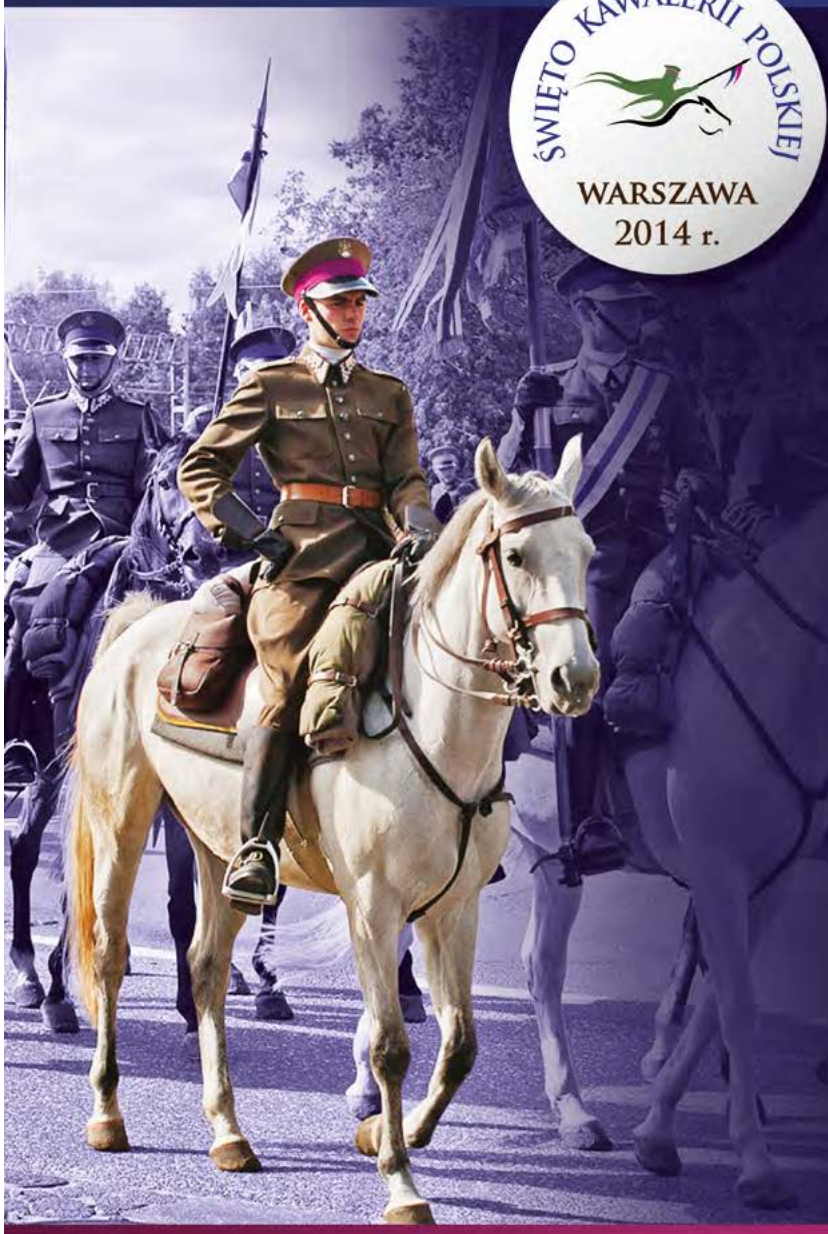

ŚWIĘTO KAWALERII POLSKIEJ
WARSZAWA
2014 r.

6 września 2014 r.

15:00 - 16:00

Przemarsz formacji kawaleryjskich ulicami Warszawy:

ul. Kozielska
ul. Tatarska
ul. Powązkowska
ul. Dzika
ul. Stawki
ul. Bonifraterska
Plac Krasińskich
ul. Miodowa
ul. Krakowskie Przedmieście
ul. Królewska
Plac Marszałka Józefa Piłsudskiego

16:00

– Kawaleryjski Apel Pamięci przed Grobem Nieznanego Żołnierza

7 września 2014 r.

Kompleks Wojskowy (hipodrom)

ul. Kozielska 4a

(dojazd komunikacją miejską – linia 103)

10:00

Msza święta polowa

12:00

Centralne obchody Święta Kawalerii:

– Kawaleryjski Konkurs Walki o nagrodę ministra ON - sztuka władania bronią białą
– Parada kawaleryjska
– Pokazy wyszkolenia żołnierzy współczesnych jednostek wojskowych dziedziczących tradycje kawaleryjskie

11:00 - 17:00

Festyn rodzinny

– Konkurs wiedzy: „Kawaleria Polska w walce o Niepodległą 1914-1920, 1939"
– Grupa rekonstrukcyjna w umundurowaniu Legionów Polskich - namiot, elementy uzbrojenia i wyposażenia
– Konkurs plastyczny: „Ułani malowani"
– Występ Studia Piosenki amatorskich zespołów artystycznych
– Zabawowe elementy pneumatyczne
– Gry zręcznościowe: rzutki, badminton, kosz, itp.
– Malowanie twarzy
– Jazda na koniu, kucu
– Popcorn, wata cukrowa

Organizator: **Dowództwo Garnizonu Warszawa**

Więcej informacji pod adresem: **www.dgw.wp.mil.pl**

Współorganizatorzy:

Patron medialny: Polska Zbrojna

Obchody Święta Kawalerii Polskiej sfinansowano z budżetu MON

PAULINA GLIŃSKA

KRÓL LOTU KOSZĄCEGO

Samolot Su-22 to legenda. Piloci cenią go za niezawodność, a entuzjaści lotnictwa za ryk dopalacza i oryginalną sylwetkę.

Jedyne miejsce w Polsce, gdzie stacjonują Su-22, najstarsze bojowe samoloty w lotnictwie polskim, to Świdwin. „Niegdyś służyły one na wojskowych lotniskach w Powidzu, Mirosławcu i Pile. Dziś tylko u nas zostały dwie eskadry, w sumie 32 egzemplarze", mówi mjr Mirosław Lorenc, rzecznik prasowy 21 Bazy Lotnictwa Taktycznego. Niedawno maszyny obchodziły 30-lecie obecności w polskich siłach powietrznych.

POWIEW NOWOCZESNOŚCI

Samoloty Su-22 trafiły do Polski w drugiej połowie 1984 roku. Łącznie w latach 1984–1988 dostaliśmy 110 maszyn – 90 bojowych jednomiejscowych Su-22M4 i 20 szkolno-bojowych, dwumiejscowych Su-22UM3K. Dla pilotów, którzy wcześniej latali na przykład na samolotach Lim, przesiadka na Su-22 była sporym krokiem ku nowoczesności.

„W tamtych czasach to była supertechnika, pierwsza w polskim lotnictwie maszyna o tak dużych możliwościach", przyznaje ppłk pil. Karol Jędraszczyk, dowódca Grupy Działań Lotniczych, który wylatał ponad 1200 godz. na tym typie samolotu. Oficer do dziś pamięta swój pierwszy lot: „To było w kwietniu 1994 roku w Pile. Pamiętam, że wszystko działo się bardzo szybko. Sam start to była chwila".

Podobne wspomnienia ma dziś płk pil. Ireneusz Starzyński, dowódca 21 Bazy w Świdwinie. „Po raz pierwszy zasiadłem za sterami Su-22 w 1993 roku. Podczas lotu towarzyszyły mi ogromne emocje. Wydawało mi się, że nie może się on zakończyć szczęśliwie, skoro przy tej prędkości oraz przy natłoku informacji, zarówno z wieży lotów, jak i od instruktora, muszę wykonać tyle czynności", mówi pułkownik. Za sterami Su-22 dowódca bazy spędził ponad 1600 godz.

„Ten samolot wielu z nas towarzyszył przez sporą część służby. Większość polskich Su-22 już nie lata, ale do wszystkich mamy niezwykły sentyment", mówi mjr Lorenc. Nadal jednak 32 maszyny są intensywnie wykorzystywane. Ich główne zadanie to niszczenie celów naziemnych, rozpoznanie oraz wsparcie wojsk lądowych. Samoloty biorą udział w ćwiczeniach w kraju i za granicą, wspierają działanie jednostek przeciwlotniczych, specjalistów naprowadzania z wojsk lądowych i wojsk specjalnych, ćwiczą z marynarką wojenną.

Od 2011 roku w 21 Bazie działa też zespół demonstracyjny (demo team) składający się z dwóch maszyn, który bierze udział w pokazach lotniczych w kraju i Europie. Nie wykonuje on typowych akrobacji lotniczych, lecz prezentuje elementy taktyczne związane na przykład z niszczeniem celów naziemnych. „Obecnie mamy czterech wyszkolonych pilotów do pracy w zespole, a dwóch kolejnych jest w fazie szkolenia. Gdy zbliżają się pokazy, bywa, że piloci wykonują dziennie jeden, dwa loty treningowe", tłumaczy ppłk Jędraszczyk. Wbrew początkowym obawom dowództwa bazy, czy takie pokazy znajdą uznanie publiczności, za każdym razem para „suczek" w powietrzu wzbudza wśród widzów wielkie emocje.

HUK NA PASIE

Su-22, pieszczotliwie zwane „suczkami" albo w kodzie NATO – fitterami, mimo nie najnowszej już techniki, cały czas są bardzo lubiane przez pilotów. Powodów jest wiele.

„Nigdy podczas lotu nie zdarzyła mi się sytuacja mrożąca krew w żyłach. To, mimo swojego wieku, dobre i niezawodne samoloty", podkreśla płk Starzyński. Słowa oficera potwierdza statystyka. Spośród siedmiu wypadków Su-22, które miały miejsce w latach 1986–2001 i w których w sumie zginęło dziewięciu polskich pilotów, żaden nie był spowodowany awarią lub usterką maszyny.

Mjr Lorenc pamięta ćwiczenia z państwami NATO, kiedy Polska nie była jeszcze członkiem sojuszu. „O Su-22 mówiono wówczas tylko dobrze", wspomina rzecznik 21 Bazy. „Nieraz słyszałem, że to samolot dla prawdziwych mężczyzn". I taki właśnie, zdaniem pilotów, jest. Jest też bardzo głośny, choć ci, którzy obcują z nim na co dzień, zdążyli się już przyzwyczaić. Najwięcej hałasu jest przy starcie. Wśród pilotów do dziś krążą opowieści o osławionych „wyjściach spod uderzenia". „To było w czasach, gdy te maszyny służyły jeszcze w Powidzu, w nieistniejącym dziś 7 Pułku Lotnictwa Bombowo-Rozpoznawczego. Samoloty startowały w jednym czasie, wykorzystując do tego dwa pasy startowe i drogi kołowania. Zdarzało się, że jednocześnie ćwiczyły nawet trzy eskadry. Taki alarmowy start był elementem szkolenia. Huk był wówczas niesamowity", przyznaje ppłk Jędraszczyk.

Oficer zwraca uwagę na jeszcze jedną cechę Su-22. „Samolot jest słabiej wyposażony niż inne współczesne maszyny, ma pewne niedogodności, jak na przykład przyrządy wyskalowane w systemie metrycznym, a nie anglosaskim. Trzeba zatem przeliczać wysokości lotu na metry, prędkość na węzły itd. Pilot musi pamiętać o tym wszystkim podczas lotu. Ten brak nowoczesności w praktyce trzeba nadrabiać zatem inwencją, wiedzą i umiejętnościami. Pilotowanie dzięki temu uczy też szacunku i pokory. To niezwykle ważne, zwłaszcza dla młodych adeptów lotnictwa", dodaje ppłk Jędraszczyk. W bazie bowiem cały czas szkolą się kolejni piloci fitterów. W Świdwinie zaczynają karierę pilota i oficera, uczą się lotniczego rzemiosła. „Odpowiedzialność za bezpieczne i efektywne przygotowanie tych ludzi do wykonywania zadań w powietrzu spoczywa nie tylko na instruktorach, ale i całym personelu bazy. Pamiętam swoje początki i staram się być bardzo wyrozumiały w tych pierwszych lotach, bo wiem, że nie należą one do najłatwiejszych", mówi płk Starzyński.

START Z DOPALACZEM

Kilka miesięcy temu za sterami Su-22 usiadła pierwsza Polka i obecnie jedyna kobieta w wojsku, która odbyła lot na samolocie tego typu. Lot ppor. Barbary Trzybulskiej, absolwentki Wydziału Lotnictwa w Wyższej Szkole Oficerskiej Sił Powietrznych w Dęblinie, trwał około 50 min. Pani pilot ćwiczyła lot do strefy, wykonała w niej podstawowe figury prostego pilotażu, między innymi kilka wiraży i beczek. Po tym wszystkim bezpiecznie wylądowała na świdwińskim lotnisku. Choć było to wyjątkowe wydarzenie, nie tylko dla bazy, lecz także dla całych sił powietrznych, a sukcesu gratulowali pani pilot gen. bryg. pil. Tomasz Mikutel, dowódca 1 Skrzydła Lotnictwa Taktycznego, płk Starzyński oraz koledzy piloci, dla niej samej było to po →

MARIUSZ SUWALSKI/SPFL AIR-ACTION

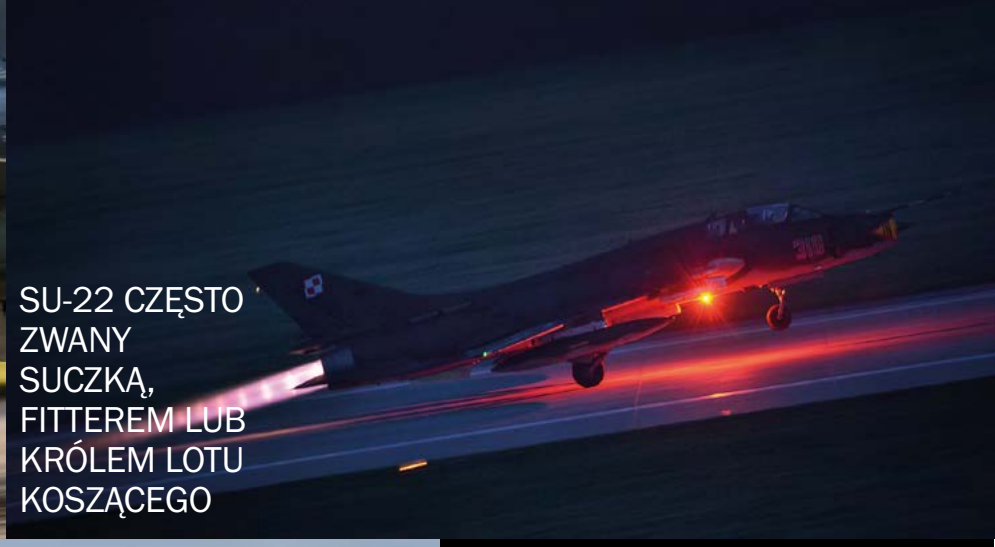

SU-22 CZĘSTO ZWANY SUCZKĄ, FITTEREM LUB KRÓLEM LOTU KOSZĄCEGO

M. SUWALSKI/SPFL AIR-ACTION (3)

SENTYMENT DO FITTERÓW

Piloci pamiętają wiele egzemplarzy, a każdy samolot to oddzielna historia. Pierwsza dostarczona „suczka" o numerze bocznym 305 i zarazem ostatnia, która opuszczała likwidowane lotnisko w Pile, stoi dziś w Muzeum Lotnictwa Polskiego w Krakowie. Inny egzemplarz – 707 – z okazji NATO TigerMeet był pierwszym samolotem ozdobionym tygrysimi ornamentami. 305 z okazji jubileuszu 25-lecia Su-22 w Polsce doczekała się natomiast czarnego malowania. Większość egzemplarzy stoi dziś w muzeach całej Polski: Warszawie, Poznaniu, Wrocławiu, Dęblinie czy Rzeszowie.

prostu wykonanie postawionego zadania. „To nie było nic szczególnego", mówiła ppor. Trzybulska. „Każdy lot wcześniej, choć w towarzystwie wpierającego mnie instruktora, wyglądał dokładnie tak samo i tak samo się kończył. Przyznaję jednak, że Su-22 to bardzo dobry samolot, lubię nim latać i nie chciałabym zmieniać tej maszyny na żadną inną".

O maszynach dobrze mówią też technicy. „Obsługa tego samolotu jest przyjemna i nie sprawia problemów. Ja sam pracowałem przy tych samolotach około 15 lat. Nie powiem, że znam w nich każdą śrubkę, ale na pewno wiem, gdzie czego szukać", mówi ppłk Andrzej Turski z Grupy Obsługi Technicznej 21 Bazy.

Su-22 jest też nie lada gratką dla miłośników wojskowej fotografii. „Samolot jest bardzo fotogeniczny, a dla nas, fotografów ma jedną podstawową zaletę – zawsze startuje na dopalaczu. Dzięki temu zdjęcia są lepsze, bardziej dynamiczne, bo ogień z tyłu zawsze robi »akcję«", mówi Mariusz Suwalski, zastępca prezesa Stowarzyszenia Polskich Fotografów Lotniczych Air-Action. W swoim archiwum fotograf ma dziesiątki zdjęć przedstawiających sylwetki „suczek". Z inicjatywy członków stowarzyszenia powstał nawet specjalny film, mający uczcić 30-letnią eksploatację Su-22 w polskich siłach powietrznych (film na You Tubie Air Action – „Dwudziesta Pierwsza" – Twenty First – Home of polish Fitters).

DALSZA SŁUŻBA

Według pierwotnych planów resortu obrony, wszystkie 32 sztuki Su-22 miały zniknąć z polskiego nieba z końcem 2015 roku. Argumentowano to między innymi wyczerpaniem resursów i koniecznością dużych inwestycji, związanych z dalszym utrzymaniem maszyn w służbie. Wszystko zmieniło się w lutym 2014 roku, kiedy minister Tomasz Siemoniak, wizytując świdwińską bazę, zapowiedział przedłużenie ich służby. Ostatecznie w czerwcu podjęto decyzję o modernizacji 18 z 32 użytkowanych obecnie maszyn, tak by wydłużyć ich eksploatację o kolejne 10 lat. Unowocześnione mają zostać najlepsze egzemplarze: 12 w wersji jednomiejscowej bojowej Su-22M4 i sześć dwumiejscowych szkolno-bojowych Su-22uM3K. Takie proporcje pozwolą zarówno intensywnie szkolić nowych pilotów, jak i podtrzymywać nawyki już doświadczonych. „Wybrany wariant jest optymalny pod względem szkoleniowym i finansowym. Pozwoli podtrzymać szkolenie kilkudziesięciu pilotów, którzy w dalszej perspektywie zasilą inne eskadry bojowe. Samoloty te będą też wspierały szkolenie operatorów wojsk specjalnych i żołnierzy wojsk obrony przeciwlotniczej, odciążając od tych zadań pilotów F-16", napisał w komunikacie płk Jacek Sońta, rzecznik ministra obrony narodowej.

Taka decyzja cieszy tych, którzy na co dzień mają do czynienia z Su. „To samolot przydatny w codziennym zabezpieczeniu funkcjonowania sił zbrojnych", mówi ppłk Jędraszczyk. „Na pewno konieczne jest doposażenie samolotów w to, co niezbędne do latania we współczesnej przestrzeni. Mam na myśli drugą radiostację, może system rejestracji parametrów lotu. Nie bez znaczenie będzie też przejście na eksploatację według stanu technicznego, a nie ograniczeń czasowych. To inspekcje określą, czy samolot nadaje się do dalszej eksploatacji, czy nie". ■

TOBIE OJCZYZNO

FESTYN PATRIOTYCZNY 13-14.09.2014 WARSZAWA

MIEJSCE: CYPEL CZERNIAKOWSKI
WEJŚCIE OD UL. SOLEC I UL. GEN. BRYG. M. ZARUSKIEGO

W RAMACH MEMORIAŁU GEN. S. PETELICKIEGO, TWÓRCY JEDNOSTKI WOJSKOWEJ GROM, POKAZ JEDNOSTEK SPECJALNYCH. WYSTAWA STATYCZNA SPRZĘTU I UZBROJENIA WOJSKA POLSKIEGO ORAZ SŁUŻB MUNDUROWYCH, REKONSTRUKCJE HISTORYCZNE I PROJEKCJA FILMÓW, ATRAKCJE DLA DZIECI. WIĘCEJ NA WWW.TOBIEOJCZYZNO.PL

ORGANIZATOR:

WSPÓŁORGANIZATORZY:

PATRON HONOROWY:
MINISTER OBRONY NARODOWEJ

ANNA DĄBROWSKA

KREW NA POLIGONIE

Dziennikarze uczyli się udzielania pierwszej pomocy od byłych żołnierzy GROM-u oraz ratowników i lekarzy z Wojskowego Instytutu Medycznego.

Sekcja specjalna komandosów uważnie przeszukuje niewielką wioskę, w której mogą się kryć rebelianci. Ubezpieczając się nawzajem, posuwają się powoli do przodu. Nagle trafiają pod silny ostrzał. Przeciwnik przygotował na nich zasadzkę. Operatorzy GROM-u wycofują się, ostrzeliwując nieprzyjaciela, i w tym momencie jeden z nich pada postrzelony na ziemię. Koledzy odciągają go na bezpieczną odległość, a do rannego podbiega ratownik.

Takim pokazem działania sekcji specjalnej po wejściu w zasadzkę rozpoczęły się jednodniowe zajęcia z podstaw ratownictwa taktycznego zorganizowane dla dziennikarzy przez warszawski Wojskowy Instytutu Medyczny (WIM) i byłych żołnierzy GROM-u skupionych wokół GROM Group.

ZATRZYMAĆ KRWOTOK

„Na polu walki ratownik jest przede wszystkim żołnierzem i jego podstawowym celem jest wykonanie zadania bojowego", tłumaczy blisko 40 dziennikarzom zebranym na dawnym poligonie jednostki GROM w Czerwonym Borze Tomasz Sanak, ratownik medyczny z Zakładu Medycyny Pola Walki WIM. Jak dodaje, wojskowy ratownik nigdy nie udziela po-

INSTRUKTORZY PRZYGOTOWALI DLA DZIENNIKARZY REALISTYCZNY TRENING

MICHAŁ ZIELIŃSKI (2)

Dziennikarze uczyli się między innymi, jak skutecznie opatrzyć rany od noża lub strzału.

mocy pod ogniem: „Dopóki przeciwnik nie zostanie zneutralizowany, ranny może sam nałożyć sobie stazę taktyczną, czyli opaskę uciskową. Dopiero kiedy nie ma zagrożenia, wkracza do akcji ratownik".

Ranny w wiosce komandos dostał postrzał w udo. Nogawkę spodni ma całą przesiąkniętą krwią. „Przede wszystkim należy zatamować krwawienie", instruuje Tomasz Sanak. Klęka, przyciskając kolanem pachwinę rannego w miejscu, gdzie tętnica biodrowa przechodzi w udową, i zakłada mu stazę taktyczną. Jak tłumaczy, trzeba ją założyć jak najwyżej i zakręcić krępulcem tak mocno, jak się da.

Po prawidłowym założeniu stazy tętno poniżej niej nie powinno być wyczuwalne. „Takie skrępowanie może pozostać na ręce lub nodze do 120 min, potem zaczyna się obumieranie komórek", dodaje ppłk dr n. med. Robert Brzozowski, kierownik Zakładu Medycyny Pola Walki WIM. Dlatego, kiedy krwotok zostanie opanowany, trzeba na ranę założyć opatrunek powleczony preparatem hemostatycznym, tamującym krwawienie. Wtedy można poluzować stazę. „Opatrunek trzeba upakować w ranie jak najściślej, aby uciskał wszystkie rozerwane naczynia krwionośne", tłumaczyli instruktorzy.

MICHAŁ ZIELIŃSKI

Pokaz działania sekcji specjalnej po wejściu w zasadzkę przygotowali byli gromowcy.

PIOTR BERNABIUK

W czasie, kiedy ratownik udzielał pomocy rannemu, radiooperator wezwał wóz ewakuacji medycznej, a pozostali żołnierze osłaniali ewakuację. „Cały czas trzeba pamiętać, że bezpieczna sytuacja może w każdej chwili się zmienić. Dlatego przy rannym wykonujemy tylko niezbędne czynności i jak najszybciej go zabieramy", kończy pokaz Tomasz Sanak.

Z MISJI DO KARETEK

„Celem szkolenia jest uświadomienie, że wiele doświadczeń zdobytych na wojnie można przenieść do ratownictwa cywilnego", wyjaśnia zebranym gen. bryg. dr hab. Grzegorz Gielerak, dyrektor WIM-u. Jak dodaje, tak dzieje się już w Zakładzie Medycyny Pola Walki, podległej mu instytucji, który korzysta z rozwiązań wprowadzonych w polskim szpitalu polowym w Ghazni i bojowych doświadczeń żołnierzy jednostki specjalnej.

Szkolenie w Czerwonym Borze zainaugurowało jednocześnie współpracę między instytutem a GROM Group. „Paramedycy służący w jednostce GROM mają unikatowe umiejętności. Zbierali doświadczenia, ratując ludzi w sytuacjach skrajnie niebezpiecznych w czasie misji w Afganistanie, Iraku, Bałkanach czy na Haiti", podkreśla gen. Gielerak. „Warto korzystać z ich wiedzy".

Jak dodaje mjr rez. Tomasz Kowalczyk, prezes GROM Group, który przez kilkanaście lat służył w tej jednostce, takie umiejętności przydają się nie tylko żołnierzom na misjach, lecz także służbom ratunkowym, a nawet zwykłym cywilom, na przykład dziennikarzom.

W czasie zajęć instruktorzy wskazywali także różnice i podobieństwa między ratownictwem cywilnym a taktycznym, prowadzonym zgodnie z wytycznymi taktyczno-bojowej opieki nad poszkodowanym (Tactical Combat Casualty Care – TCCC). „W ratownictwie cywilnym obowiązuje taka kolejność działania: sprawdzić drożność dróg oddechowych, oddech i krążenie. W wojsku dokładnie odwrotnie", wylicza mjr Kowalczyk.

Ponadto, jak dodaje Tomasz Sanak, wśród cywilnych ratowników staza i opatrunki hemostatyczne są dopiero powoli wprowadzane i na razie dysponują nimi tylko załogi lotniczego pogotowia ratunkowego. Dlatego na co dzień podczas ratowania komuś życia trzeba improwizować, na przykład używać chusty trójkątnej i długopisu. „Ma to tę wadę, że założenie gotowego opatrunku uciskowego trwa 10–15 s, a improwizowanego krępulca nawet minutę. A czas jest bardzo ważny, bo przy uszkodzeniu dużego naczynia krwionośnego ranny traci przytomność już po czterdziestu kilku sekundach", uzupełnia ppłk Brzozowski.

Na poligonie instruktorzy zaprezentowali też przykłady ratownictwa według cywilnych standardów. Jeden z żołnierzy, biorący udział w szkoleniu wysokościowym, ulega zaplanowanemu wypadkowi. „Sprawdzamy tętno, oddech, stabilizujemy głowę i odcinek szyjny kręgosłupa, badamy rannego, szukając urazów", opisują instruktorzy. Okazało się, że żołnierz ma otwarte złamanie kości piszczelowej. Ratownicy założyli mu szynę i wezwali karetkę. Cały czas jeden z nich rozmawiał z rannym, kontrolując jego oddech i reakcje. Kolejnym punktem zajęć było gaszenie pożaru przez złożoną z dziennikarzy obsługę bojowego wozu straży oraz pokaz udzielania pomocy osobie wyniesionej z płonącego budynku.

Szkolenie połączono z warsztatami praktycznymi dla uczestników z podstawy ratownictwa taktycznego. „Ratownik musi nauczyć się udzielać pomocy nie tylko w komfortowych warunkach, lecz także w ciasnych, ciemnych i głośnych pomieszczeniach czy przy skrajnym zmęczeniu", mówili byli gromowcy. Jaką to stanowi różnicę, pokazano dziennikarzom na przykładzie zakładania stazy. Najpierw wszyscy ćwiczyli to na sucho, potem część kursantów pokonywała kilkusetmetrowy wojskowy tor przeszkód. Chętni czołgali się pod zasiekami z drutu kolczastego, pokonywali rowy z wodą, przeskakiwali przez ściany z desek.

Kiedy zmęczeni dotarli do końca toru, instruktorzy zasymulowali u nich rany postrzałowe ręki lub nogi. „Dostałeś w rękę, jest bezwładna, zakładaj stazę. Szybko, bo krew leci!", krzyczeli. O tym, że w takich warunkach niełatwo jest wykonać nawet proste czynności, przekonała się między in-

MICHAŁ ZIELIŃSKI (3)

Zakładanie stazy nie jest takie trudne, ale zrobienie tego w stresie i zmęczeniu to już wyzwanie.

PIOTR BERNARDYK

NA POLU WALKI PODSTAWOWYM CELEM WOJSKOWEGO RATOWNIKA JEST WYKONANIE ZADANIA BOJOWEGO, A DOPIERO POTEM POMOC RANNEMU

nymi Agnieszka Drążkiewicz z Informacyjnej Agencji Radiowej. „Samo zakładanie stazy nie jest takie trudne, ale zrobienie tego w stresie i zmęczeniu to już wyzwanie", mówiła po ćwiczeniach.

CHCEMY WIĘCEJ

Spotkanie było pierwszym z cyklu planowanych warsztatów skierowanych do mediów. O tym, że takie szkolenia są potrzebne, świadczyły uwagi jego uczestników. „To był wstępny etap wiedzy, teraz mamy nadzieję na kontynuacje i coraz bardziej zaawansowane ćwiczenia", stwierdził „Szaszłyk". „Możliwość obserwowania GROM Group w akcji jest wartościowa. Zależy nam też na jak największej liczbie ćwiczeń w jak najbardziej realnych warunkach", dodawali inni.

Monika Krasińska z Polskiego Radia Katowice uważa, że na kolejnych zajęciach warto poruszyć między innymi kwestię sprzętu, którego można użyć zamiast profesjonalnego wyposażenia ratowniczego, oraz zasad kompletowania podręcznej apteczki.

Uczestnikom spodobał się też sprawdzian na torze przeszkód i trening zakładania stazy w zmęczeniu i pozorowanym stresie. „Można się było przekonać, jak działamy w takiej sytuacji i gdzie jest nasz limit, dlatego warto organizować jak najwięcej takich pozoracji", mówili.

Z kolei „Agapow" z obronnego Stowarzyszenia „Fideles et Instructi Armis" podkreślał zalety przeniesienia wojskowych standardów i doświadczenia ratowników na grunt cywilny. „Ta wiedza może się przydać nawet w czasie spaceru po mieście", stwierdził. ■

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

DŁUGA MISJA

Kosowski PKW w razie potrzeby może zostać wzmocniony polskim kontyngentem w Bośni i Hercegowinie.

WALDEMAR MŁYNARCZYK/COMBAT CAMERA DORSZ

Przyłączenie Krymu do Rosji ożywiło separatystów na Bałkanach. W Bośni i Hercegowinie znowu pojawiły się żądania odłączenia się Republiki Serbskiej. „Skoro może istnieć Albania i samozwańcze Kosowo, dlaczego nie mogą funkcjonować dwa serbskie państwa?", pyta Milorad Dodik, prezydent Republiki Serbskiej. Sytuację wykorzystuje Rosja, która chce mieć szersze wpływy na Bałkanach i popiera rozpisanie referendum w Bośni i Hercegowinie.

Eksperci ostrzegają, że oddzielenie się Republiki Serbskiej mogłoby doprowadzić do powrotu sytuacji z lat dziewięćdziesiątych, kiedy na Bałkanach wybuchła wojna. Nastroje separatystyczne w Bośni i Hercegowinie wpływają także na to, co się dzieje w sąsiednim Kosowie. W tej do niedawna serbskiej prowincji, a od 2008 roku niepodległym państwie, 90% ludności to Albańczycy. Niepokojom w regionie mają zapobiegać międzynarodowe siły pokojowe NATO – Kosovo Force (KFOR). Od 1999 roku w ich skład wchodzi także kontyngent polski. W sytuacji kryzysowej może on zostać wzmocniony Polskim Kontyngentem Wojskowym w Bośni i Hercegowinie (i vice versa).

KOŚĆ NIEZGODY

Mimo że w 2013 roku Belgrad i Prisztina podpisały porozumienie w sprawie normalizacji stosunków (choć Serbia oficjalnie nie uznała niepodległości Kosowa), w Kosowie, szczególnie na północy, napięcia nie ustają. Kością niezgody są także plany utworzenia w tym kraju sił zbrojnych. Belgrad uważa, że Prisztina odchodzi od rezolucji 1244 Rady Bezpieczeństwa ONZ, która stanowi, że tylko siły międzynarodowe KFOR, podlegające NATO, „mają mandat do zapewniania bezpieczeństwa, jeśli chodzi o wszelkie aspekty militarne niezbędnych do tego działań". Kosowo ma już zalążek przyszłej armii w postaci lekko uzbrojonych, liczących 2,2 tys. funkcjonariuszy, Kosowskich Sił Bezpieczeństwa. Powołano je w 2009 roku wbrew protestom Serbów, którzy uważają, że stanowią one zagrożenie dla serbskiej mniejszości. Zastąpiły one liczący 5 tys. ludzi Korpus Ochrony Kosowa, złożony głównie z dawnych albańskich partyzantów walczącej z Serbami Wyzwoleńczej Armii Kosowa (UÇK), która została rozwiązana w 1999 roku.

Wiosną 2014 roku posłowie reprezentujący serbską mniejszość uniemożliwili uchwalenie ustawy o utworzeniu armii kosowskiej i w czerwcu odbyły się wybory parlamentarne. Po raz trzeci wygrała Demokratyczna Partia Kosowa premiera Hashima Thaçiego. Nad bezpiecznym przebiegiem głosowania czuwały policja kosowska, europejska misja prawno-policyjna EULEX (w jej skład wchodzą też polscy policjanci) oraz natowskie międzynarodowe siły wojskowe KFOR, w tym żołnierze XXX zmiany Polskiego Kontyngentu Wojskowego KFOR (obecną zmianę wystawił 11 Mazurski Pułk Artylerii, który wspomogły inne jednostki).

„Wybory odbyły się w wyjątkowo spokojnych okolicznościach i w sposób demokratyczny. Zespoły łącznikowo-monitorujące patrolowały swoje strefy odpowiedzialności do późnych godzin nocnych. Po każdym patrolu spływały do mnie meldunki, a szefowie zespołów byli w stałym kontakcie z policją kosowską", mówi ppłk Krzysztof Brodecki, dowódca XXX zmiany PKW. I zapewnia, że newralgiczne miejsca, w których dochodzi do naruszenia porządku publicznego, są objęte stałym monitoringiem telewizyjnym i kontrolowane przez całą dobę.

PRZECIERANIE SZLAKU

W tym roku mija 15 lat funkcjonowania Polskiego Kontyngentu Wojskowego w Kosowie. Przez ten czas Polacy udowodnili, że są dobrze wyszkoleni i przygotowani do wykonywania powierzonych im zadań. Szlak przecierali żołnierze 18 Batalionu Desantowo-Szturmowego z Bielska-Białej pod dowództwem ppłk. Romana Polko, którzy 15 lat temu jako pierwsi pojechali do Kosowa. Misja rozpoczęła się 12 czerwca 1999 roku na mocy mandatu ONZ. 18 czerwca Polska wysłała bielski batalion, będący polską jednostką wojskową odwodu strategicznego naczelnego dowódcy sił zbrojnych NATO w Europie.

„Od podstaw, w szczerym polu niedaleko miejscowości Kačanik, zbudowaliśmy bazę, nazwaną później Orzeł Biały", wspomina dziś gen. Roman Polko. „Było nas blisko tysiąc żołnierzy. Oprócz 800 Polaków, także 105 Ukraińców i 30 Litwinów. Naszym pierwszym dowódcą był gen. John →

KOMENTARZ

MAREK TOMASZYCKI

Polski wkład w operację międzynarodową prowadzoną na terenie Kosowa jest najstarszą misją, w jakiej obecnie uczestniczy nasze wojsko. Początek funkcjonowania PKW zbiegł się niemal z rozpoczęciem naszej obecności w NATO. Przez owe 15 lat zmieniały się liczebność kontyngentu, miejsce jego stacjonowania i wewnętrzna struktura. Obecnie najważniejszymi elementami liczącego 230 osób PKW są kompania manewrowa i zespoły łącznikowe. Przez lata jednak jego podstawowe zadanie, czyli monitorowanie przestrzegania porozumień i traktatów międzynarodowych w celu stworzenia warunków dla bezpiecznej egzystencji oraz normalizacji sytuacji w rejonie odpowiedzialności, jest takie samo. Nasze działania zmierzają do tego, by z czasem władze lokalne były w stanie same zapewnić bezpieczeństwo mieszkańcom i żeby można było zakończyć operację. Warto podkreślić, że to w Kosowie zdobywaliśmy, jako wojsko, doświadczenia w prowadzeniu międzynarodowych operacji stabilizacyjnych pod auspicjami NATO. Zdobytą tu wiedzę z powodzeniem wykorzystywaliśmy w innych zakątkach świata.

[Gen. broni **Marek Tomaszycki** jest dowódcą operacyjnym Sił Zbrojnych RP.]

KOMENTARZ

ADAM BALCER

Misja KFOR w Kosowie jest dziś ponaddziesięciokrotnie mniejsza niż 15 lat temu, bo nieporównywalnie mniejsze są wyzwania dla bezpieczeństwa. W 1999 roku do Kosowa wracały tysiące albańskich uchodźców, wypędzonych przez serbską armię i policję. W tym samym czasie tysiące Serbów uciekło, obawiając się odwetu wracających Albańczyków, lub zostało przez nich wyrzuconych z Kosowa. W Kosowie dochodziło do czystek etnicznych, obie strony popełniały zbrodnie, ale zdecydowanie więcej ich było po stronie serbskiej. Dziś wyzwania dotyczące bezpieczeństwa tego kraju mają inny charakter. Są związane z przemytem narkotyków i przestępczością. Niepokoje wzbudzają także grupy radykałów i nacjonalistów, również ekstremistów religijnych. W Kosowie mniej jest zabójstw czy gwałtów niż w Europie Zachodniej. Z tymi zagrożeniami powinny walczyć policja i służby specjalne albo jednostki antyterrorystyczne, a nie regularne wojsko. Obecnie siły KFOR liczą 5 tys. i zakładam, że ta liczba będzie się ewolucyjnie zmniejszać. Sądzę, że misja w Kosowie – podobnie jak w Bośni – zostanie stopniowo przekazana Unii Europejskiej. Zapewne pozostanie tam kilkuset żołnierzy, tak na wszelki wypadek, bo nie można wykluczyć zamieszek, szczególnie na niespokojnej północy Kosowa.

[Adam Balcer jest doradcą demosEUROPA Centrum Strategii Europejskiej i wykładowcą w Studium Europy Wschodniej Uniwersytetu Warszawskiego.]

Craddock, późniejszy szef NATO. To była trudna misja, bo dopiero niedawno w Kosowie zakończyła się wojna. Ludzi mordowano lub porywano dla okupu. UÇK, które miało nam pomagać, zajmowało się własną działalnością, przemytem i przestępczością na skalę międzynarodową".

Natychmiast po przybyciu w rejon misji polski kontyngent przejął odpowiedzialność za przydzieloną strefę. Żołnierze patrolowali granice, wspierali pomoc humanitarną, nadzorowali demilitaryzację w regionie, zapewniali bezpieczeństwo cywilom. „Mimo że były to początki naszej obecności w sojuszu i dopiero uczyliśmy się natowskiego alfabetu, a część naszej kadry posługiwała się jeszcze znakami Układu Warszawskiego, zrobiliśmy w Kosowie dobrą robotę", opowiada gen. Polko. „Gdy Francuzi nie dawali sobie rady w Kosowskiej Mitrowicy, poprosili o pomoc polski kontyngent. Nie musiałem motywować swoich ludzi do pracy. Gdy kiedyś wybrałem się nocą do Kačanika, aby sprawdzić jak wykonują zadania, okazało się, że nie ma całej kompanii, bo wszyscy byli w polu, chcieli złapać przemytników".

W sierpniu 2006 roku zlikwidowano obóz Orzeł Biały. Polacy, Litwini i część Ukraińców przenieśli się do amerykańskiej bazy Bondsteel w miejscowości Uroševac, gdzie stacjonują do dziś.

MIMO ŻE W 2013 ROKU BELGRAD I PRISZTINA PODPISAŁY POROZUMIENIE W SPRAWIE NORMALIZACJI STOSUNKÓW, W KOSOWIE, SZCZEGÓLNIE NA PÓŁNOCY, NAPIĘCIA NIE USTAJĄ

WSPÓLNY PROBLEM

Kosovo Force jest podzielone na cztery wielonarodowe brygady. Każda z nich odpowiada za określony rejon prowincji, ale wszystkie podlegają dowódcy KFOR. Obecnie jest nim gen. dyw. Salvatore Farina. Polski kontyngent wojskowy wchodzi w skład Międzynarodowej Grupy Bojowej „Wschód", którą dowodzi Amerykanin płk Charles T. Hensley.

Głównym rejonem działania KFOR są cztery północne gminy Kosowa: Mitrowica, Leposavić, Zubin Potok i Zvečani. Polacy wykorzystują także położoną nieopodal granicy z Serbią bazę Nothing Hill. Z tego miejsca są wystawiane patrole rozpoznawcze i posterunki kontrolne. „Naszym głównym zadaniem jest pomoc w utrzymaniu stabilizacji w Kosowie", mówi ppłk Krzysztof Brodecki, dowódca XXX zmiany PKW. Do zadań Polaków należy między innymi kontrola zielonych przejść granicznych, aby uniemożliwić nielegalny handel, także ludźmi i organami, oraz przemyt broni i narkotyków. Żołnierze wspierają też lokalne władze w utrzymywaniu porządku i bezpieczeństwa.

Przez 15 lat działania PKW KFOR zginęło czterech żołnierzy, w latach 1999, 2000 i 2003. Ppłk Krzysztof Brodecki podkreśla, że jego priorytetem jest bezpieczeństwo XXX zmiany. „Nasza misja ma charakter stabilizacyjny, a moi podwładni są świetnie wyszkoleni", mówi. „Wielu z nich po raz kolejny uczestniczy w misji poza granicami państwa. Terytorium Kosowa, podobnie jak innych państw byłej Jugosławii, to obszar zagrożenia minowego. Żołnierze są przygotowani do prawidłowego reagowania w razie zagrożenia niewybuchami czy minami".

Wiosną 2013 roku Kosowo odwiedził minister obrony narodowej Tomasz Siemoniak. Po rozmowach z szefostwem KFOR i unijnej policji w Prisztinie podkreślił, że Kosowo jest problemem całej Europy i zadeklarował, że „będziemy utrzymywać misję na stałym poziomie tak długo, jak to będzie konieczne". ■

JAROSŁAW RYBAK

Powstańcy nie komandosi

Z wybuchem powstania warszawskiego w stolicy skończył się czas działań specjalnych, prowadzonych przez oddziały Armii Krajowej, więc budowanie tożsamości polskich jednostek specjalnych na tradycjach powstańczych jest błędem merytorycznym.

Wywieszamy 1 sierpnia flagę na balkonie, idziemy wieczorem na Powązki zapalić znicze, potem śpiewamy powstańcze piosenki na placu Piłsudskiego. To proste, symboliczne gesty. Wraz z najbliższymi chcemy w ten sposób oddać honor powstańcom warszawskim. Tak jak sam staram się kultywować pamięć o tym zrywie, tak jestem przeciwny pomysłom wynikającym z bardzo pobieżnej znajomości historii. Chodzi o działania części ludzi związanych ze specsiłami. Efekty ich pracy bez problemu można znaleźć w internecie. Najczęściej są to kolaże zestawiające współczesnych komandosów z powstańcami. Choć ładnie to wygląda, za każdym razem potwierdza brak wiedzy autorów.

Fakty są takie, że żołnierze walczący w ramach Kedywu w „Wachlarzu", w oddziałach specjalnych AK, a także cichociemni wykonywali operacje o charakterze specjalnym. Wystarczy wspomnieć o najbardziej znanych przykładach: prowadzonych w Warszawie akcjach eliminujących ściśle wyselekcjonowanych przedstawicieli władz okupacyjnych. Ludzie kierowani do wykonywania tych zadań byli specjalnie wybrani, przechodzili odpowiednie przeszkolenie, funkcjonowali w bardzo sprawnym systemie dowodzenia. Korzystali ze wsparcia – zapewnianego w miarę możliwości państwa podziemnego – socjalnego i medycznego.

Wszystko to jednak skończyło się 1 sierpnia o godz. 17.00. Ze względu na ograniczone miejsce muszę upraszczać. Wtedy ściśle zakonspirowane oddziały się ujawniły i rozbudowywano je o ochotników chcących bić Niemców. Walki prowadzone przez doraźnie utworzone struktury na terenie Warszawy były zatem działaniami nieregularnymi, a nie specjalnymi.

Powstanie było największym wyzwaniem dla warszawskich konspiratorów, także tych z formacji specjalnych AK. Komandosi dziedziczący ich tradycje muszą o tym pamiętać. Ale własną tożsamość historyczną, związaną z budowaniem więzi między pokoleniami specjalsów powinni opierać na faktycznych działaniach specjalnych weteranów. W niczym nie umniejszy to bohaterstwa powstańców, a pozwoli lepiej zrozumieć historię ludziom, którzy szukają punktów wspólnych, łączących żołnierzy w multicamach z tymi, którzy przed ponad 70 laty nosili steny ukryte pod płaszczami.

W czasie dyskusji o trwającej reformie armii specjalsi nie raz mnie przekonywali, że wielu decydentów nie widzi różnic między działaniami specjalnymi a nieregularnymi. To prawda, ale nadal będzie problem z właściwym definiowaniem pojęć, jeśli ludzie z wojsk specjalnych – najlepiej przez akcję edukacyjną – nie zrobią z tym porządku. Zacząć jednak muszą od pracy we własnych szeregach. ■

JAK ZNALEŹĆ PUNKTY WSPÓLNE, ŁĄCZĄCE ŻOŁNIERZY W MULTICAMACH Z TYMI, KTÓRZY PRZED PONAD 70 LATY NOSILI STENY UKRYTE POD PŁASZCZAMI

JAROSŁAW RYBAK JEST PUBLICYSTĄ ZAJMUJĄCYM SIĘ PROBLEMATYKĄ BEZPIECZEŃSTWA. AUTOREM KSIĄŻEK O POLSKICH JEDNOSTKACH SPECJALNYCH. BYŁ RÓWNIEŻ RZECZNIKIEM PRASOWYM MON I BBN.

Pocisk Nasr (Haft IX) o zasięgu 60 km

RAFAŁ CIASTOŃ

PRZEGLĄD

ATOM POLA WALKI

Pojawienie się w pakistańskim arsenale pocisku Nasr świadczy o nowym, groźnym trendzie w tamtejszej polityce odstraszania nuklearnego.

Systemy przenoszenia

Głównymi nosicielami pakistańskiej broni jądrowej są lądowe systemy balistyczne, powoli uzupełniane lądowymi i lotniczymi pociskami manewrującymi. Pakistan wyprodukował wprawdzie pewną liczbę grawitacyjnych bomb nuklearnych, a do roli ich nosicieli przystosowano jedną lub dwie eskadry myśliwców F-16 A/B lub Mirage-5, ale wobec liczebnej przewagi lotnictwa indyjskiego te samoloty są zbyt cennym elementem konwencjonalnego układu sił, by dodatkowo obciążać je pierwszoplanową rolą w doktrynie jądrowej.

Islamabad dysponuje dziś około 30 wyrzutniami pocisków średniego zasięgu Ghauri oraz Shaheen-2, przy czym drugi z nich wciąż jest w fazie testów. Ma także ponad 30 wyrzutni pocisków krótkiego zasięgu trzech typów: Ghaznavi, Shaheen-1 oraz Abdali. Do służby trafiają również pierwsze lądowe pociski manewrujące Babur, a prace nad ich lotniczym odpowiednikiem, pociskiem Ra'ad powoli zbliżają się ku końcowi. Zarówno pociski manewrujące, jak i balistyczne krótkiego zasięgu mogą przenosić i ładunki jądrowe, i konwencjonalne. Podobną rolę będzie odgrywał odpalany z czterokontenerowych wyrzutni samochodowych pocisk balistyczny Nasr.

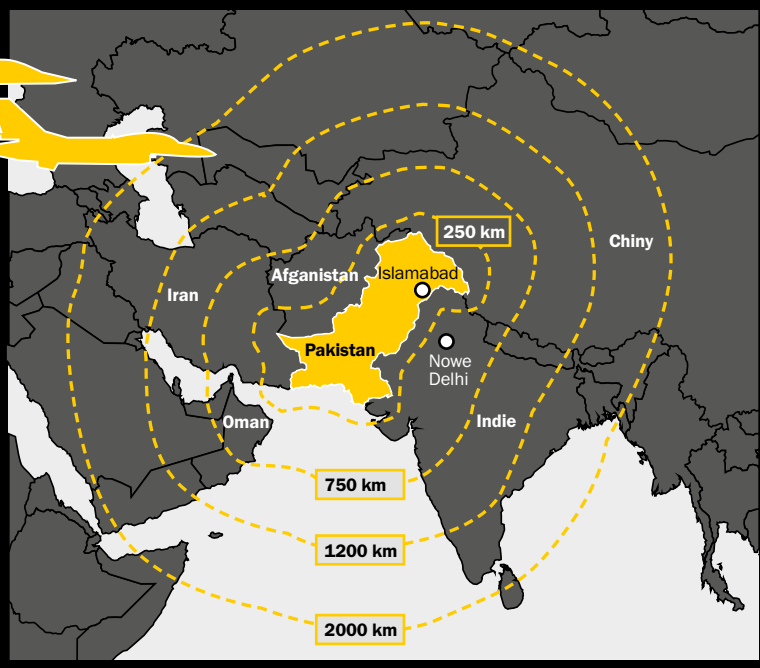

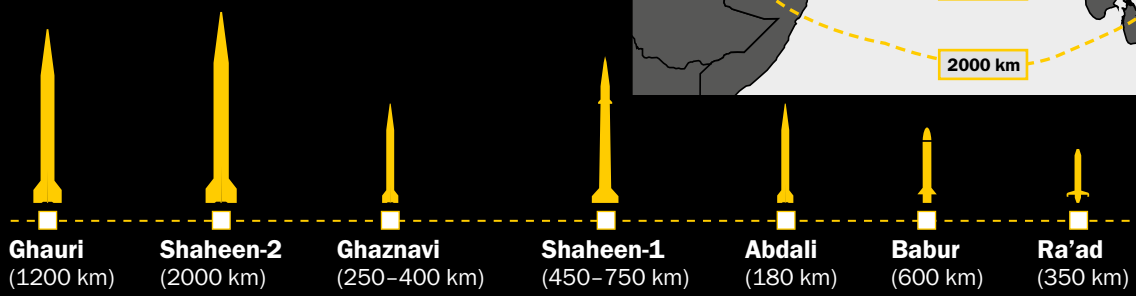

MILITARIUM STUDIO PK

ATOM POLA WALKI

Pakistan jest państwem, które według „The Military Balance" w ciągu ostatnich lat najbardziej dynamicznie rozbudowuje swój arsenał nuklearny. Islamabad najprawdopodobniej dysponuje dziś około 120 głowicami i corocznie wzbogaca się o koleje dziesięć, przy czym wkrótce tempo to może się jeszcze zwiększyć. W odróżnieniu od Indii, Pakistan nie kładzie jednak głównego nacisku na rozwój systemów przenoszenia dalekiego zasięgu i zdolności drugiego uderzenia. Pojawienie się pocisku Nasr (Haft IX) świadczy o nowym, groźnym trendzie w tamtejszej polityce odstraszania nuklearnego.

COLD START A DOKTRYNA JĄDROWA

Nasr jest postrzegany jako pakistańska odpowiedź na indyjską doktrynę Cold Start (stanowi ona tajemnicę poliszynela, bo Indie oficjalnie się do niej nie przyznają). Jej przyjęcie w 2004 roku było wynikiem lekcji wyniesionej z ataku na parlament w Nowym Delhi. Zamach przeprowadzony w grudniu 2001 roku przez mudżahedinów, powiązanych z wspieranymi przez rząd w Islamabadzie grupami separatystów kaszmirskich (Dżaisz-i-Mohammad oraz Laszkar-e-Taiba), omal nie doprowadził do wybuchu regularnych walk między dwoma państwami. Wojny udało się uniknąć w zasadzie dzięki… ograniczonym zdolnościom mobilizacyjnym armii indyjskiej. Zgodnie z ówczesnymi założeniami operacyjnymi wzdłuż granicy z Pakistanem rozmieszczono tak zwane korpusy utrzymujące, których zadaniem było powstrzymanie ewentualnego ataku do czasu, aż rozlokowane w centralnej części kraju korpusy uderzeniowe osiągną rejon walk i przeniosą je na teren wroga. Okazało się jednak, że te wojska potrzebowały aż trzech tygodni, by dotrzeć do granicy. W tym czasie działania dyplomatyczne, podjęte między innymi przez Stany Zjednoczone, sprawiły, że Nowe Delhi utraciło pewnego rodzaju moralne usprawiedliwienie dla podjęcia zbrojnej interwencji.

Cold Start ma być receptą na działania, które należałoby określić jako podprogowe, to znaczy niebędące jeszcze konfliktem konwencjonalnym, choć powodujące poważne kryzysy i destabilizujące sytuację wewnętrzną. Doktryna indyjska zakłada użycie zintegrowanych grup bojowych, których zadaniem jest natychmiastowe wtargnięcie na wschodnie części Pakistanu i rozbicie rozmieszczonych tam sił. Pod względem liczebności grupy te mają być odpowiednikiem dywizji, choć w razie potrzeby mogą zostać wsparte siłami jednego lub dwóch korpusów uderzeniowych. Takie działanie – ograniczone zarówno pod względem czasu trwania akcji, głębokości wtargnięcia na terytorium wroga, jak i ilości zaangażowanych sił – ma gwarantować, że konflikt nie naruszy progu nuklearnego.

Pakistański budżet obronny w 2013 roku nie przekroczył 6 mld USD, indyjski natomiast zamknął się w kwocie ponad 36 mld USD. Już po tych danych widać, jak znacząca może być

dysproporcja między konwencjonalnymi siłami zbrojnymi obu państw. Broń jądrowa i doktryna jej użycia wyrównuje zatem niekorzystny dla Islamabadu stosunek sił. O ile więc Indie prowadzą politykę „no first use", czyli zakładają użycie broni nuklearnej jedynie w ramach odwetu na atak nuklearny na własne terytorium lub wojska, niezależnie od tego, gdzie by się one znajdowały, o tyle Pakistan nigdy nie złożył podobnych deklaracji.

Pakistańska broń jądrowa pozostaje więc w domyśle również bronią pola walki, a groźba sięgnięcia po nią w wypadku niekorzystnie rozwijającej się sytuacji na froncie jest traktowana jako główny czynnik polityki odstraszania wobec sąsiada z południa. Polityka nuklearna Islamabadu opiera się na tak zwanej minimalnej zdolności odstraszania, choć termin ten nie został nigdy bliżej zdefiniowany. Nie wiadomo zatem, ile głowic jest koniecznych, by osiągnąć tę minimalną zdolność.

Co więcej, według wyliczeń pakistańskich Indie są w stanie w ciągu roku wyprodukować materiał rozszczepialny potrzebny do skonstruowania około 280 ładunków, a według szacunków „Bulletin of the Atomic Scientists" Islamabad może produkować rocznie jedynie od dziesięciu do 21 głowic. Obawy przed zostaniem w tyle powodują, że Pakistan jest uważany za kraj, który od kilku lat najbardziej dynamicznie rozbudowuje swe siły nuklearne. Należy jednak pamiętać, że dla Indii głównym punktem odniesienia w kwestiach militarnych są dziś Chiny, a nie Pakistan. Najlepiej widać to w systemach przenoszenia – Indie rozwijają głównie pociski pośredniego i międzykontynentalnego zasięgu oraz zdolności drugiego uderzenia (strategiczne okręty podwodne), a więc kategorie uzbrojenia zupełnie zbędne z punktu widzenia rywalizacji z Pakistanem.

Niezależnie jednak od tego, co wpływa na indyjską doktrynę nuklearną, doktrynę Islamabadu napędzają działania Nowego Delhi. Po planowanym uruchomieniu kolejnych dwóch reaktorów w kompleksie Chuśab (ang. Khushab) Pakistan będzie produkował wystarczającą ilość plutonu dla 6–12 głowic rocznie. Jeśli dołożymy do tego od siedmiu do 15 głowic uranowych, to może się okazać, że na początku przyszłej dekady będzie on miał więcej ładunków nuklearnych niż Wielka Brytania i uzyska status piątego mocarstwa jądrowego świata.

STRATEGIA ODSTRASZANIA

Czynnikiem wyróżniającym pocisk Nasr na tle pozostałych pakistańskich konstrukcji jest jego wynoszący zaledwie 60 km zasięg. Będzie zatem bronią pola walki, pozostającą w dyspozycji dowódców związków taktycznych lub operacyjnych (dywizji lub korpusów), a to z kolei oznacza, że pod ich kontrolą znajdą się też głowice nuklearne, w które część pocisków będzie uzbrojona. Stanowi to olbrzymią zmianę w dotychczasowej polityce nuklearnej Pakistanu, jak dotąd bowiem głowice były przechowywane oddzielnie od nośników, a kontrolę nad nimi sprawuje narodowe dowództwo, czyli ciało polityczne, a nie wojskowe, choć w jego skład, oprócz prezydenta, premiera oraz ministrów: obrony, spraw wewnętrznych, spraw zagranicznych i finansów, wchodzą szef sztabu oraz dowódcy rodzajów sił zbrojnych.

Nie wiadomo, jak będzie wyglądał łańcuch dowodzenia w kwestii użycia nowych rakiet. Tyle że aby mogły one spełniać funkcję odstraszającą, nie tylko pociski, lecz także głowice będą musiały pozostawać w dyspozycji dowódcy dywizji czy korpusu. Jak to ujął jeden z indyjskich analityków, trafią one na szczebel, na którym „mgła wojny jest gęsta, a ryzyko błędnej oceny wysokie".

Rzecznik pakistańskiego ministerstwa spraw zagranicznych Aizaz Ahmad Chaudhary przyznał, że głównymi obawami, leżącymi u podstaw decyzji o rozwoju pocisku Nasr, były: rosnąca asymetria konwencjonalnego układu sił w stosunku do Indii, postrzegana jako ofensywna indyjska doktryna militarna, oraz rozwój tamtejszych systemów obrony antyrakietowej. Wprowadzenie nowych systemów precyzyjnego rażenia i obniżenie progu nuklearnego w tym kontekście ma przynosić korzyści nie tylko na poziomie taktyczno-operacyjnym, lecz także strategicznym. Przede wszystkim będzie zmuszać Nowe Delhi, jeśli nie do powtórnej rewizji obowiązującej doktryny, to przynajmniej do znacznie większej powściągliwości w kwestii podjęcia ewentualnej decyzji o użyciu zintegrowanych grup bojowych.

Indyjska polityka „no first use" zakłada nuklearny odwet na atak na terytorium państwa lub wojska indyjskie bez względu na to, gdzie będą się one znajdowały. Oznacza to zatem, że nawet gdyby nasr posłużył do zatrzymania indyjskiej ograniczonej ofensywy na terytorium Pakistanu, decydenci znajdowaliby się pod olbrzymią presją zmuszającą ich do użycia atomu przeciwko Islamabadowi. Wyraźnie świadczą o tym słowa byłego dowódcy indyjskich sił powietrznych, marszałka Pradeepa Vasanta Naika, który stwierdził, że niezależnie do tego, czy nasr jest pociskiem taktycznym, czy strategicznym, jest to broń atomowa, której użycie wywoła brutalną odpowiedź.

Obniżenie progu nuklearnego może być przez Pakistan postrzegane jako korzystne jeszcze z jednego względu – pojawienie się sytuacji kryzysowej, której rezultatem może być nuklearna wymiana ciosów, będzie zmuszać mocarstwa światowe do podjęcia wysiłków, by tego rodzaju kryzys zażegnać. Być może właśnie ten aspekt posiadania arsenału jądrowego jest postrzegany przez Islamabad jako najbardziej korzystny – skoro w 2001 roku udało się uniknąć konfliktu dzięki wysiłkom dyplomatycznym, również w przyszłości mogą się one okazać najbardziej efektywnym czynnikiem deeskalacji.

RYZYKOWNA BROŃ

Wydaje się, że Pakistan próbuje wykorzystać zimnowojenne doświadczenia NATO, które zakładało powstrzymanie pancerno-zmechanizowanych związków operacyjnych ZSRR i Układu Warszawskiego przy użyciu broni atomowej. Stany Zjednoczone i Związek Radziecki brały jednak pod uwagę prowadzenie taktycznej wojny jądrowej wyłącznie na terytorium państw trzecich, co sprawia, że te doświadczenia są niemożliwe do skopiowania i przeniesienia w realia subkontynentu indyjskiego.

Taktyczne użycie broni nuklearnej niesie wiele zagrożeń. Jednym z najbardziej poważnych może być opcja użyj lub strać (use them or lose them) – w wypadku faktycznego konfliktu zbrojnego i szybkich postępów wojsk przeciwnika nie będzie wiele czasu na decyzję o użyciu broni o zasięgu zaledwie 60 km. Potencjalne trudności z redyslokacją wyrzutni mogłyby w takim scenariuszu okazać się argumentem przemawiającym za użyciem pocisku, podobnie zresztą jak błędna ocena powodowana brakiem całościowego obrazu sytuacji na froncie.

Jak zauważa John R. Williams z Biura Narodowego Wywiadu USA, po to zdobywa się systemy precyzyjnego rażenia (nie tylko pakistański pocisk Nasr, lecz także na przykład indyjski BrahMos), by zabezpieczyć się przed szantażem drugiej strony i zwiększyć liczbę opcji działania dostępnych w sytuacji kryzysowej. Tyle że w rezultacie w skali strategicznej wzrasta ryzyko błędnej oceny sytuacji. ■

XXII MIĘDZYNARODOWY SALON PRZEMYSŁU OBRONNEGO MSPO

Zapraszamy na Targi Kielce

od 1 do 4 września 2014 roku

TRADYCJA I NOWOCZESNOŚĆ

Od 1 do 4 września 2014 roku w Kielcach odbędzie się Międzynarodowy Salon Przemysłu Obronnego. Na cztery dni, po raz 22., to miasto zamieni się w stolicę krajowej i międzynarodowej zbrojeniówki.

Międzynarodowy Salon Przemysłu Obronnego w Kielcach przez kolejne lata umacniał swoją pozycję w rankingu światowych imprez wystawienniczych przemysłu obronnego, stając się najważniejszym przedsięwzięciem tego typu w Europie Środkowej. To impreza o wyjątkowym znaczeniu dla polskiego sektora zbrojeniowego, na której firmy z całego świata prezentują uzbrojenie i technikę wojskową. To również forum łączące potencjalnych klientów i dostawców, miejsce konfrontacji prezentowanych rozwiązań wojskowych z potrzebami i oczekiwaniami odbiorców.

XXII MSPO odbywa się pod honorowym patronatem Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Bronisława Komorowskiego. Gośćmi MSPO są specjaliści z kraju – przedstawiciele kadry Wojska Polskiego, Policji, Ministerstwa Obrony Narodowej, Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, Rządu RP – jak i delegacje zagraniczne. Zaproszeni przez ministra obrony zagraniczni goście mają okazję zapoznać się z ofertą oraz prowadzić rozmowy czy negocjacje.

PROMOCJA KRAJOWEJ ZBROJENIÓWKI

Salon jest imprezą dynamiczną, dostosowywaną do oczekiwań wystawców i zwiedzających – potencjalnych nabywców. Dowodem tego są zmiany dokonane w ostatnich latach w obiektach wystawienniczych oraz w formule targów. Dzięki ścisłej współpracy i zaangażowaniu resortu obrony narodowej MSPO dobrze służy promocji polskiego przemysłu obronnego.

ROBOTY I BEZAŁOGOWCE

Tegoroczny Salon będzie stał pod znakiem prezentacji różnorodnego rodzaju bezałogowców oraz elektroniki dla wojska. To efekt nowych priorytetów tak zwanej trzeciej fali w modernizacji technicznej armii polskiej, do których należą między innymi zinformatyzowane systemy walki i wsparcia oraz cyberbezpieczeństwa, systemy bezzałogowe oraz wykorzystanie technologii kosmicznych na potrzeby bezpieczeństwa i obronności.

NAPRZECIW OCZEKIWANIOM NABYWCÓW

Ogromne zainteresowanie tegoroczną edycją MSPO to między innymi efekt planowanych w najbliższych latach zakupów dla polskiej armii. Wydatki na modernizację techniczną w latach 2013–2016 wyniosą około 37,8 mld zł. W latach 2017–2022 planowane są w wysokości około 102,1 mld zł. To niebagatelne kwoty, które powinny w większości pozostać w kraju, bo wojsko chce kupować sprzęt od przemysłu rodzimego. Ważne jest, by były to produkty odpowiadające potrzebom armii, czyli powstawały we współpracy z przyszłymi użytkownikami.

WYRÓŻNIENIE FRANCJI

Targom MSPO 2014 będzie towarzyszyć wystawa narodowa przemysłu obronnego Francji. Będzie na niej można zobaczyć między innymi demonstratory nowoczesnych okrętów nawodnych i podwodnych francuskiego koncernu DCNS, oferowane polskiej marynarce wojennej. Francuzi zaprezentują swoje standardowe produkty, między innymi okręty podwodne typu Scorpène, śmigłowcowe desantowe typu Mistral, a także jednostki typu Gowind, na przykład patrolowiec L'Adroit oraz korwetę i fregatę.

NOWOŚCI I ZMIANY

Nieodłącznym elementem Salonu jest także wystawa statyczna oraz dynamiczna Sił Zbrojnych RP, organizowana przez Inspektorat Wsparcia Sił Zbrojnych przy współudziale wojsk lądowych i Żandarmerii Wojskowej. Na tegorocznych targach zadebiutuje Polska Grupa Zbrojeniowa (obecnie PHO). Podczas trwania Salonu przedstawi po raz pierwszy swoje logo. Na targach swoje produkty będą prezentować wszystkie spółki wchodzące w skład przyszłej PGZ. W tym roku zajmą one największą z dotychczasowych powierzchnię wystawową.

KONFERENCJE, SEMINARIA SPOTKANIA

Targi to nie tylko wystawa, lecz także seminaria i kongresy, spotkania i pokazy oraz liczne imprezy towarzyszące, będące idealną okazją do wymiany doświadczeń, pogłębienia wiedzy i nawiązania kontaktów.

Tradycją MSPO są również nagrody – Prezydenta RP oraz Defendery dla najlepszych firm i produktów prezentowanych na targach. Są one rozwiązaniem unikatowym w skali światowej. Promują innowacyjność oraz w pewnym sensie honorują laureatów za wkład pracy w opracowywanie nowoczesnych rozwiązań podnoszących poziom bezpieczeństwa.

Ci, którzy choć raz byli wcześniej w Kielcach wiedzą, że warto w pierwszych dniach września odwiedzić Salon osobiście, by zobaczyć z bliska tę ogromną wystawę sprzętu i uzbrojenia. To jedyne takie targi w Polsce.

TEKST SPONSOROWANY

| LEKSYKON POLSKI ZBROJNEJ |

Brygada Lotnictwa Marynarki Wojennej

Utworzono ją 1 stycznia 1995 roku, wcielając do niej zrestrukturyzowane jednostki lotnictwa morskiego. Obecnie w jej składzie są dwie bazy lotnicze. W 43 Bazie Lotnictwa Morskiego im. kmdr. por. pil. Edwarda Stanisława Szystowskiego w Gdyni-Babich Dołach stacjonuje grupa lotnicza, która dysponuje śmigłowcami ratowniczymi, transportowymi i zwalczania okrętów podwodnych oraz samolotami transportowymi. 44 Kaszubsko-Darłowska Baza Lotnictwa Morskiego ma natomiast dwie grupy lotnicze, stacjonujące na dwóch różnych lotniskach. Z Siemirowic operują samoloty patrolowo-rozpoznawcze oraz monitoringu ekologicznego, a w Darłowie bazują tylko śmigłowce, między innymi wszystkie Mi-14. Ogółem brygada ma 14 samolotów i 30 śmigłowców, w tym cztery pokładowe SH-2G. ■

Nr 8.

Ubiór specjalny

PILOT ŚMIGŁOWCA SH-2G SUPER SEASPRITE (2010 ROK)

Przedstawiamy dowódcę załogi śmigłowca pokładowego Kaman SH-2G Super Seasprite w ubiorze specjalnym. Jego głównym elementem jest jednoczęściowy kombinezon lotniczy wzór 606A/MON. Na rysunku widzimy używaną w lotnictwie morskim odmianę pomarańczową. Jaskrawy kolor zwiększa szansę lotnika na odnalezienie i uratowanie w razie, gdyby doszło do jakiegoś wypadku podczas lotu nad morzem. Kombinezon ma kilka kieszeni na wyposażenie. Pilot ma na sobie też kamizelkę ratowniczą. Pod nią, na lewej piersi, jest widoczny fragment oznaki stopnia wojskowego. Na lewym rękawie znajduje się z kolei oznaka z flagą państwową. Lotnik ma skórzane trzewiki pilota z zamkiem błyskawicznym na boku, który ułatwia ich szybkie wkładanie i zdejmowanie. W prawym ręku pilota widać torbę na twardy hełm lotniczy (THL).

OPRACOWAŁ TADEUSZ WRÓBEL

Nr 9.
Podporucznik pilot, 3 Grupa Poszukiwawczo-Ratownicza (2012 rok)

Nr 8.

PILOT ŚMIGŁOWCA SH-2G SUPER SEASPRITE (2010 ROK)

Torba na twardy hełm lotniczy (THL)

Jednoczęściowy kombinezon lotniczy wzór 606A/MON – odmiana pomarańczowa

RYS. MONIKA ROKICKA

POLSKA

Żołnierz przyszłości

Pierwsze dostawy zestawów Tytan, przeznaczonych dla żołnierzy piechoty, rozpoczną się w 2018 roku.

KRZYSZTOF WILEWSKI

Inspektorat Uzbrojenia podpisał 26 czerwca 2014 roku w Warszawie umowę z konsorcjum pod przewodnictwem Przemysłowego Centrum Optoelektroniki SA na realizację pracy badawczo-rozwojowej „Zaawansowane indywidualne systemy walki kr. »Tytan«" oraz umowę ramową na dostawy tego sprzętu wojskowego. Konsorcjum, któremu przewodzi PCO SA, tworzy dziewięć przedsiębiorstw państwowych i prywatnych, Polski Holding Obronny (podmiot nadrzędny dla większości członków konsorcjum), Wojskowa Akademia Techniczna, Wojskowy Instytut Medycyny Lotniczej oraz Wojskowy Instytut Higieny i Epidemiologii. Prace badawczo-rozwojowe nad Tytanem mają być prowadzone w latach 2014–2017. Nowe wyposażenie przetestują żołnierze 17 Wielkopolskiej Brygady Zmechanizowanej. Pierwsze dostawy zestawów Tytan, przeznaczonych dla żołnierzy piechoty, rozpoczną się w 2018 roku. W ciągu kilku lat będzie można ich kupić 14–16 tys. Kwota na prace badawczo-rozwojowe i te zakupy może sięgnąć 5 mld zł. Z elementów systemu Tytan będą też tworzone i zamawiane przez MON zestawy dla innych żołnierzy wojsk lądowych. WRT ■

US DOD

USA

Amerykańska oferta

Defense Security Cooperation Agency poinformowała, że 12 maja Polska otrzymała ofertę w ramach amerykańskiego programu przekazywania sojusznikom używanego sprzętu wojskowego (Excess Defense Articles, EDA). Wojsko Polskie może otrzymać 45 pojazdów minoodpornych M-ATV. Od 2009 roku na potrzeby wojny w Afganistanie Departament Obrony zamówił ich około 8,7 tys.

EDA podała, że jednostkowa cena zakupu M-ATV wynosiła 575 tys. dol. Obecnie wartość pojazdu oszacowano na 172,5 tys. dol. TED ■

NIEMCY

Odwrót Niemców

Firma ThyssenKrupp Industrial Solutions poinformowała, że odsprzeda swą szwedzką stocznię ThyssenKrupp Marine Systems (dawny Kockums) Saabowi. Wartość transakcji wyniesie 37 mln euro. Niemcy postanowili wycofać się z rynku szwedzkiego, gdy się okazało, że tamtejszy rząd preferuje narodowe programy budowy okrętów wojennych. Władze w Sztokholmie chcą też zachować własne zdolności, gdy chodzi o projektowanie i budowę jednostek podwodnych. TW ■

USA

Dwudziesta Super Galaxy

USAF

W końcu czerwca koncern Lockheed Martin przekazał amerykańskim siłom powietrznym 20. zmodernizowany samolot C-5M Super Galaxy, który wylądował w bazie lotniczej Travis w Kalifornii. Modernizacji będą poddane 52 maszyny tego typu. Super Galaxy są największymi transportowcami w US Air Force. TD ■

US NAVY

USA

Ostatnie superhornety

Koncern Boeing otrzymał wieloletni kontrakt na 11. i zarazem ostatnią partię samolotów F/A-18E Super Hornet i EA-18G Growler. Lotnictwo amerykańskiej marynarki otrzyma 54 maszyny, w tym 21 samolotów EA-18G, które będą kosztować ponad 1,4 mld dol. W ramach tego kontraktu Boeing wyprodukuje też tuzin growlerów dla Australii. W

WIELKA BRYTANIA

Nowe oczy floty

Brytyjska marynarka wojenna ujawniła, że zamówiony przed siedmioma miesiącami bezzałogowy system ScanEagle jest już wykorzystywany operacyjnie na pokładzie fregaty HMS „Somerset", operującej w Zatoce Perskiej. Bezzałogowce startują z pneumatycznych katapult na jednostkach bojowych i pomocniczych. Mogą być kierowane ze stanowiska kontroli lub wykonywać lot autonomicznie, według wcześniej zaplanowanej trasy, z wykorzystaniem odbiornika GPS znajdującego się na pokładzie.

Aparat latający z prędkością 148 km/h może pozostawać w powietrzu około 10 godz. i zapewniać informacje z obszarów oddalonych do 60 Mm od miejsca startu. TED ■

TURCJA

Ofensywa

OTOKAR

W pierwszych pięciu miesiącach tego roku wartość eksportu tureckiego przemysłu zbrojeniowego wyniosła 600 mln dol., co oznacza, że wzrosła o 17,6% w porównaniu z tym samym okresem 2013 roku. Głównym odbiorcą tureckiej zbrojeniówki były Stany Zjednoczone. Innymi ważnymi rynkami są dla Turków Zjednoczone Emiraty Arabskie, Hiszpania i Włochy. W tym roku zamierzają oni wyeksportować produkty zbrojeniowe za 2 mld dol. (w 2013 roku było 1,4 mld). Ankara ma ambitny plan osiągnięcia do 25 mld dol. dochodów ze sprzedaży za granicę w 2023 roku. WTR ■

BELGIA

Dwusetny śmigłowiec

NH INDUSRTIES

W czerwcu konsorcjum NH Industries, które tworzą Airbus Helicopter, AgustaWestland i Fokker, uroczyście świętowało przekazanie 200. śmigłowca NH90.

Jego odbiorcą były siły zbrojne Belgii. Maszyna w wersji transportowej (Tactical Transport Helicopter – TTH) będzie użytkowana w 1 Skrzydle, stacjonującym w bazie lotniczej Beauvechain. Oprócz Belgii NH90 w wersji transportowej lub morskiej (NATO Frigate Helicopter – NFH) posiadają siły zbrojne Francji, Niemiec, Włoch, Holandii, Szwecji, Finlandii, Australii, Nowej Zelandii, Norwegii, Grecji i Omanu. W W ■

UGM-84L Harpoon Block II – przeciwokrętowy pocisk manewrujący krótkiego zasięgu przeznaczony do zwalczania celów nawodnych

INDIE

AUSTRALIAN NAVY

Harpoon na eksport

Defense Security Cooperation Agency poinformowała Kongres USA o możliwej sprzedaży pocisków przeciwokrętowych do Indii. W grę wchodzi dostawa 12 bojowych UGM-84L Harpoon Block II i 10 ćwiczebnych UTM-84L. Wraz z dodatkowym wyposażeniem wartość kontraktu oszacowano na 200 mln dol. W pociski Harpoon mają być uzbrojone indyjskie okręty podwodne typu Shishumar. W ■

HOLANDIA

Medyczny Boxer

W końcu czerwca kompania medyczna holenderskiej 13 Brygady Zmechanizowanej otrzymała pierwszy wóz ewakuacji medycznej Boxer. Kołowe pojazdy zastąpią ponad 30-letnie medyczne wozy na gąsienicach. Boxery produkują dla armii holenderskiej zakłady Rheinmetall MAN Military Vehicles (RMMV NL) w Ede. T W ■

RHEINMETALL

TOMASZ OTŁOWSKI

IRAK

POCZĄTEK ARMAGEDONU?

Nie powinniśmy lekceważyć poczynań Islamskiego Państwa Iraku i Lewantu. Organizacja ta może wywołać w regionie zamieszanie znacznie większe niż to, którego jesteśmy świadkami.

US DOD

→ POCZĄTEK ARMAGEDONU?

Dziesięć lat temu, jesienią 2004 roku, Abu Musab az-Zarkawi – wówczas lider jednej z kilku mało jeszcze znanych organizacji islamistycznych w Iraku – uroczyście złożył przysięgę na wierność (tzw. bajat) samemu Osamie bin Ladenowi. Wraz ze swymi podkomendnymi oficjalnie stał się tym samym częścią osławionej Al-Kaidy. Z pewnością nikt wtedy nie przypuszczał, że powstałe wówczas ugrupowanie o nazwie Organizacja Bazy na rzecz Świętej Wojny w Iraku, powszechniej znane jako Al-Kaida w Iraku (AQI) lub Islamskie Państwo Iraku (ISI), po upływie dekady stanie się siłą mającą duże szanse na rozmontowanie i unicestwienie całego współczesnego układu geopolitycznego na Bliskim Wschodzie. Układu, który w prostej linii wywodzi się z zawartego niemal 100 lat temu (w 1916 roku) tajnego brytyjsko-francuskiego traktatu Sykes–Picot, dokonującego faktycznego rozbioru Bliskiego Wschodu między ówczesne potęgi światowe.

PRZEDWCZESNA RADOŚĆ

Islamskie Państwo Iraku krwawo zapisało się w historii w latach 2004–2008 (od lipca 2006 roku już bez Az-Zarkawiego, wyeliminowanego przez Amerykanów). Niespotykana skala brutalności i terroru islamistów wraz z bezkompromisowością w kwestii wdrażania w życie konserwatywnych zasad islamu spowodowała, że do ISI zrazili się nawet najbardziej radykalni iraccy sunnici. Amerykanie wykorzystali nadarzającą się sposobność i wymusili w 2007 roku na dominujących w kraju szyitach dopuszczenie sunnitów do współrządzenia państwem oraz zorganizowali i dozbroili sunnickie milicje plemienne skupione między innymi w organizacji Synowie Iraku.

W efekcie AQI została pozbawiona wsparcia lokalnej ludności i zmuszona do walki z głównymi sunnickimi klanami Iraku. Szybko zatem zaczęła tracić grunt pod nogami. Ostatecznie w 2008 roku ugrupowanie to znalazło się na marginesie ekstremistycznego podziemia irackiego, a jego aktywność spadła niemal do zera. Klęska irackiej Al-Kaidy wydawała się wtedy tak duża, że wielu komentatorów i analityków wieszczyło jej definitywny koniec, a nowy prezydent USA Barack Obama wykorzystał ten nastrój do ogłoszenia zamiarów rychłego zakończenia amerykańskiego udziału w wojnie irackiej.

Optymizm Zachodu był jednak przedwczesny. W rzeczywistości resztki AQI zeszły do głębokiej konspiracji i podjęły „pracę organiczną" na rzecz stworzenia finansowego, organizacyjnego i logistycznego zaplecza na potrzeby wznowienia walki w lepszych czasach. Emisariusze irackiej Al-Kaidy ru-

US DOD

PRZENIESIENIE PRZEZ ISLAMSKIE PAŃSTWO IRAKU I LEWANTU CIĘŻARU WOJNY SYRYJSKIEJ NA TEREN IRAKU JEST Z MILITARNEJ I STRATEGICZNEJ PERSPEKTYWY JAK NAJBARDZIEJ LOGICZNE I ZASADNE

szyli w świat – od Ameryki, przez Europę i Afrykę, po Kaukaz i Azję. Ich celem było werbowanie nowych rekrutów dżihadu, pozyskiwanie źródeł finansowania i poszukiwanie politycznego poparcia wśród sunnickich radykałów. W samym Iraku (ale też w Jordanii, na egipskim Synaju czy w Turcji) budowano struktury i szkolono kadrę. Od czasu do czasu AQI przypominała o swym istnieniu, organizując spektakularne zamachy i atakując irackie siły rządowe lub polityków.

Częstotliwość tych działań rosła wraz ze zmniejszaniem się amerykańskiego zaangażowania w Iraku. Gdy w grudniu 2011 roku ostatni żołnierze USA opuszczali ten kraj, ofensywa terrorystyczna islamistów trwała już w najlepsze, a sprzyjały jej także gwałtowne zmiany w strategicznym układzie sił w regionie, spowodowane wydarzeniami Arabskiej Wiosny. Od tamtej pory skala przemocy (mierzona głównie liczbą ataków, zamachów oraz ofiar) rośnie w Iraku nieprzerwanie.

MIĘDZYNARODOWY KONTEKST

Czy to nagłe obniżenie się poziomu bezpieczeństwa wewnętrznego w Iraku pod koniec 2011 roku wynikało tylko z zakończenia przez Amerykanów operacji „Iracka wolność"? Odpowiedzi na to pytanie należy szukać w dynamice wydarzeń w całym regionie – głównie chodzi o Arabską Wiosnę i będącą jej następstwem wojnę domową w Syrii. Konflikt ten, rozpoczęty wiosną 2011 roku, już po kilku miesiącach przybrał formę wyjątkowo brutalnej konfrontacji bratobójczej, w której dziennie tracą życie dziesiątki ludzi, a całe wsie i dzielnice miast na skutek zażartych walk obracają się w ruinę w ciągu zaledwie kilku godzin.

Od samego początku prym wśród sunnickich rebeliantów, walczących z reżimem Baszszara al-Asada, wiedli islamscy radykałowie. Rodzimi islamiści z Bractwa Muzułmańskiego szybko jednak zostali zmarginalizowani i zastąpieni przez znacznie bardziej radykalnych i bezwzględnych (a do tego sprawniejszych organizacyjnie i lepiej uzbrojonych) ekstremistów powiązanych ideowo z wahabickim nurtem dżihadu. Wyróżniał się wśród nich zwłaszcza Front al-Nusra, złożony w dużej mierze z terrorystów wyszkolonych przez Al-Kaidę.

W 2013 roku na scenie syryjskiego dramatu pojawia się jednak nowy aktor: ugrupowanie Islamskie Państwo Iraku i Lewantu. Organizacja ta – będąca zlepkiem dawnego AQI i kilku innych ekstremistycznych grup sunnickich z Iraku, Syrii, Turcji i Kaukazu – szybko stała się ważną siłą militarną i polityczną w wojnie syryjskiej. I nic dziwnego, wszak jej struktury i kadry czekały na ten dogodny moment od kilku lat, na przekór wszystkim, którzy już dawno pogrzebali dawnych towarzyszy walki Az-Zarkawiego, budując na swych pobożnych życzeniach iluzoryczne strategie polityczne.

Szerokie międzynarodowe kontakty i powiązania dawnej AQI zaowocowały w trakcie wojny syryjskiej błyskawicznym rozrostem struktur nowej organizacji. Nie bez znaczenia było poparcie udzielane jej przez wielu regionalnych graczy, takich jak Turcja, której rząd przymykał oczy na zakładanie przez ISIL baz na jej terytorium i werbowanie miejscowych ochotników dżihadu. Władze w Ankarze naiwnie sądziły zapewne, że zezwalając na obecność i aktywność Islamskiego Państwa Iraku i Lewantu na terenie Turcji, zdołają zapano- →

wać nad jego działaniami w Syrii, przy okazji kierując je na przydatne tureckim interesom tory (walka z kurdyjskim separatyzmem). Czas pokazał, że kalkulacje te były błędne. Gdy hordy islamistów z ISIL na początku czerwca 2014 roku zajmowały iracki Mosul, jednym z pierwszych celów ich ataku stał się turecki konsulat, którego personel wzięto jako zakładników.

KRWAWY IMAGE

ISIL tak bardzo rósł w siłę w Syrii, że szybko zdeklasował islamistyczną „konkurencję", między innymi z Frontu Al-Nusra. Bardzo szybko okazało się również, że bojownicy ISIL – w dużej części rekrutujący się spoza obszaru Bliskiego Wschodu (np. rosyjskiego Kaukazu) – są wyjątkowo bezwzględni i okrutni, co w warunkach i tak ekstremalnie brutalnej wojny syryjskiej stanowi bez wątpienia nie lada wyczyn.

Islamskie Państwo Iraku i Lewantu rychło zyskało więc (całkiem niesłusznie) ponurą sławę ugrupowania znacznie bardziej radykalnego niż sama Al-Kaida. Dzisiaj ten krwawy image ISIL jest sam w sobie doskonałym orężem w wojnie psychologicznej i propagandowej, toczonej równolegle z tą realną. Jak pokazują ostatnie wydarzenia w Iraku, czasami pozwala to nawet islamistom wygrywać bitwy niemalże bez oddania jednego strzału (jak podczas szturmu Mosulu).

Powszechnie zwykło się uważać, że główną przyczyną rozłamu między Al-Kaidą i ISIL była właśnie owa brutalność syryjskich i irackich islamistów. Dodatkowo, gdzieś w tle, w grę miały też wchodzić osobiste niesnaski pomiędzy emirem „Bazy", Ajmanem az-Zawahirim, a szefem Islamskiego Państwa, Abu Bakrem al-Baghdadim („Bagdadczykiem"). Nic jednak bardziej mylnego – wszak inne regionalne odgałęzienia Al-Kaidy (jak np. AQAP czy AQIM) w niczym nie ustępują bezwzględnością i okrucieństwem siepaczom z ISIL, co wcale nie spotyka się z krytyką kierownictwa organizacji.

Spór Al-Kaidy z ISIL wynika raczej z coraz bardziej rozbuchanych ambicji Al-Baghdadiego, który nie ukrywa już, że marzy mu się sięgnięcie wraz ze swoją organizacją po przywództwo w światowym ruchu dżihadu (a więc tym samym zdeklasowanie „starej i nieskutecznej" Al-Kaidy). Co więcej, Az-Zawahiri i „stara liga" przywódców Al-Kaidy zdają sobie sprawę, że ISIL pod rządami Al-Baghdadiego (dawnego generała armii irackiej) stało się niezwykle skuteczną organizacją militarną i poważnym graczem politycznym. Cele i aspiracje ISIL mają już dzisiaj wymiar globalny, o czym świadczy posiadanie przez tę grupę komórek nie tylko w niemal każdym zakątku Bliskiego Wschodu, lecz także w wielu innych częściach świata (Europie, Azji Centralnej i Południowo-Wschodniej, a nawet podobno w USA).

PAŃSTWO NA GRANICY

Skuteczność militarna i organizacyjna ISIL oraz zasobność w płynące z całego świata muzułmańskiego fundusze sprawiły, że to ugrupowanie kontroluje sporą część wschodniej i południowo-wschodniej Syrii, przy dawnej granicy z Irakiem. Jak się jednak wydaje, na razie jest to szczyt jego możliwości operacyjnych w ramach wojny syryjskiej. Całkowitym fiaskiem zakończyły się bowiem niedawne operacje ofensywne ISIL na północy Syrii, gdzie islamistom nie udało się opanować kilku enklaw kurdyjskich.

Symptomatyczne w tym kontekście jest to, że podczas skutecznej kurdyjskiej kontrofensywy w okolicach północnosyryjskiego miasta Ras al-Ayn, w odbijanych spod kontroli ISIL sunnickich wsiach i osadach witano Kurdów jako wyzwolicieli. Ta organizacja poniosła także ostatnio sromotne klęski na południu Syrii, gdzie próbowała przejąć kontrolę nad częścią pogranicza z Jordanią. Przegrała tam w walce z chwilowym, niezwykle egzotycznym jak na warunki syryjskie, sojuszem rebelianckich sił Frontu Al-Nusra i Frontu Islamskiego oraz lokalnej prorządowej samoobrony. Alienacja ISIL w realiach wojny syryjskiej jest tak duża, że grupa ta jest zwalczana już solidarnie przez wszystkich innych uczestników tego konfliktu, zarówno ze strony rebelii, jak i obozu władzy.

Ekstremiści z ISIL na zajętych terenach Syrii zbudowali zręby islamskiego „państwa", z infrastrukturą i instytucjami, kierując się przy tym restrykcyjnie interpretowanymi wskazówkami zawartymi w Koranie. Teraz jego działalność jest rozszerzana na obszary północnego i zachodniego Iraku, zajęte w toku najnowszej ofensywy islamistów. 29 czerwca – pierwszego dnia ramadanu – islamiści z ISIL oficjalnie powołali do życia Kalifat, czyli państwo islamskie, obejmujące kontrolowane przez nich tereny Syrii i Iraku. Na jego czele, jako „kalif Ibrahim" stanął sam al-Bagdadi. Istniejące na dotychczasowej iracko-syryjskiej granicy przejścia są z wielką pompą niszczone przez islamistów jako przeżytek narzuconego przez europejskich kolonizatorów („krzyżowców") geopolitycznego ładu, gwałcącego naturalny, islamski porządek rzeczy w tej części świata.

Jest oczywiste, że ten syryjsko-iracki „Taliban", podobnie jak afgański pierwowzór, w dużej mierze opiera się na stosowaniu systemu drakońskich kar i rozbudowanego aparatu represji wobec tej części ludności, która nie do końca entuzjastycznie zapatruje się na życie według twardych reguł szariatu. Można być pewnym, że identycznie będzie na obszarze Iraku, zajętym przez islamistów w czasie niedawnej ofensywy. Trudno na razie ocenić, czy lokalne sunnickie starszyzny plemienne i rodowe (w tym największych i najważniejszych klanów: Al-Sada, Al-Dżabbour, Al-Madi i Al-Maadi'id) mają pełną świadomość, na co się decydują, ślubując lojalność Al-Baghdadiemu.

IRACKA ARENA

Jedno jest pewne – bez aktywnej (także militarnej) współpracy miejscowych sunnickich struktur społeczno-politycznych ISIL nie byłby w stanie odnieść w północnym Iraku tak oszałamiających sukcesów operacyjnych. W Syrii siły Islamskiego Państwa Iraku i Lewantu szacowano dotychczas na około 30–40 tys. bojowników, a wiadomo, że większość z nich wciąż walczy w tym kraju. W samym Iraku, gdzie działalność ISIL miała do niedawna charakter wyłącznie terrorystyczny (głównie w postaci zamachów samobójczych), potencjał ugrupowania oceniano na maksymalnie 2 tys. ludzi. Tymczasem jednostki irackiej armii, stacjonujące w północnym Iraku, to – według ostrożnych szacunków – około 70–100 tys. żołnierzy. Do tego dziesiątki tysięcy policjantów, funkcjonariuszy straży granicznej i innych służb. A także około 100 tys. peszmergów – elitarnych, zaprawionych w walkach członków kurdyjskiej formacji paramilitarnej, która błyskawicznie zajęła opuszczony przez irackie siły bezpieczeństwa Kirkuk, najpewniej ratując go w ten sposób przed losem Mosulu.

Być może to właśnie wspomniane syryjskie niepowodzenia ISIL – wpisujące się zresztą w szerszy strategiczny kontekst konfliktu w Syrii, gdzie szala zwycięstwa zdaje się powoli, acz wyraźnie, przechylać na stronę reżimu w Damaszku – skłoniły kierownictwo tego ugrupowania do podjęcia ofensywy w północnym Iraku.

Pod rządami obecnych władz, zdominowanych przez proirańskich szyitów, Irak stał się bowiem w minionych dwóch latach ważnym sojusznikiem prezydenta Baszszara al-Asada. To właśnie przez jego terytorium jest transportowana (a raczej była, do czasu obecnej ofensywy ISIL) spora część pomocy materialnej z Iranu, przeznaczonej dla reżimu syryjskiego. To tam istnieją wielkie składy materiałowe i zaopatrzeniowe, zawierające pochodzące z Iranu paliwo, amunicję, broń i wyposażenie dla Damaszku (część z nich wpadła już ponoć w ręce bojowników ISIL). To w Iraku (w kilkunastu dużych obozach treningowych) formuje się, wyposaża i szkoli oddziały złożone z tysięcy szyickich ochotników z całego regionu (a nawet z Afganistanu i Pakistanu) do walki w Syrii po stronie Damaszku. To z Iraku wreszcie pochodzi co najmniej 20 tys. doświadczonych i świetnie zmotywowanych szyickich ochotników, wspierających syryjskie siły rządowe. Wsparcie Iraku, Iranu i Hezbollahu sprawia, że Baszszar al-Asad czuje się coraz pewniej w czwartym roku wojny z sunnicką rebelią.

Przeniesienie przez ISIL ciężaru wojny syryjskiej na teren Iraku jest więc, z militarnej i strategicznej perspektywy, jak najbardziej logiczne i zasadne. Islamiści jednak uderzają w ten sposób w kluczowy element irańskiego systemu wsparcia logistycznego i organizacyjnego dla reżimu Al-Asada, przenosząc równocześnie wojnę bliżej samego Iranu. Stawia to Teheran w bardzo niekorzystnym położeniu strategicznym, zmuszając go do znacznego zwiększenia wysiłków (politycznych, finansowych, logistycznych i militarnych) na rzecz podtrzymywania przychylnych Irańczykom reżimów w regionie. W związku z katastrofalną sytuacją na frontach Iraku, Iran staje obecnie wobec mało optymistycznej perspektywy faktycznego utrzymywania przy życiu już nie jednego sojusznika (Syria), lecz dwóch.

KRWAWY IMAGE NIEPRZEJEDNANYCH ISLAMISTÓW JEST SAM W SOBIE DOSKONAŁYM OREŻEM W WOJNIE PSYCHOLOGICZNEJ I PROPAGANDOWEJ, TOCZONEJ RÓWNOLEGLE Z TĄ REALNĄ

STRATEGICZNE SCENARIUSZE

Alternatywą dla Teheranu jest jednak prawdziwa geopolityczna katastrofa – pogrzebanie budowanego z mozołem przez ostatnie trzy dekady systemu sojuszy, wpływów i oddziaływań strategicznych Islamskiej Republiki Iranu w regionie bliskowschodnim. Irańczycy nie mogą więc pozwolić sobie na upadek rządu w Bagdadzie, zdominowanego przez przychylnych im szyitów, tak samo jak nie dopuszczą do oddania władzy przez prezydenta Al-Asada w Syrii czy ograniczenia potęgi szyickiego Hezbollahu w Libanie.

Jak daleko posunie się Iran w dążeniu do zachowania swych wpływów w Bagdadzie i utrzymania kontroli nad terytorium irackim przy granicy z Syrią? Teheran już nieraz udowodnił, że w obronie swych interesów jest w stanie sięgnąć po zdecydowane działania i środki. Nie należy więc w kontekście obecnych wydarzeń wykluczać żadnych scenariuszy, nawet bezpośredniego udziału sił irańskich w walkach z ISIL w Iraku. Zwłaszcza że nie widać nikogo innego, kto byłby skłonny skutecznie wesprzeć militarnie władze w Bagdadzie. Nie kwapią się do tego ani Amerykanie, ani Europejczycy, ani tym bardziej żadne z mocarstw bliskowschodnich, nieuważających obecnego reżimu w Bagdadzie za w pełni suwerenny i arabski. Co gorsza, jawne włączenie się Iranu do konfrontacji militarnej z ISIL w Iraku mogłoby spowodować tylko pogorszenie ogólnej sytuacji strategicznej w regionie – państwa takie jak Arabia Saudyjska czy Turcja mogłyby odebrać to jako jawne wyzwanie dla ich interesów i aspiracji. Niedawne dostarczenie Bagdadowi przez Iran kilku nieoznakowanych samolotów Su-25, zapewne z inwentarza sił powietrznych Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej, może świadczyć, że scenariusz bezpośredniego militarnego zaangażowania się Teheranu w Iraku jest coraz bardziej realny.

A jakie mogą być dalsze cele Islamskiego Państwa Iraku i Lewantu? Kierownictwo tego ugrupowania nie kryje swych dalekosiężnych ambicji i planów strategicznych – w kręgu jego zainteresowania znajdują się zarówno podbój Jordanii, jak i Arabii Saudyjskiej (określanej w oficjalnej propagandzie ISIL jako Kraina Dwóch Świętych Miejsc [Islamu]). W dalszej kolejności ma przyjść czas na południową Turcję, Liban oraz Izrael, gdzie – zgodnie z podbudowaną mistycyzmem doktryną wahabizmu – ma dojść do ostatecznego starcia wiernych (muzułmanów) z niewiernymi. Starcia znanego w teologii chrześcijańskiej jako Armagedon. Pominąwszy jednak eschatologiczne i teologiczne aspekty kreślonych dzisiaj strategii ISIL, warto zwrócić uwagę na plany tej grupy dotyczące Turcji. Państwo to jest bowiem członkiem sojuszu północnoatlantyckiego i jakikolwiek atak na nie musi (niejako automatycznie) wymusić reakcję całego NATO. W tym więc sensie zagrożenie dla Turcji ze strony ISIL jest również dość realnym zagrożeniem dla innych członków sojuszu (w tym Polski).

Obecne poczynania Islamskiego Państwa Iraku i Lewantu nie powinny być w naszym kraju odbierane jako coś abstrakcyjnego i odległego – jako kolejna awantura z udziałem islamskich ekstremistów gdzieś na krańcach cywilizowanego świata. W tym wypadku może się bowiem okazać, że organizacja ta będzie w stanie wywołać w regionie zamieszanie znacznie większe niż to, którego jesteśmy świadkami obecnie. Polska zaś – jako członek NATO – może znowu zostać wciągnięta w samo jego epicentrum. ■

Rozgrywający

BENIS-FOTOLIA© /MILITARIUM STUDIO PK

ROBERT CZULDA

Wojna domowa w Syrii, która rozlała się na sąsiedni Irak, coraz bardziej przybiera kształt regionalnej batalii o władzę. Cichym, ale ważnym uczestnikiem tego starcia jest Hezbollah.

w regionie

O Hezbollahu wszyscy usłyszeli w 2006 roku. Wtedy bowiem to ugrupowanie polityczno-militarne, mające reprezentację w libańskim parlamencie, starło się w trwającej 34 dni wojnie z Izraelem. Zdaniem wielu komentatorów wygrał właśnie Hezbollah, który później przeszedł w fazę odbudowania sił i wyczekiwania. Gdy w 2011 roku wybuchła wojna domowa w sąsiedniej Syrii, szyicki Hezbollah, blisko powiązany z Iranem, bacznie się przyglądał, jak reżim prezydenta Baszszara al-Asada walczy o przetrwanie. W 2013 roku ostatecznie włączył się w ten konflikt, ścierając się z siłami antyrządowymi. Doszło wówczas do walki szyickiego Hezbollahu przeciwko sunnickim odłamom Al-Kaidy. Wszystko po to, by osiągnąć wspólny cel Hezbollahu i Teheranu – utrzymać przy władzy świeckiego prezydenta Baszszara al-Asada (który jest wyznawcą alawizmu – nurtu zbliżonego do szyizmu). Szerszy cel to natomiast wzmocnienie szyitów przed wzrastającym ekstremizmem sunnitów.

Hezbollah jest lepiej zorganizowany, wyszkolony i zdecydowanie bardziej zdeterminowany niż regularna armia syryjska. Nic więc dziwnego, że antyrządowym rebeliantom z wielkim trudem przychodzi opierać się siłom Hezbollahu, które w ostatnich miesiącach przełamały wiele punktów oporu. To między innymi dzięki wsparciu tego ugrupowania Al-Asad nie tylko nadal rządzi, lecz wręcz przechodzi do ofensywy. Nie jest to na rękę Zachodowi oraz arabskim państwom w rejonie Zatoki Perskiej, które – często wspierając radykalnych sunnitów – liczyły na upadek tego dyktatora.

KRWAWA ARENA

Włączenie się Hezbollahu w syryjską rzeź sprawiło, że ugrupowanie zostało ostro skrytykowane w Libanie. Opozycja twierdzi, że w ten sposób wciągnięto ich kraj w wojnę. W Libanie doszło bowiem do serii zamachów bombowych i strzelanin. Wioska Tfeil stała się na przykład krwawą areną walk między rebeliantami a szturmującymi ich pozycje żołnierzami Hezbollahu.

Jednym z dowodów na włączenie Libanu w geopolityczną rozgrywkę z powodu aktywności Hezbollahu jest samobójczy zamach bombowy na irańską ambasadę w Bejrucie w listopadzie 2013 roku. W eksplozji, przygotowanej przez walczącą z alawickim rządem Al-Asada i powiązaną z Al-Kaidą sunnicką terrorystyczną Brygadą Szahidów Abdullaha Azzama, życie straciły 23 osoby, a co najmniej 160 zostało rannych.

Przywódca Hezbollahu Hassan Nasrallah uważa jednak, że to dzięki temu ugrupowaniu sunnickie oddziały spod sztandaru Al-Kaidy zostały powstrzymane w pochodzie na południe. „Gdybyśmy nie interweniowali w Syrii, to wówczas byliby już w Bejrucie", stwierdził.

STRATEGICZNE RUCHY

Wplątanie w wojnę od wielu lat niestabilnego Libanu to cena, jaką Hezbollah był gotów zapłacić za wzmocnienie swojej pozycji w regionie. Z organizacji, która po 2006 roku i wojnie z Izraelem zeszła z czołówek gazet, stała się teraz rozgrywającym. Jest to o tyle ciekawe, że sytuacja w regionie robi się coraz bardziej skomplikowana. Niedawno fundamentalistyczny reżim Arabii Saudyjskiej nawiązał współpracę z żydowską demokracją, czyli Izraelem, przeciwko muzułmańskiemu Iranowi (więcej na ten temat w „Polsce Zbrojnej" 2/2014). Stany Zjednoczone, a więc bliski sojusznik Izraela, coraz bardziej biorą natomiast pod uwagę współpracę z… Iranem, a więc po części także z Hezbollahem.

Sekretarz stanu John Kerry stwierdził nawet, że Hezbollah, który jest uznawany przez Amerykanów za organizację terrorystyczną, może odegrać istotną rolę w uzyskaniu politycznego rozwiązania w Syrii. Trudno o lepszy dowód na potwierdzenie tezy, że Hezbollah nie jest zwykłym statystą w obecnej odsłonie bliskowschodniego dramatu. Nasrallah co prawda nie wykluczył rozmów z Waszyngtonem, ale stwierdził, że najpierw Biały Dom musi porozmawiać z prezydentem Al-Asadem i przyjąć do wiadomości to, że syryjski prezydent nie odejdzie. Postawił także drugi warunek – Stany Zjednoczone muszą zaprzestać wspierania antyrządowych (sunnickich) rebeliantów.

Przy takich warunkach nawiązanie rozmów mogłoby wydawać się więc niemożliwe – tym bardziej że Hezbollah wspiera Baszszara al-Asada, co nie podoba się w Waszyngtonie. Z tego też powodu, a także antyizraelskiej polityki, Kongres przyjął nowe sankcje wymierzone w to ugrupowanie. Sprawę komplikuje fakt, że Stany Zjednoczone uznają zarówno skrzydło polityczne, jak i militarne Hezbollahu za ugrupowania terrorystyczne. Na Bliskim Wschodzie wszystko jest jednak możliwe. Według izraelskiej prasy rozmowy przez pośredników na linii Biały Dom – Hezbollah toczą się od końca 2013 roku.

WYSOKA STAWKA

Apetyt Hezbollahu rośnie. Po wyjściu z libańskiego podwórka i wkroczeniu do Syrii liderzy tej organizacji patrzą jeszcze dalej – w stronę Iraku, gdzie finansowani przez takie państwa, jak Arabia Saudyjska czy Katar, skrajnie fundamentalni sunniccy fanatycy z ugrupowania Islamskie Państwo Iraku →

Dwie strony barykady

Hezbollah oraz Iran uchodziły do tej pory na Zachodzie za główne źródła destabilizacji na Bliskim Wschodzie. Pojawienie się skrajnych radykałów sunnickich, walczących już nie tylko w Syrii, lecz także w Iraku, sprawiło, że teraz Hezbollah i Iran stają po tej samej stronie co ich wróg – Stany Zjednoczone.

Szyicka armia

Ofensywa sunnicka w Iraku zwiększa znaczenie Hezbollahu. Szyiccy bojownicy, którzy do tej pory walczyli u boku prezydenta Al-Asada, zostali zmuszeni wrócić do Iraku, by bronić swej ojczyzny. Lukę po nich zajmuje Hezbollah, na który Al-Asad może liczyć – w odróżnieniu od swej armii, która w 70% składa się z sunnitów.

i Lewantu (Islamic State of Iraq and the Levant – ISIL) rozpoczęli wojnę przeciwko rządowi centralnemu szyickiego premiera Nuriego al-Malikiego. Szejk Nabil Kawuk, zastępca przewodniczącego rady wykonawczej Hezbollahu, stwierdził jasno, że „niewierni", a więc sunniccy bojownicy spod znaku ISIL i Al-Kaidy, „dobrze wiedzą, że zamachy bombowe i ataki samobójcze nie zmienią naszego podejścia do Syrii. Terroryzm niewiernych to choroba, zagrażająca rodzajowi ludzkiemu i zło, które przekracza wszystkie granice".

Konflikt w rejonie wyraźnie przybiera wymiar walki geostrategicznej, w której stawką jest nie tylko Syria, a obecnie także Irak, ale cały Bliski Wschód. Z jednej strony mamy więc Iran, Hezbollah i Syrię, które na tle swych przeciwników – ISIL, Arabii Saudyjskiej oraz Kataru – wyglądają na ruch umiarkowany i pragmatyczny. Mohammad Raad, przewodniczący parlamentarnej frakcji Hezbollahu, dał jasno do zrozumienia, że finansowanie przez arabskie państwa rejonu Zatoki Perskiej sunnickich radykałów w Iraku i Syrii to błąd, za który przyjdzie im zapłacić. „Dobrze wiemy, jak się przeciwstawić waszym działaniom i zniszczyć wszystkie wasze złudzenia", stwierdził w słowach, które brzmiały bardzo podobnie to tych, które wypowiedział irański prezydent Hasan Rouhani. Wezwał on do zaprzestania swych praktyk wszystkie kraje muzułmańskie, które „wspierają terroryzm swymi petrodolarami". Rouhani, podobnie jak Raad, stwierdził też, że takie działania szybko się zemszczą, bo stworzonej bestii nie da się kontrolować: „Jutro to wy staniecie się celem tych dzikich terrorystów. Przestańcie zabijać". Hassan Nasrallah dodał, że to polityka krótkowzroczna, a „magia odwróci się przeciwko magikowi".

KAŻDY DZIEŃ WOJNY W SYRII DAJE ŻOŁNIERZOM HEZBOLLAHU TRUDNE DO PRZECENIENIA DOŚWIADCZENIE FRONTOWE, KTÓRE POTEM ZOSTANIE WYKORZYSTANE W WALCE Z IZRAELEM

POTĘŻNA PRYWATNA ARMIA

Przesunięcie Hezbollahu znad granicy z Izraelem do Syrii cieszy Izraelczyków, bo przynajmniej na jakiś czas mają nieco spokoju. Wyjątek nastąpił w lutym i w marcu, kiedy izraelskie lotnictwo zbombardowało pozycje Hezbollahu w południowym Libanie (było to pierwsze starcie obu stron od wojny 2006 roku). Nie osłabiło to jednak ugrupowania, które nadal pozostaje najpotężniejszą „prywatną armią" na świecie. Szacuje się, że liczy ona nawet 50 tys. oddanych sprawie członków.

Izraelski szef sztabu gen. Benny Gantz stwierdził nawet, że: „na świecie jest może cztery lub pięć silniejszych armii, w tym Rosji, Chin, Izraela, Francji i Wielkiej Brytanii". Zdaniem izraelskich ekspertów Hezbollah jest dużo silniejszy niż był podczas wojny 2006 roku. Zdobyto doświadczenie bojowe, nauczono się atakować i współdziałać z armią regularną. Według izraelskiego oficera wywiadu, który opublikował artykuł w wojskowym periodyku „Maarachot", w kolejnej wojnie Hezbollah nie musiałby ograniczać się do obrony, bo jest w stanie przeprowadzić „lądową ofensywę i długotrwały atak na terytorium izraelskie".

W ostatnich latach Hezbollah, który przede wszystkim nie ma problemów z naborem nowych kandydatów, nie tylko zwiększył swój arsenał rakiet niekierowanych ziemia–ziemia oraz pocisków przeciwpancernych i wyposażenia osobistego (w tym gogli noktowizyjnych), ale także – dzięki pomocy Syrii i Iranu – posiada rakiety naprowadzane przez GPS o zasięgu wystarczającym do ataku na Tel Awiw-Jafę. Co więcej, ma także rozpoznawcze bezzałogowce (jeden z nich został zestrzelony przez izraelskie lotnictwo w październiku 2012 roku).

Zadowolenie Izraelczyków jest więc krótkotrwałe – z wojny w Syrii Hezbollah wyjdzie silniejszy, lepiej wyszkolony i doświadczony. Wówczas jeszcze raz skieruje się w stronę swojego największego wroga – Izraela. Oznacza to, że nawet po ewentualnym rozwiązaniu węzła gordyjskiego na obszarze Iraku i Syrii, Bliski Wschód nie zazna spokoju. ■

95-LECIE SZKOLENIA KADR ŁĄCZNOŚCI W ZEGRZU

ŚWIĘTO CENTRUM SZKOLENIA ŁĄCZNOŚCI I INFORMATYKI

7, 10, 11 września 2014 r., ZEGRZE, LEGIONOWO

W planie obchodów:

- wystawa historycznego oraz współczesnego sprzętu łączności i informatyki w Muzeum Historycznym w Legionowie
- konferencja „Ludzie 95-lecia - twórcy historii zegrzyńskiego ośrodka szkolenia kadr łączności"
- uroczystość na placu apelowym - defilada pojazdów łączności
- dzień otwartych koszar:
  - pokaz historycznego oraz współczesnego sprzętu łączności i informatyki
  - zwiedzanie sali tradycji oraz bazy szkoleniowej Centrum

Więcej: www.cslii.wp.mil.pl

Organizator

Centrum Szkolenia Łączności i Informatyki
ul. Juzistek 2
05-131 Zegrze

Współorganizatorzy

SZPZŁ

MUZEUM HISTORYCZNE W LEGIONOWIE

Patroni medialni

Polska Zbrojna

Powiatowa

Miejscowa

gazeta lokalna legio

TV

radio Hobby 89.4 fm
Grupa Mediowa Hobby

TADEUSZ WRÓBEL

UPADEK MITU

Ofensywa islamistów w Iraku obnażyła słabości jego sił zbrojnych, w tym korupcję i upolitycznienie korpusu oficerskiego.

Zaskoczeniem dla wielu osób za granicą było opanowanie Mosulu przez rebeliantów z Islamskiego Państwa Iraku i Lewantu (ISIL). 10 czerwca 2014 roku siły rządowe oddały bowiem to miasto praktycznie bez walki. Żołnierze opuścili swe stanowiska, porzuciwszy broń, pojazdy, a nawet mundury. A przecież siły rządowe miały w Mosulu 30 tys. ludzi, tymczasem zaatakował ich niecały tysiąc bojowników. Okazało się, że iracka policja i wojsko, na których wyszkolenie i wyposażenie USA przeznaczyły miliardy dolarów, to kolosy na glinianych nogach.

WEWNĘTRZNY ROZKŁAD

Za bezpieczeństwo w Mosulu odpowiadała 2 Dywizja wojsk lądowych, której żołnierze w ramach połączonego dowództwa współdziałali z 3 Dywizją policji narodowej. Tymczasem z miasta uciekli wszyscy, od szeregowych po generałów. Według analityków Jasira Abbasa i Dana Trombly'ego, rozpad tej jednostki nie nastąpił w ciągu jednej nocy, ale był skutkiem długotrwałego procesu. W opublikowanym w serwisie „War on the rocks" (warontherocks.com) artykule opisali oni splot okoliczności, które doprowadziły do rozsypki 2 Dywizji.

Otóż szyici, dominujący w operujących siłach bezpieczeństwa, zamieszkane przez sunnicką większość miasto postrzegali jako terytorium okupowane. Dlatego dość powszechne były działania żołnierzy i policjantów, których celem było dorobienie na boku do pensji kosztem miejscowej ludności. Jednym ze sposobów były wymuszenia pieniędzy od rodzin za zwolnienie zatrzymanych osób, które inaczej mogły być oskarżone o terroryzm, torturowane, a nawet skazane na śmierć na podstawie spreparowanych dowodów. Bliscy uwięzionych nie mieli zatem wyjścia i płacili okup. Inni musieli wyłożyć pieniądze, by przepuszczono ich na przykład przez punkt kontrolny. Do płacenia haraczu byli także zmuszani mosulscy kupcy i przedsiębiorcy.

Takie zachowania negatywnie odbiły się na relacjach policji i wojska z mieszkańcami miasta. W obliczu ofensywy ISIL irackie służby bezpieczeństwa nie mogły zatem liczyć na ich wsparcie. I tak już niskie morale żołnierzy i policjantów, którzy mieli poczucie wyalienowania, jeszcze bardziej podkopały ataki samobójcze, które nasiliły się w Mosulu 6 i 7 czerwca.

Eksperci zauważają, że żołnierze niższych stopni stosowali praktyki korupcyjne wobec cywilów, bo sami byli ofiarami swych przełożonych. Otóż część oficerów traktowała swoje oddziały nie jako siłę bojową, lecz jako prywatne przedsiębiorstwa (problem nie dotyczy tylko 2 Dywizji). Proceder ten ułatwia stosunkowo wysoka autonomia logistyczna wojskowych na szczeblu dywizyjnym. Niektórzy z oficerów, korzystając z braku kontroli, defraudowali zatem pieniądze potrącone z żołdu podwładnych, które miały być przeznaczone na zakupy zaopatrzenia dla nich. Ograbieni żołnierze musieli zatem na własną rękę kupować żywność, a potem łupili cywilów.

Takie problemy mają również inne irackie służby mundurowe. Jak podał „New York Times", personel 9 Brygady straży granicznej, który był rozmieszczony na granicy z Syrią, chciał walczyć z islamistami, ale strażnicy musieli porzucić swe stanowiska na pustyni, bo nie dosłano im wody i jedzenia.

Machlojki z funduszami na zakupy żywności niektórym z irackich dowódców jednak nie wystarczały i zaczęli zarabiać na „martwych duszach". Otóż pozwalali oni swym podwładnym, a nawet wręcz zachęcali ich do tego, by porzucili służbę. Z dokumentów ich jednak nie wykreślali i inkasowali za nich żołd. Austin Long, który w latach 2007–2008 był amerykańskim doradcą wojskowym w Iraku, twierdzi, że taki proceder był uprawiany w tym państwie od lat: „Na papierze były setki tysięcy żołnierzy. Nie wiadomo natomiast, ilu z nich istniało realnie". Według Longa, batalion liczący 800 etatów tak naprawdę składał się z około 300 żołnierzy. Według Abbasa i Trombly'ego również 2 Dywizja dobrze wyglądała na papierze, a w rzeczywistości miała braki kadrowe oraz w wyposażeniu i wyszkoleniu. To efekt tego, że pieniądze i środki na te cele na różne sposoby defraudowano.

Problemem armii irackiej i policji jest nie tylko korupcja. Osoby znające tamtejsze służby bezpieczeństwa wskazują wady systemo-

we, które prowadzą do ich rozkładu. Jako jedną z najważniejszych wymieniają ich upolitycznienie, za co odpowiedzialnością obarczają szyickiego premiera Nuriego al-Malikiego. Polityk ten postanowił przejąć osobistą kontrolę nad najlepszymi jednostkami, a w polityce kadrowej bardziej niż profesjonalizm zaczęły się liczyć dobre układy z obozem władzy. Co więcej, błyskotliwi oficerowie byli postrzegani jako polityczne zagrożenie.

Przy obsadzie stanowisk obecne władze Iraku kierują się zatem sekciarstwem. Analitycy powołują się na opinię amerykańskiego wojskowego służącego w tym kraju, który twierdzi, że w 2 Dywizji już przed laty oficerów pochodzenia sunnickiego zastępowano szyitami. Oczywiście była też druga strona medalu. Pochodzący z północy Iraku funkcjonariusze i wojskowi nie wykazywali się zbytnią aktywnością w zwalczaniu nielegalnych grup, ponieważ obawiali się, że w odwecie islamiści zaczną mścić się na ich rodzinach.

Inny powód kłopotów armii irackiej to niski poziom dyscypliny. Jak ujawnił jeden z oficerów, który przed kilkoma miesiącami zrezygnował ze służby, w armii irackiej dość często żołnierze odmawiają wykonania rozkazu. W przeszłości nieraz sprzeciwiali się dowódcom, gdy ci na przykład chcieli ich wysłać w rejon intensywnych walk. Co ciekawe, ów oficer wykazał nawet pewne zrozumienie dla takiego postępowania. Twierdził, że niekiedy trudno się dziwić tym żołnierzom, skoro część z nich nigdy nie przeszła nawet podstawowego szkolenia.

Nie najlepsze zdanie o irackim wojsku mają też niektórzy amerykańscy wojskowi. Jeden z oficerów marines w materiale w serwisie Al-Dżaziry stwierdził, że Irakijczycy „byli żołnierzami, bo chcieli mieć pracę", więc starali się nadmiernie nie ryzykować życia. Jeden z byłych irackich wojskowych powiedział jednak, że nie potępia żołnierzy, którzy nie chcą ginąć za coś, czego nie popierają. Analitycy wątpią też, by przybycie kilkuset amerykańskich instruktorów wojskowych znacząco poprawiło kondycję irackich sił rządowych.

CZAS MILICJI

Wobec kiepskiego stanu sił zbrojnych zdesperowany premier Al-Maliki wezwał do walki z ISIL milicje szyickie, które mogą liczyć nawet 200 tys. bojowników. W niektórych miejscach do wojsk rządowych dołączyły też sunnickie grupy plemienne, sprowokowane egzekucjami i rabunkami, których dokonali islamiści. Ich bojownicy są bardziej niż żołnierze zmotywowani do walki. Rozwój pozarządowych formacji niepokoi jednak wielu irackich sunnitów, którzy obawiają się działań odwetowych milicji wobec swej społeczności za poczynania islamistów, bo nie ma pewności, czy władze będą w stanie skutecznie utrzymać w ryzach ich bojowników. A wtedy konflikt wewnętrzny będzie się jeszcze bardziej pogłębiał. ■

US DOD

PAPIEROWA POTĘGA

Oficjalnie siły zbrojne Iraku liczyły około 270 tys. żołnierzy. W wojskach lądowych było 14 dywizji i kilka samodzielnych brygad. W ich arsenale było ponad 350 czołgów, w tym 140 amerykańskich M1, podobna liczba BWP-1 oraz setki różnych typów innych pojazdów pancernych, między innymi gąsienicowe transportery M113. Słabością irackich wojsk był natomiast brak bojowych odrzutowców. Co prawda Bagdad zamówił amerykańskie F-16, ale termin ich dostaw się opóźnił. Dlatego Irakijczycy zwrócili się o pilną sprzedaż maszyn bojowych do Rosji i Białorusi. Pod koniec czerwca przyleciały pierwsze szturmowe Su-25. Według zachodnich ekspertów szturmowce do Iraku wysłał też Iran. Teheran obiecał zwrot 130 irackich maszyn, które znalazły się na jego terytorium podczas wojny nad Zatoką Perską.

KRZYSZTOF WOJCIEWSKI

Egzamin dla sojuszu

Z Marcinem Zaborowskim o powrocie NATO do tradycji, dwóch kategoriach członków sojuszu i oczekiwaniach na przełom rozmawia Małgorzata Schwarzgruber.

Jest Pan członkiem dziesięcioosobowej międzynarodowej grupy ekspertów powołanej przez sekretarza generalnego NATO Andersa Fogha Rasmussena, która na wrześniowy szczyt sojuszu opracowała raport dotyczący nowej strategii NATO i określenia jego roli w XXI wieku w obliczu nowych wyzwań. Co zawiera ten dokument?

Nasze opracowanie jest raczej deklaracją dotyczącą stosunków transatlantyckich, która będzie podstawą do dyskusji i ustaleń na szczycie. Przypomnę, że profesor Adam Rotfeld uczestniczył w pracach Warszawskiej Grupy Refleksyjnej, która przygotowała dokument dający podwaliny przyjęcia nowej koncepcji strategicznej NATO. Najważniejsze jest podkreślenie dwóch aspektów misji sojuszu. Pierwszym jest wspólna obrona. Wziąwszy pod uwagę wydarzenia na Ukrainie i ekspansję terytorialną Rosji, priorytetem sojuszu znów powinno się stać jego tradycyjne zadanie, czyli obrona swoich członków. Jednocześnie NATO musi powiększać możliwości działania, aby być organizacją globalną. Ma to duże znaczenie dla USA i Kanady. Sojusz musi uwzględniać także interesy tych państw, które nie są terytorialnie zagrożone.

Polska jedzie na szczyt NATO z konkretnymi postulatami, o których mówił prezydent Bronisław Komorowski w orędziu przed Zgromadzeniem Narodowym. Będziemy zabie-

gać o strategiczne wzmocnienie wschodniej flanki sojuszu, głównie poprzez system aktualizacji planów ewenetualnościowych, o regularne ćwiczenia weryfikujące te plany, a także o rozbudowę infrastruktury obronnej oraz ciągłe stacjonowanie wojsk NATO w Europie Środkowej, w tym w Polsce. Jak Pan ocenia te postulaty?

Myślę, że mają one szansę się przebić. Jeszcze zanim wybuchł kryzys na Ukrainie, obiecano nam urealnienie i aktualizację planów ewentualnościowych. Prezydent Barack Obama podczas wizyty w Warszawie wyraźnie mówił o zwiększeniu obecności militarnej USA, ale nie sprecyzował, czy chodzi o obecność amerykańską czy natowską. Nam bardziej zależałoby na tej pierwszej opcji, choć jedna nie wyklucza drugiej.

Czy wizyta Obamy pokazała, że Stany Zjednoczone czują się odpowiedzialne za bezpieczeństwo w naszym regionie?

Myślę, że zarówno wizyta, jak i wcześniejsze ćwiczenia z udziałem kanadyjskich i amerykańskich żołnierzy, wysłanie samolotów zwiadowczych czy wzmocnienie kontyngentu w Łasku, wskazują na to, że USA chcą nadać sygnał, że bezpieczeństwo terytorialne państw sojuszu jest świętością. Zamach na nią nie pozostanie bez amerykańskiej odpowiedzi.

Podczas wizyty w Polsce prezydent Obama potwierdził wiarygodność artykułu 5 traktatu waszyngtońskiego. Ale jak go interpretować w nowej rzeczywistości, gdy zagrożeniem stały się terroryzm i cyberprzestępczość?

W naszej deklaracji piszemy, że obecne zagrożenie ze strony Rosji nie ma charakteru terytorialnego. Nie obawiamy się pojawienia w naszych granicach obcych dywizji, lecz powtórki scenariusza ukraińskiego, czyli sabotażu, presji ekonomicznej, wojny informacyjnej. Sojusz musi określić, jak będzie reagował na takie zagrożenia. Przed takim scenariuszem nie zabezpieczą nas plany ewentualnościowe czy wzmocnienie w Polsce obecności Stanów Zjednoczonych. Potrzebna jest większa elastyczność intelektualna ze strony przywódców NATO, aby rozszerzać interpretację artykułu 5, żeby przeciwdziałać takim zagrożeniom i tak modernizować NATO, by stawiło czoła wyzwaniom niekonwencjonalnym.

Czy wśród przywódców państw członkowskich NATO widzi Pan chęć do takiego elastycznego działania?

Myślę, że jej nie ma, choć niektórzy dostrzegają zagrożenia i stawiają na rozwiązania konwencjonalne – uważają, że należy wzmocnić obecność wojskową. To nie jest odpowiedź na wojnę propagandową, jaką toczy Rosja. NATO nie ma instrumentów do obrony przeciw tym zagrożeniom. Dlatego ważna jest współpraca z Unią Europejską. W kwestii na przykład bezpieczeństwa energetycznego instrumenty unijne są o wiele bardziej skuteczne.

Od dawna mówi się, że jest potrzebna nowa strategia bezpieczeństwa europejskiego, która stworzy systemowe mechanizmy współdziałania NATO–Unia Europejska. Widzi Pan na to szanse?

Mówi się o podpisaniu nowego porozumienia między Unią a NATO. Obecne „Berlin Plus" pochodzi z lat dziewięćdziesiątych i działało przed wstąpieniem Cypru do Unii Europejskiej. Akcesja tego państwa doprowadziła do kuriozalnej sytuacji: członkiem Unii zostało państwo, którego nie uznaje jeden z członków NATO, czyli Turcja. Cypr z kolei nie akceptuje Tureckiej Republiki Cypru Północnego. Staliśmy się więc zakładnikiem cypryjsko-tureckiego konfliktu, który źle wpływa na współpracę NATO i Unii Europejskiej.

Myśli Pan, że uda się porozumieć w tej sprawie?

Niestety, nie. Konflikt cypryjsko-turecki przypomina ten na Bliskim Wschodzie. Choć grecka część Cypru jest obecnie bardziej skłonna do kompromisu, bo uderzył w nią mocno kryzys ekonomiczny.

Czy NATO zrobiło dostatczenie dużo, aby pomóc Ukrainie i powstrzymać rozlanie się działań Rosji na inne kraje? Przypomnę, że sojusz wysłał samoloty wczesnego ostrzegania i rozpoznania AWACS nad Polskę i Rumunię, a USA wzmocniły swój kontyngent patrolujący rotacyjnie w ramach sojuszniczej misji przestrzeń powietrzną nad krajami bałtyckimi.

Ukraina nie jest członkiem NATO, więc nie obejmuje jej wspólna obrona. Dzięki Polsce został uruchomiony artykuł 4 traktatu waszyngtońskiego, dotyczący konsultacji. Nastąpiło zatem wzmocnienie zasobów NATO w państwach sąsiednich.

Czy zatem NATO może zrobić coś więcej?

Może szkolić żołnierzy ukraińskich lub na przykład dostarczać im kamizelki kuloodporne. Ważna jest inwestycja w ludzi. Armia ukraińska nie jest dobrze wyszkolona i nie ma wysokiego morale. Było to widać na Krymie, gdy żołnierze porzucili broń i przeszli na stronę Rosji. Zachód może zrobić więcej, ale to się wiąże z sankcjami. Francja na przykład może wycofać się z projektu dostarczenia Rosji okrętów Mistral. Niemcy natomiast do niedawna inwestowali w budowę centrum szkoleniowego dla rosyjskich jednostek specjalnych, które zostały użyte na Ukrainie. Możli- →

WIZYTÓWKA

MARCIN ZABOROWSKI

Jest dyrektorem Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych, zajmuje się polityką zagraniczną Stanów Zjednoczonych, europejską polityką bezpieczeństwa i obrony oraz sprawami bezpieczeństwa międzynarodowego.

we są sankcje finansowo-bankowe. Amerykanie są w stanie doprowadzić do paraliżu bankowego w każdym państwie na świecie, co dobrze widać na przykładzie Iranu. Nie wykonano jednak takiego kroku wobec Rosji. Moskwa obawia się sankcji, które uderzyłyby w dobrobyt jej obywateli, szczególnie klasy średniej, znajdującej się blisko władzy.

Czy wzmocnienie wschodniej flanki sojuszu będzie wyzwaniem dla całego NATO?

Obecnie flanka wschodnia nie jest wzmocniona ani szczególnie broniona. Nie mówiliśmy nigdy tego wprost, ale w NATO są dwie kategorie państw: w jednych znajdują się bazy, w drugich ich nie ma. Do niedawna nie było nawet planów ewentualnościowych.

Gdy Polska wstępowała do sojuszu, Rosja dostała obietnicę, że nie będzie baz na terytorium nowych członków.

Po pierwsze, w politycznej deklaracji sygnowanej przez NATO i Rosję zapisano wówczas, że sojusz nie będzie umieszczał poważnych sił ofensywnych na terytorium nowych państw członkowskich, jeżeli nie dojdzie do radykalnej zmiany sytuacji w sferze bezpieczeństwa. Moim zdaniem, do takiej zmiany doszło, bo Rosja zajęła część terytorium innego państwa. Po drugie, według analityków, także rosyjskich, jedna brygada – kilka tysięcy żołnierzy – to nie są poważne siły ofensywne. Trzymając się tej deklaracji, NATO na terytorium nowych państw członkowskich może zrobić więcej niż dotychczas.

Czy taka baza wojskowa może powstać w Polsce?

Myślę, że w Polsce będzie wprowadzony system rotacyjnej obecności sił szybkiego reagowania NATO. Wzmocniona mogłaby zostać także baza w Łasku.

Czy wydarzenia na Ukrainie skłonią Europę do zwiększenia nakładów na obronność?

Polska i państwa bałtyckie zapowiedziały zwiększenie funduszy na obronność. We Francji i Wielkiej Brytanii zahamowano spadek wydatków na ten cel. Pojawiły się pierwsze symptomy świadczące o tym, że państwa europejskie będą poważniej podchodzić do swoich zobowiązań obronnych. Nie liczyłbym na to, że dojdzie do masowego przebudzenia i powszechnego zwiększenia w Europie funduszy na bezpieczeństwo. Nie wyobrażam sobie, aby doszło do tego w Niemczech, gdzie dominuje skrajny pacyfizm. Mnie szokuje bardzo pasywna postawa państw Grupy Wyszehradzkiej, które leżą w bezpośrednim sąsiedztwie Rosji. Na Słowacji wydatki obronne wynoszą około 1% PKB, a premier mówi, że niemoralne byłoby ich zwiększenie.

Jeszcze niedawno za punkt odniesienia w ocenie dorobku NATO uważano Afganistan, ale wtedy nikt się nie spodziewał, że Rosja dokona aneksji Krymu. Co bardziej zmieni sojusz: misja afgańska czy wydarzenia na Ukrainie?

Wydarzenia na Ukrainie nie zmieniły jeszcze NATO, na razie wymusiły reakcję polityczną oraz niewielką militarną – w Polsce, państwach bałtyckich i w Rumunii. Zwróciły jednak uwagę na nowy typ zagrożenia. NATO nie musi już odpowiadać na pytanie: po co istnieje? Ukraina przypomniała członkom sojuszu, że powód istnienia NATO jest oczywisty, wystarczy tylko spojrzeć na jego wschodnią granicę. Dla nas w Polsce zawsze było to oczywiste, ale dla Hiszpana czy Francuza już nie.

*Musimy w Europie dostrzec, że także **naszą sprawą jest zagrożenie na Pacyfiku,** a nie tylko mówić „nasza chata z kraja" i że niewiele nas obchodzi poza Ukrainą*

A Afganistan? NATO zdało tam egzamin?

Większość państw europejskich wzięła udział w operacji afgańskiej w akcie solidarności ze Stanami Zjednoczonymi. Może z wyjątkiem Wielkiej Brytanii, która z niepokojem patrzyła na wzrost islamskiego terroryzmu, mającego korzenie w Pakistanie. W Afganistanie udało się wyeliminować bezpośrednie źródło zagrożenia: zlikwidowano Al-Kaidę, Osama bin Laden został zabity, amerykańskie drony zniszczyły wiele obozów terrorystów. Nie można natomiast powiedzieć, że dzięki natowskiej operacji udała się stabilizacja Afganistanu. Moim zdaniem, takie założenie było nierealistyczne i nie do wykonania. Nie wycofujemy się z Afganistanu na tarczy i nie jesteśmy zadowoleni z osiągnięć. Zobaczymy, co się stanie później. Nie jestem jednak optymistą.

Czy wrześniowy szczyt NATO będzie przełomowy?

Uważam, że NATO potrzebuje przełomu i widzę, że jest ku temu sprzyjająca atmosfera. Myślę, że będzie to szczyt konsolidujący NATO. Przełomowości nie mierzyłbym decyzjami dotyczącymi rozszerzenia sojuszu, ale strategiczną refleksją na temat przekierowania zasobów sojuszu w te regiony, gdzie istnieje zagrożenie. Potrzebujemy wiarygodnie zadbać o bezpieczeństwo państw członkowskich i uznać to za główne zadanie NATO. To jednak nie wystarczy. Musimy w Europie dostrzec, że także naszą sprawą jest zagrożenie na Pacyfiku, a nie tylko mówić „nasza chata z kraja" i że niewiele nas obchodzi poza Ukrainą. Takie podejście może się nam odbić czkawką. ■

STUDIA PODYPLOMOWE

WOJSKOWEGO INSTYTUTU MEDYCZNEGO
I UNIWERSYTETU WARSZAWSKIEGO
ZABEZPIECZENIE MEDYCZNE SYTUACJI KRYZYSOWYCH
KIERUNEK: BEZPIECZEŃSTWO WEWNĘTRZNE

NOWA, JEDYNA W POLSCE, SPECJALNOŚĆ STUDIÓW PODYPLOMOWYCH „ZABEZPIECZENIE MEDYCZNE SYTUACJI KRYZYSOWYCH".

Dla kogo są te studia?

Dla funkcjonariuszy lub kandydatów na funkcjonariuszy resortu służb mundurowych. Dla żołnierzy zawodowych lub kandydatów na żołnierzy.
Dla pracowników instytucji zarządzania kryzysowego i obrony cywilnej kraju.
W miarę wolnych miejsc – dla innych zainteresowanych.

O przyjęcie na studia mogą ubiegać się osoby posiadające dyplom ukończenia studiów magisterskich (studiów drugiego stopnia lub jednolitych magisterskich) lub - w szczególnych przypadkach – dyplom ukończenia studiów licencjackich (studiów pierwszego stopnia).

Studia przeznaczone są dla absolwentów wszystkich kierunków i dziedzin kształcenia.

JESTEŚ ŻOŁNIERZEM?
SFINANSUJ NAUKĘ, DOJAZD I POBYT NA STUDIACH Z PROGRAMU REKONWERSJI KADR.

NASZ KIERUNEK STUDIÓW DAJE TAKI PRZYWILEJ ŻOŁNIERZOM, KTÓRZY W CIĄGU DWÓCH LAT PLANUJĄ PRZEJŚCIE DO CYWILA LUB ZROBILI TO W CIĄGU OSTATNICH DWÓCH LAT.

WIĘCEJ: HTTP://STUDIAPODYPLOMOWE.WIM.MIL.PL/

OPRAC. JAROSŁAW RYBAK, KRZYSZTOF GONTARSKI

ROBERT CZULDA

POŻĄDANA ZMIANA KURSU

Organizacja Traktatu Północnoatlantyckiego, mimo szumnych deklaracji, w razie wojny nie jest przygotowana do obrony sojuszników z Europy Środkowo-Wschodniej. Co gorsza, nikt nie planuje zmienić tego stanu.

Nasze przywiązanie do kolektywnej obrony jest niczym twarda skała – teraz i w przyszłości", stwierdził całkiem niedawno w Warszawie i Tallinie ustępujący już sekretarz generalny NATO Anders Fogh Rasmussen. Bez wątpienia NATO było i nadal jest najpotężniejszym sojuszem polityczno-militarnym na świecie. Jednak bycie najsilniejszym nie oznacza automatycznie bycia silnym. Tak właśnie jest w wypadku NATO, w którego potęgę już mało kto wierzy.

„Rasmussen kierował się dobrymi intencjami, ale to puste gesty", napisano w opiniotwórczym niemieckim „Der Spiegel". „Bałtowie i Polacy to czują, a sekretarz generalny NATO dobrze o tym wie".

Na papierze sojusz północnoatlantycki jest potęgą – to 28 państw. Ma dostęp do broni termojądrowej, zarówno taktycznej, jak i strategicznej. Obecny jest nie tylko na obszarze euroatlantyckim, ale także u wybrzeży Somalii i w Afganistanie. W praktyce jednak sytuacja jest dużo gorsza. Lektura „Der Spiegel" nie zostawia złudzeń: „NATO i rządowi oficjele zgodnie przyznają, że obecnie sojusz nie jest zdolny, aby obronić państwa nadbałtyckie środkami konwencjonalnymi, a więc czołgami, odrzutowcami i piechotą". Takie słowa głośno wypowie-

USMC

Nie drażnić niedźwiedzia

W pierwszym okresie po zakończeniu zimnej wojny NATO nie było zainteresowane rozszerzeniem na Wschód. Kraje zachodnie wolały okopać się na swoich pozycjach i poczekać na rozwój wydarzeń. Rosyjskie weto wobec rozszerzenia dało się zauważyć szczególnie od 1993 roku, jako efekt nieudanego puczu Aleksandra Ruckoja i Rusłana Chasbułatowa przeciw Jelcynowi. Obawiano się, że przyjęcie do sojuszu północnoatlantyckiego takich państw, jak Polska czy Czechy mogłoby zostać odebrane w Rosji jako próba okrążenia, tworzenie nowego „kordonu sanitarnego". To z kolei uniemożliwiałoby realizację strategicznych celów członków NATO, przede wszystkim Stanów Zjednoczonych – demokratyzacji Rosji oraz likwidacji arsenałów strategicznych.
Zgodnie z oczekiwaniami Berlina i państw pokomunistycznych, Waszyngton zaproponował ostatecznie koncepcję „Partnerstwa dla pokoju". Państwa regionu musiały poczekać na lepszą atmosferę. Polska należała jednak do krajów uprzywilejowanych, wszak do NATO weszła już w 1999 roku (razem z Czechami i Węgrami). Pozostałe, takie jak Słowenia, Słowacja, Bułgaria, Rumunia oraz państwa nadbałtyckie: Łotwa, Litwa i Estonia, musiały czekać aż do 2004 roku. Upłynęło jednak kilka lat, zanim stworzono pierwsze plany na wypadek konieczności obrony republik nadbałtyckich.

dział Elmar Brok, jeden z najbardziej doświadczonych posłów Parlamentu Europejskiego: „Na chwilę obecną NATO nie jest w stanie ich obronić".

Cytowana przez „Der Spiegel" analiza sytuacji, którą wykonało NATO, jest jednoznaczna: „Zdolność Rosji do przeprowadzenia znaczącej akcji wojskowej bez ostrzeżenia niesie poważne zagrożenie dla bezpieczeństwa i stabilności obszaru euroatlantyckiego. Moskwa może stanowić lokalne lub regionalne zagrożenie militarne w krótkim czasie w miejscu, które sama wybierze. To oznacza zarówno destabilizację, jak i zagrożenie dla tych sojuszników, którzy znajdują się w bezpośredniej bliskości Rosji".

ZBROJENIOWE OSZCZĘDNOŚCI

Wobec słabości i daleko idącej indolencji europejskich sojuszników pozostaje wierzyć w Stany Zjednoczone, które obecnie w 75% finansują budżet NATO. Niestety, rozmieszczenie znaczących amerykańskich sił daleko od Europy Środkowej sprawia, że minęłyby miesiące, zanim pochód rosyjski zostałby zatrzymany. Analityczny ośrodek amerykański Stratfor, uznawany za nieformalnego rzecznika prasowego Białego Domu (mówi to, czego Stany Zjednoczone oficjalnie powiedzieć nie mogą), nie zostawia złudzeń – znacząca i realna pomoc militarna mogłaby pojawić się najwcześniej po trzech miesiącach. Według Berlina czas na reakcję wyniósłby około pół roku. „Nie bylibyśmy gotowi nawet w dniu rosyjskiego zwycięstwa" – stwierdził jeden z niemieckich analityków i dodał, że obecne plany wojskowe są przestarzałe i nieadekwatne do sytuacji.

W 1985 roku na Starym Kontynencie stacjonowało około 385 tys. Amerykanów. Obecnie jest to kilkadziesiąt tysięcy żołnierzy, skoncentrowanych w lekkich jednostkach – przed kryzysem ukraińskim Amerykanie wycofali z Europy wszystkie samoloty bliskiego wsparcia A-10 oraz czołgi M1 Abrams (te ostatnie w niewielkiej liczbie ponownie sprowadzono). Redukcje zapoczątkował George W. Bush, a jego następca – Barack Obama – je kontynuuje. Wycofano wszystkie ciężkie dywizje, część broni jądrowej.

„Poprosiłem swoich przełożonych o ponowną analizę realizowanego planu", przyznał kilka lat temu gen. Carter F. Ham, dowódca sił amerykańskich w Europie. „Jeżeli nadal chcemy spełniać swoją misję w Europie, potrzebujemy innego rozłożenia sił. Jeśli pozostaniemy na tym kursie, to obawiam się, że możemy utracić zdolność skutecznego współdziałania z naszymi europejskimi partnerami z NATO", ostrzegł. „A to przecież dla USAREUR zadanie priorytetowe". Tych opinii nikt nie słucha. Zarówno w Berlinie, jak i Waszyngtonie, Paryżu i Brukseli liczy się tylko zdanie księgowych, a nie oficerów. Jest natomiast znamienne, że redukcje doprowadziły do sprzeciwu w Niemczech – nie wojskowych, ale burmistrzów kilku miast, którzy alarmowali, że brak amerykańskich żołnierzy to mniejsze zyski dla lokalnych sklepów i zakładów usługowych.

Podejście Europejczyków jest podobne. Po zakończeniu zimnej wojny uznano, że wydawanie pieniędzy na zbrojenia jest niepotrzebne i anachroniczne. Większość państw zmniejszyło budżety na ten cel. Według oficjalnych danych NATO, w 2010 roku 16 państw ograniczyło wydatki do poziomu mniejszego niż w 2008 roku. W następnych latach tendencja ta się utrzymywała. W Niemczech na przykład w 2009 roku na wojsko przeznaczano 1,44% PKB, a w 2014 roku odsetek ten spadł do 1,29.

Gdy zatem Rosja z roku na rok w coraz większym stopniu modernizuje swoje siły zbrojne, państwa europejskie wydają na zbrojenia zaledwie 1,55% PKB, ignorując świadomie przyjęte zobowiązanie NATO (wydatki na obronność powinny wynosić co najmniej 2% PKB). Jak cytuje „Der Spiegel", analitycy nie mają wątpliwości: „Pomimo ostatnich działań Federacji Rosyjskiej brakuje obecnie symptomów do uznania, że ograniczenia wydatków na zbrojenia ze strony większości państw zostaną znacząco cofnięte".

PLAN PUTINA

Brak odpowiednich sił i środków to jedno, jednak brak woli do zmiany tej sytuacji, to coś zupełnie innego. Obecnie Europa za cnotę uznaje słabość i nie planuje wzmocnienia militarnego. To idealna wiadomość dla Rosji, która – patrząc z perspektywy historycznej – zawsze była w lepszej pozycji geopolitycznej, gdy Europa była słaba. „Niemieccy decydenci zastanawiają się, czy właśnie nie taki jest plan Putina", pisano na łamach prasy w Berlinie, dodając, że ekspansja Moskwy wynika nie tylko z powodów geostrategicznych, ale także psychologicznych – rozszerzenie NATO po zakończeniu zimnej wojny było możliwe dzięki słabości Rosji, która czuje się zhańbiona tym faktem.

Skoro więc słaba i podzielona Europa jest w interesie Rosji, to nie można wykluczyć powtórzenia w perspektywie miesięcy lub kilku lat scenariusza z Ukrainy w Estonii lub na Łotwie. Co zrobi NATO, gdy w tych krajach nagle pojawią się tajemnicze „grupy rekonstrukcyjne"? Zapewne nic, a to oznacza – jak napisano w cytowanym „Der Spiegel" – „że NATO, pomimo solennych deklaracji o obowiązywaniu artykułu 5 traktatu waszyngtońskiego, przestanie istnieć, bo złamie obietnicę, na której zostało stworzone".

Andriej Iłłarionow, były doradca Władimira Putina, uważa, że jego dawny szef będzie chciał wykorzystać republiki nadbałtyckie do osłabienia NATO, a tym samym także Stanów Zjednoczonych. „Wojna Putina przeciwko Ukrainie to dopiero wprowadzenie do wydarzeń, które już są przez kremlowską machinę propagandową nazywane mianem wojny światowej". Płk Saulius Guzevicius, szef departamentu komunikacji strategicznej armii litewskiej, alarmuje: „Stajemy w obliczu potężnej propagandy ze wschodu. Atak informacyjny już został przeprowadzony".

Niemcy, a więc niewątpliwy lider wśród państw europejskich, zachowują przyczajoną pozycję. Wychodzą z założenia, że zbyt zdecydowane ruchy będą odbierane jako prowokacyjne prężenie muskułów. Nie inaczej postępuje „rosyjska piąta kolumna", a więc Francja, która nie zamierza rezygnować ze sprzedaży do Moskwy okrętów desantowych typu Mistral.

Europejska opinia publiczna jest przeciwna stałemu rozmieszczaniu sił wojskowych w Europie Środkowo-Wschodniej. Politycy podchwytują te pacyfistyczne nastroje, bo twierdzą, że nawet gdyby chcieli je rozmieścić, to nie mogą tego zrobić – powołują się na porozumienie z Rosją z 1997 roku, które wzywa obie strony (w tym NATO) do nierozmieszczania poza uzgodnionymi obszarami w Europie sił wojskowych. Wniosek? Tylko jeden, ale bardzo niepokojący – za Warszawę, Tallin, Rygę i Wilno nikt na zachód od Renu umierać nie będzie. ■

Wojna bez wojny

Trzy pytania do
prof. Ryszarda M. Machnikowskiego
z Uniwersytetu Łódzkiego

Czy NATO jest gotowe szybko odpowiedzieć na ewentualną agresję Rosji na swoich wschodnich sojuszników?

To zależy od rodzaju agresji. Gdyby było to powtórzenie scenariusza ukraińskiego, to państwa NATO są w stanie szybko przerzucić lotnictwo i siły specjalne, które zajęłyby się neutralizacją zagrożenia. Tego typu działanie zależałoby wyłącznie od politycznej decyzji użycia odpowiednich sił i środków. Gdyby jednak była to pełnowymiarowa inwazja, to NATO teraz nie jest w stanie efektywnie jej zatrzymać i państwa te zostałyby szybko zajęte. Ich odbicie wymagałoby użycia masy wojska i sprzętu, a także wszczęcia regularnej wojny z Rosją, mogącej się przekształcić w konflikt, którego być może nie dałoby się opanować.

Cały sojusz zareagowałby na takie działania?

Zapewne nastąpiłaby reakcja, choć poszczególne państwa w różny sposób zaangażowałyby się w pomoc – od wyrazów poparcia i przekazywania racji żywnościowych, po wysłanie kontyngentów wojskowych. Nikt jednak nie mógłby zignorować działań rosyjskich na terytorium NATO.

Gdyby Rosja chciała skierować się na Zachód, to jaką formę ataku by przyjęła?

Realizacja scenariusza ukraińskiego na terytorium NATO byłaby ryzykowna, a otwarta wojna zbyt kosztowna politycznie i gospodarczo. Najbardziej prawdopodobne są zatem działania destabilizujące te państwa drogami niemilitarnymi – dotkliwe cyberataki na infrastrukturę, destrukcyjne działania na sektor bankowy, organizowanie zamieszek i demonstracji ulicznych ludności rosyjskojęzycznej, zakaz importu wybranych towarów, terroryzm. ■

JAPONIA

Japońskie dylematy

RAFAŁ CIASTOŃ

W ostatnich latach zmieniła się ocena zagrożeń w japońskiej polityce bezpieczeństwa. Widać to w zapisach kolejnych edycji białej księgi obronności, wytycznych narodowego programu obrony (z lat 2010 i 2013) czy przyjętej w końcu ubiegłego roku narodowej strategii bezpieczeństwa. Źródłem trosk Tokio pozostaje Koreańska Republika Ludowo-Demokratyczna, wytrwale rozwijająca zarówno program balistyczny, jak i jądrowy. Jednak podstawowym wyzwaniem, jeśli nie zagrożeniem, dla bezpieczeństwa Japonii i regionu są działania Pekinu. Nie chodzi tylko o spór wokół statusu Wysp Senkaku, ale o całokształt chińskiej polityki bezpieczeństwa, a więc także o kwestie braku transparentności chińskiego budżetu obronnego czy sytuację na Morzu Południowochińskim oraz spory z Filipinami i Wietnamem. Przyjęta przez rząd Shinzō Abe w lipcu zmiana interpretacji artykułu 9 japońskiej konstytucji, zawierającego wyrzeczenie się prawa do wojny oraz użycia lub groźby użycia siły, musi być widziana przez powyższy pryzmat. Postrzeganie premiera Abe jako jastrzębia jest zbytnim uproszczeniem, choć bez wątpienia ten charyzmatyczny lider nadaje ton polityce bezpieczeństwa. Już podczas kampanii wyborczej dwa lata temu Partia Liberalno-Demokratyczna mówiła o potrzebie przekształcenia sił samoobrony w regularne siły zbrojne oraz o zmianie konstytucji umożliwiającej tak zwaną kolektywną samoobronę. I właśnie temu ma służyć łatwiejsza do przeprowadzenia pod względem legislacyjnym reinterpretacja artykułu 9, oczekująca obecnie na aprobatę parlamentu. Nowy zapis ma umożliwić pomoc sojusznikowi w sytuacji zagrożenia życia i wolności obywateli Japonii, gdy nie ma już szans na wykorzystanie środków dyplomatycznych. Ogranicza on jednocześnie użycie siły do minimum. Wywoływanie przez Chiny demonów II wojny światowej jest tu bezcelowe, Japonia musi (a powoli także chce) wreszcie powrócić do społeczności międzynarodowej jako pełnoprawny podmiot, odgrywający swoją rolę także w regionalnej architekturze bezpieczeństwa. ■

RAFAŁ CIASTOŃ JEST CZŁONKIEM ZESPOŁU ANALIZ FUNDACJI AMICUS EUROPAE I EKSPERTEM FUNDACJI IM. K. PUŁASKIEGO.

ROSJA

Prywatne wojsko

GRZEGORZ JANISZEWSKI

Duma Państwowa i Ministerstwo Obrony Federacji Rosyjskiej prowadzą prace nad zapowiadaną od dawna ustawą o prywatnych firmach wojskowych. Zgodnie z jej założeniami, prywatne firmy będą mogły działać na zlecenie organów państwa i posługiwać się uzbrojeniem dotychczas zarezerwowanym dla armii.

Moskwa korzysta przy tym z zachodnich wzorców, modyfikując je odpowiednio do swoich warunków. Zatrudnianie prywatnych firm do wykonywania takich zadań obniży koszt ich realizacji. Odpadnie też czynnik psychologiczny, związany ze stratami wśród żołnierzy, zwłaszcza z poboru. Prywatne firmy wojskowe będą też mogły stać się przystanią dla żołnierzy regularnej armii, którzy zakończyli służbę.

Polityczno-strategiczny sens tego posunięcia może być natomiast dwojaki. Po pierwsze, prywatne armie mogą zastąpić siły zbrojne FR w wykonywaniu zadań, do których nie są one przeznaczone. Przede wszystkim chodzi tu o utrzymanie i utrwalenie władzy na terytoriach, które w różny sposób znalazły się w orbicie wpływów Rosji i gdzie ma ona interesy. Podobnie jak zachodnie prywatne kompanie wojskowe, będą się one mogły zajmować utrzymaniem porządku na takich obszarach, ochroną strategicznych instalacji, tłumieniem ruchu oporu oraz szkoleniem lokalnych sił zbrojnych i bezpieczeństwa.

Po drugie, świadczy to o kontynuacji ekspansywnej polityki, ukierunkowanej na „ochronę rosyjskich interesów" w różnych częściach świata. Zgodnie z wzorcem wojny hybrydowej, realizowanym na przykład w konflikcie rosyjsko-ukraińskim, członkom prywatnych firm wojskowych przypadłaby prawdopodobnie główna rola, zarówno w działaniach zbrojnych, jak i podczas późniejszej stabilizacji odseparowanych obszarów. Regularna armia rosyjska będzie natomiast przede wszystkim czynnikiem odstraszającym, wykorzystywanym w rozgrywkach politycznych. Przypadną jej też działania specjalistyczne, związane między innymi z rozpoznaniem i walką elektroniczną czy logistyką. ■

GRZEGORZ JANISZEWSKI JEST DOKTORANTEM NA WYDZIALE HUMANISTYCZNYM UNIWERSYTETU SZCZECIŃSKIEGO. SPECJALIZUJE SIĘ W TEMATYCE SIŁ ZBROJNYCH PAŃSTW BYŁEGO ZSRR.

XX WIEK

GORZKA CHWAŁA ASA

Historia ostatniego dowódcy Dywizjonu 303, czyli o tym, jak przyjaźnie i wspomnienia rozpędzono na cztery wiatry.

PIOTR KORCZYŃSKI

Ppor. pilot Łokuciewski otrzymał przydział do 303 Dywizjonu Myśliwskiego „Warszawskiego" im. Tadeusza Kościuszki, stacjonującego na lotnisku Northolt.

RAF/IMPERIAL WAR MUSEUM

GORZKA CHWAŁA ASA

Jeden z najsłynniejszych oddziałów Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, opromieniony zwycięstwami w czasie bitwy o Wielką Brytanię – 303 Dywizjon Myśliwski „Warszawski" im. Tadeusza Kościuszki – 27 listopada 1946 roku przestał być jednostką bojową. Pierwszy dowódca ppłk Zygmunt Krasnodębski w czasie przemowy na lotnisku RAF-u w Hethel powiedział do zebranych żołnierzy: „Jest to najboleśniejszy dzień w historii naszego dywizjonu. Po tylu wysiłkach, trudach i stracie naszych najlepszych kolegów zdejmujemy polską odznakę dywizjonu z samolotów, najstarszą odznakę w polskim lotnictwie. […] odjęto nam skrzydła w pół drogi, ale my pozostajemy złączeni wspólną ideą i mocno związani naszą odznaką".

Po przemówieniu ppłk. Krasnodębskiego odczytano 91 nazwisk pilotów, którzy służyli w dywizjonie przez sześć lat wojny. Następnie, po komendzie „baczność", ostatni dowódca, mjr Witold Łokuciewski wszedł na myśliwiec Mustang i zdjął z niego dywizyjną odznakę – koło z amerykańskimi gwiazdami, krakuską i kościuszkowskimi kosami na tle biało-czerwonych pasów. Zarządzono minutę ciszy, a major wysoko w górę uniósł odznakę. Miała ona pozostać symbolem jedności. To życzenie ppłk. Krasnodębskiego zostało jednak szybko przekreślone przez narzucony Polakom „pojałtański układ". Kadra do niedawna sławnego w całym imperium brytyjskim dywizjonu stanęła, podobnie jak reszta żołnierzy polskich, przed dylematem: wracać do opanowanego przez Sowietów kraju, czy pozostać na emigracji? Brytyjczycy, borykający się z powojennym kryzysem gospodarczym, nie ukrywali, że Polacy są dla nich balastem – ekonomicznym, a także politycznym, bo „wujka Joe" drażnią polskie oddziały nieuznające Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej z Warszawy.

NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Od początku 1941 roku Dywizjon 303 otrzymał zadanie ubezpieczania wypraw bombowych oraz organizowania samodzielnych wypadów nękających i dywersyjnych.

Rząd brytyjski do tego stopnia liczył się ze Stalinem, że na defiladę 8 czerwca 1946 roku zaprosił przedstawicieli komunistycznej Polski zamiast weteranów z Polskich Sił Zbrojnych, również polskich pilotów walczących z Luftwaffe w obronie Wielkiej Brytanii. RAF wówczas zaprotestował i premier Clement Attlee niechętnie zgodził się na małą delegację polskich pilotów. Polscy lotnicy, solidarni ze swymi towarzyszami z sił lądowych i marynarki, odmówili. Pod naciskiem Moskwy do Londynu nie wysłali swych przedstawicieli też komuniści. W rezultacie w defiladzie udziału nie wziął żaden Polak. W ten sposób, jak gorzko stwierdził jeden z asów i dowódców Dywizjonu 303 mjr Jan Zumbach, „przyjaźnie i wspomnienia miano wkrótce rozpędzić na cztery wiatry". Dobitnie pokazuje to historia ostatniego dowódcy dywizjonu – mjr. Witolda Łokuciewskiego.

LOTNICZA PASJA

Przyszły as polskiego lotnictwa myśliwskiego urodził się 2 lutego 1917 roku w Kamieńskiej Stanicy w Rosji nad Donem. Jego rodzice – dyrektor gimnazjum i matematyk Antoni Łokuciewski i Beniamina z domu Pobiedzińska – w 1918 roku zdecydowali się na powrót do Polski i zamieszkali w Wilnie. Z czasem Antoni Łokuciewski został marszałkiem sejmu wileńskiego, który w 1922 roku zdecydował o przyłączeniu Wilna do Rzeczypospolitej.

Witold po ukończeniu szkoły powszechnej rozpoczął naukę w Gimnazjum im. Jana Śniadeckiego w Oszmianie, gdzie w 1935 roku zdał maturę. Następnie zdecydował się na wstąpienie do wojska – do popularnej wśród młodzieży kawalerii. Ukończył kurs unitarny w Szkole Podchorążych Rezerwy Kawalerii w Grudziądzu, ale szybko postanowił zmienić broń na „jeszcze bardziej owianą romantyczną aurą". Na początku stycznia 1936 roku został zatem przyjęty do Szkoły Podchorążych Lotnictwa w Dęblinie. Po odbyciu kursu wyższego pilotażu w Ułężu i otrzymaniu promocji na podporucznika pilota, 15 października 1938 roku został przydzielony do 112 Eskadry Myśliwskiej 1 Pułku Lotniczego w Warszawie.

W wojnie obronnej 1939 roku Łokuciewski razem z kpt. Tadeuszem Opulskim prawdopodobnie zestrzelili samoloty Ju 87 wracające z bombardowania Warszawy. Po wkroczeniu do Polski Sowietów 17 września 112 Eskadra z jednym sprawnym PZL P.11, jaki jej pozostał, przekroczyła granicę Rumunii. Później Łokuciewski przez Jugosławię i Włochy przedarł się do Francji. Kiedy Niemcy ją zaatako-

W 1956 roku, po „odwilży", Witold Łokuciewski wrócił do lotnictwa wojskowego.

„Tolo" dostał się do niewoli do osławionego stalagu Luft III pod Żaganiem.

ARCH. MDK2 W LUBLINIE

wały, jako jeden z nielicznych pilotów polskich stanął do walki z Luftwaffe. 10 czerwca 1940 roku w czasie obrony miejsca stacjonowania jego macierzystego klucza myśliwskiego – lotniska w Romorantin – zestrzelił Heinkla 111. Po klęsce Francji 21 czerwca ewakuował się wraz z innymi pilotami do Wielkiej Brytanii.

TRZEJ MUSZKIETEROWIE

Brytyjczycy – podobnie zresztą jak Francuzi – początkowo nieufnie odnosili się do polskich pilotów, lecz nie trzymali ich zbyt długo w odwodzie. Ze względu na coraz intensywniejsze naloty Luftwaffe na przełomie sierpnia i września 1940 roku RAF potrzebował „każdych zdolnych wzbić się w powietrze skrzydeł". Ppor. pilot Łokuciewski otrzymał przydział do 303 Dywizjonu Myśliwskiego „Warszawskiego" im. Tadeusza Kościuszki, stacjonującego na lotnisku Northolt. Tutaj spotkał swych starych kolegów ze szkoły w Dęblinie – Jana Zumbacha i Mirosława Fericia. Cała trójka tworzyła zgrane trio, dla którego najważniejsze było latanie, ale nieobce mu były „wino, kobiety i śpiew". Od czasów Dęblina nazywano ich trzema muszkieterami. W czasie bitwy o Wielką Brytanię szybko udowodnili, że oprócz mocnych głów i powodzenia u pań mają jeszcze jeden talent – są wyśmienitymi pilotami myśliwskimi, siejącymi spustoszenie w eskadrach Luftwaffe. Wszyscy trzej bardzo szybko zdobyli status asów myśliwskich.

„Tolo" Łokuciewski pierwszy sukces na hurricanie zaliczył 7 września 1940 roku. Na pewno zestrzelił wtedy jednego Dorniera Do. 215, ale możliwe, że także drugiego. 11 września przyniósł mu kolejne sukcesy – na jego konto zaliczono zlikwidowanie Messerschmitta Bf. 109 i Do. 215. 15 września zniszczył kolejny Bf. 109 i tym samym został uznany za asa myśliwskiego (w polskim lotnictwie był to tytuł nieoficjalny). Tym razem ppor. Łokuciewski nie wyszedł z walki bez szwanku: „Po wyjściu z chmur zauważyłem ogromną dziurę w skrzydle, spowodowaną pociskiem działka, a odłamki zraniły mi obie nogi, przebijając cholewy butów. Maszyna oczywiście straciła własności aerodynamiczne, na domiar złego glikol zaczął wyciekać, ale do lotniska dociągnąłem, lądując oczywiście bez klap, bo te także zostały uszkodzone. Zakołowałem na miejsce i odjechałem na izbę chorych. Ale szkopa dostałem". W szpitalu z nóg Łokuciewskiego wyciągnięto 32 odłamki…

Od początku 1941 roku RAF zaczął loty bojowe nad Francją. Myśliwcy (w tym polski Dywizjon 303) otrzymali zadanie ubezpieczania wypraw bombowych oraz organizowania samodzielnych wypadów nękających i dywersyjnych (tzw. Mosquito i Sphere). W czasie tych akcji ppor. Witold Łokuciewski zestrzelił nieprzyjacielskie samoloty: 20 kwietnia 1941 roku nad Le Touquet jeden Bf. 109, 18 czerwca w osłonie bombowców na południe od Calais kolejny Bf. 109, a 22 czerwca, lecąc w osłonie bombowców nad Hezebrouck, jeden Bf. 109 (może nawet dwa), 10 lipca w osłonie wyprawy bombowej nad St. Omer prawdopodobnie jeden Bf. 109. 20 listopada 1941 roku por. Łokuciewski objął dowództwo Eskadry „A" Dywizjonu 303.

W NIEWOLI

13 marca 1942 roku Dywizjon Kościuszkowski, jako osłona wyprawy bombowej, poleciał w rejon Hazebrouck. Byłaby to udana wyprawa dla Polaków (dwa Bf. 109 zestrzelone na pewno, jeden prawdopodobnie), gdyby nie to, że nie powrócił „Tolo". Okazało się później, że jeden z atakujących messerschmittów odstrzelił w samolocie por. Łokuciewskiego pół statecznika pionowego, a pilota ciężko ranił w lewą nogę. Łokuciewski chciał przymusowo lądować, ale nagle silnik stanął w płomieniach. Obrócił więc spitfire'a „na plecy" i wyskoczył z maszyny ze spadochronem.

Po wylądowaniu na zaoranym, zamarzniętym polu, z roztrzaskanym piszczelem sterczącym z nogi od razu stracił przytomność i został bez trudu schwytany przez Niemców. Ci odwieźli go najpierw do szpitala w St. Omer, następnie do Niemiec. Po krótkiej rekonwalescencji porucznik trafił do osławionego stalagu Luft III pod Żaganiem.

O tym, że „Tolo" dostał się do niewoli, jego koledzy z 303. dowiedzieli się w kwietniu 1942 roku. Tak zapisano to w kronice dywizjonu: „Jest wiadomość o Tolu. Hura!!! – trzykrotnie!!! Przyszedł telegram z wiadomością z Red Cross, iż Niemcy podają, że F/Lt. Łokuciewski wzięty [został] do niewoli w dniu 13 marca 1942 roku […]. Jest to pierwszy z »zaginionych« dywizjonu raportowany w niewoli – dotychczas ginęli bez śladu".

W obozie por. Łokuciewski od razu zaczął planować ucieczkę. 15 sierpnia 1943 roku, wraz z grupą 25 współwięźniów, uciekł przez… obozową bramę główną. Dwaj jego kompani przebrali się w niemieckie mundury i udając eskortę, wyprowadzili całą grupę przed nosami niczego niepodejrzewających wartowników. Prawda wyszła na jaw

W 1969 ROKU ZOSTAŁ ATTACHÉ WOJSKOWYM W LONDYNIE I TU ROZPOCZĄŁ SIĘ KOLEJNY DRAMAT W JEGO ŻYCIU. W CZASIE RÓŻNYCH UROCZYSTOŚCI SPOTYKAŁ SIĘ Z OSTRACYZMEM ZE STRONY SWOICH BYŁYCH TOWARZYSZY BRONI

w czasie wieczornego apelu i rozpoczęto pościg. Niestety, gestapo schwytało Łokuciewskiego kilka dni później na stacji kolejowej w Legnicy.

Ten jednak nie zrezygnował i wziął udział w przygotowaniach słynnej wielkiej ucieczki z 24 na 25 marca 1944 roku. Tyle że wylosował odległy numer porządkowy w wydrążonym podziemnym tunelu i nie zdołał wydostać się poza teren stalagu zanim Niemcy odkryli podkop (większość uciekinierów wyłapali i prawie natychmiast rozstrzelali). Szczęście uśmiechnęło się do niego dopiero w kwietniu 1945 roku. W czasie ewakuacji obozu z kilkoma kolegami zbiegł na terenie Niemiec. Uciekinierzy najpierw ukryli się w jednym z opuszczonych domów w Lubece. Znaleźli później porzucony samochód, którym przedostali się na zajęte przez Brytyjczyków lotnisko.

ZAKLINANIE RZECZYWISTOŚCI

Po rekonwalescencji Witold Łokuciewski w stopniu kapitana pilota 29 listopada 1945 roku wrócił do Dywizjonu 303. 1 stycznia 1946 roku został awansowany do stopnia majora pilota, a 1 lutego od kpt. Bolesława Drobińskiego przejął dowództwo nad kościuszkowcami. Zdawał sobie sprawę z tego, że stanął na czele dywizjonu w bardzo ciężkim okresie. Zapatrzeni w Stalina brytyjscy politycy chcieli jak najszybciej wymazać z pamięci swego społeczeństwa dokonania polskich pilotów… Mjr Łokuciewski zanotował wówczas w kronice dywizjonu: „Dziś, kiedy zostałem dowódcą tego sławnego »303«, nasuwają się pewne refleksje: wojna skończyła się, nie ma konkretnych widoków na następną, jaki cel stoi przed nami i jaką drogą mamy do niego dążyć? Właśnie o tę drogę nam chodzi, bo cel jest jasny: nie dać się złamać i okłamać, a drogę na pewno wybierzemy taką, jaka będzie nas godna. Wierzę, że w pracy tej będziemy szli zwarci, tak że obowiązek nasz będzie spełniony po żołniersku i po obywatelsku".

Słowa te były zaklinaniem rzeczywistości wobec coraz większej tęsknoty za rodziną i krajem, silniejszej nawet od strachu przed Sowietami. Do mjr. Łokuciewskiego docierały z Polski listy od matki, siostry i brata, którzy osiedli w Lublinie. Ojciec zmarł w czasie pierwszych sowieckich deportacji z kresów na początku wojny, a szwagra zamordowało NKWD w Katyniu. Matka i rodzeństwo błagali go, by wrócił do domu. W kraju odnalazła się też jego dawna sympatia. Postanowił zatem wrócić.

Przyjechał do Polski w czerwcu 1947 roku i zamieszkał z rodziną w Lublinie. Okazało się, że jego przedwojenna narzeczona wyszła już za mąż za kogoś innego. Dostał pracę instruktora lotniczego w Aeroklubie Lubelskim w Świdniku. W 1949 roku nasiliły się jednak represje wobec powracających z Zachodu żołnierzy byłych PSZ i po ucieczce dwóch pilotów aeroklubu na Zachód, Łokuciewski został zwolniony. Odebrano mu uprawnienia pilota, zakazano wstępu na lotnisko, a nawet wyznaczono odległość, na którą nie wolno mu było się do niego zbliżać. W tym czasie poznał studentkę KUL-u Wandę Szablicką, córkę znanego lubelskiego adwokata Romualda Szablickiego. Ożenił się z nią i po ślubie krótko pracował w kancelarii teścia jako goniec. Na początku lat pięćdziesiątych został natomiast zastępcą kierownika Spółdzielni Pracy „Wapno – Beton" w Lublinie.

CZARNA OWCA

W 1956 roku, po „odwilży", Witold Łokuciewski wrócił do lotnictwa wojskowego. Przeszedł przeszkolenie na odrzutowych samolotach MiG, a jego umiejętności zrobiły na instruktorach takie wrażenie, że od razu uznano go za zdolnego do służby czynnej. Można sobie wyobrazić, co czuł mjr Łokuciewski, który w latach wojny pisał: „Bo muszę wyznać, że mieć tytuł pilota, a nie latać z takich czy innych względów, jest bardzo nieprzyjemnie". Szybko awansował między innymi na inspektora służby sztabów, następnie inspektora techniki pilotażu w Dowództwie Wojsk Lotniczych i Obrony Powietrznej. W 1969 roku w stopniu pułkownika został attaché wojskowym w Londynie i tu rozpoczął się kolejny dramat w jego życiu.

W Londynie w czasie różnych uroczystości i przyjęć spotykał się z ostracyzmem ze strony swoich byłych towarzyszy broni, którzy pozostali na emigracji. Uważali go za zdrajcę, który przeszedł na stronę komunistów. Jeden z jego kolegów z czasów bitwy o Wielką Brytanię, Ludwik Martel, powiedział mu wprost: „»Tolo«, jesteś draniem, skończonym draniem. Nie miałeś prawa przyjechać tu, gdzie ci się dobrze żyło, gdzieś się dobrze bawił". Inni odwracali się od niego bez słowa, nie przyjmując wyciągniętej ręki.

Sam płk Łokuciewski nigdy się nie bronił ani nie tłumaczył, dlaczego przyjął stanowisko w komunistycznej ambasadzie. Raz tylko zapytany przez Ludwika Martela, czemu to zrobił, miał odpowiedzieć krótko: „Zmusili mnie". Tylko jeden z byłych pilotów Dywizjonu 303 nie bojkotował „Tola". „Muszkieter" Jan Zumbach, który po wojnie był między innymi przemytnikiem, najemnikiem, pilotem na usługach tajnych służb i właścicielem dyskoteki w Paryżu, dobrze wiedział, co znaczy być „czarną owcą". Czarujący „Donald" pozostawał w dobrych stosunkach ze wszystkimi kolegami, zarówno z emigracji, jak i z kraju, i nie przejmował się „koniunkturami politycznymi".

W 1972 roku płk Łokuciewski wrócił do Warszawy, a w 1974 przeszedł na emeryturę. Ostracyzm ze strony kolegów pozostawił w nim głęboką ranę, z powodu której – jak sam wyznał – „cierpiał najboleśniej".

Płk Witold Łokuciewski zmarł 17 kwietnia 1990 roku w Warszawie. Został pochowany na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach. Za zasługi w czasie drugiej wojny światowej uhonorowano go Krzyżem Srebrnym Orderu Wojennego Virtuti Militari, dwukrotnie Krzyżem Walecznych, brytyjskim Zaszczytnym Krzyżem Lotniczym (Distinguished Flying Cross) i francuskim Krzyżem Wojennym (Croix de Guerre). ■

WŁODZIMIERZ KALETA

Wędrujące agawy

Gdyby w połowie lat osiemdziesiątych nagłośniono ten przypadek, to mógłby służyć za jeden z dowód walki państwa z Kościołem. W rzeczywistości był to nieprzemyślany wybryk kilku żołnierzy, którzy zbyt gorliwie chcieli wykonać rozkaz przełożonego.

Historia ta zdarzyła się w jednym z dywizjonów rakietowych 3 Łużyckiej Dywizji Rakietowej OPK. Młodzi żołnierze w większości przychodzili do jednostek OPK po przysiędze i przeszkoleniu specjalistycznym, które odbywali w ośrodkach szkolenia. Zdarzało się jednak, że okresowo wcielano do wybranych jednostek poborowych bezpośrednio z cywila i szkolono ich w mniej skomplikowanych specjalnościach. Podstawowe szkolenie nowo wcielonych żołnierzy na potrzeby całej dywizji było prowadzone w jednym, wybranym przez dowódcę dywizjonie. To było wyróżnienie dla najlepszych pododdziałów. Przygotowanie przysięgi w każdym z dywizjonów zdarzało się zatem raz na kilka lat.

Owej jesieni unitarkę kończył dywizjon dowodzony przez ppłk. Adama K. Rozpoczęto wówczas przygotowania do uroczystej przysięgi. Oprócz treningów musztry i prób uroczystości (za co odpowiadał szef sztabu) obejmowały one również sprawy logistyczne, związane z: przybyciem rodzin poborowych i wydaniem uroczystego obiadu (za co odpowiadał kwatermistrz) oraz odpowiednim przygotowaniem placu apelowego i koszar (za co odpowiadał zastępca dywizjonu do spraw politycznych kpt. Zdzisław L., oficer świeżo po studiach, odbywający w jednostce praktykę).

Oficer postawił zadania poszczególnym dowódcom pododdziałów, określając rejony, które należy udekorować. Żołnierzy baterii startowej wyznaczył jako odpowiedzialnych za przygotowanie trybuny. Miało być pięknie, jak nigdy wcześniej w jednostce. Jak to jednak zrobić, skoro nie mogło być mowy o żadnych środkach na kupno materiałów na dekoracje? Wszystko miało zostać zrobione żołnierskim sumptem.

W dniu przysięgi do jednostki przybyli zaproszeni przez dowództwo dywizjonu przełożeni z dywizji, władze gminne, miejscowi przedsiębiorcy, nauczyciele szkoły podstawowej, milicjanci z pobliskiego posterunku oraz miejscowy proboszcz. Przyjechały też rodziny poborowych. Jednostka była wysprzątana i ładnie udekorowana. Kiedy jednak goście skierowali się do wejścia na trybunę, nastąpiła katastrofa. Ksiądz proboszcz wręcz oniemiał, gdy zobaczył ustawione przed trybuną dwie duże donice z agawami. Dwa dni wcześniej kwiaty takie zniknęły bowiem z plebanii. Zdenerwowany ksiądz wykrzyczał wówczas dowódcy dywizjonu, co myśli o tej sytuacji.

Wiele wysiłków kosztowało dowództwo dywizjonu załagodzenie konfliktu na linii Wojsko Polskie – Kościół. Zaraz po przysiędze w jednostce przeprowadzono dochodzenie, żeby się dowiedzieć, kto, kiedy i w jaki sposób przetransportował dwie duże i ciężkie kamienne donice z agawami z terenu kościelnego do jednostki odległej o około 2 km. Ponadto dowództwo musiało bardzo się postarać, aby choć trochę ułagodzić proboszcza. Żołnierze wiele godzin poświęcili na porządkowanie terenów kościelnych. ■

WIELE WYSIŁKÓW KOSZTOWAŁO DOWÓDZTWO DYWIZJONU ZAŁAGODZENIE KONFLIKTU NA LINII WOJSKO POLSKIE – KOŚCIÓŁ

PODPUŁKOWNIK W STANIE SPOCZYNKU WŁODZIMIERZ KALETA SŁUŻYŁ W 7 ŁUŻYCKIEJ DYWIZJI DESANTOWEJ.

ANNA DĄBROWSKA, PAULINA GLIŃSKA,
MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

POWRÓT DO PRZESZŁOŚCI

DRUGIE ŻYCIE FORTU

Bogata historia i zabytkowy charakter powojskowych budowli przyciągają nowych gospodarzy.

AGENCJA MIENIA WOJSKOWEGO

TEREN ZAMINOWANY

Kiedyś stanowiły ważne punkty obrony kraju, później mieściły pilnie strzeżone wojskowe instytucje. Dziś goszczą smakoszy, miłośników przygód lub zwolenników jogi. „W Polsce moda na kupowanie i adaptowanie zabytkowych obiektów militarnych z każdym rokiem rośnie", uważa Grażyna Pawłowska, doradca do spraw nieruchomości.

Nawet w kryzysie przedsiębiorcy inwestują w powojskowe budowle. Główną zachętą jest ich niebanalny wygląd, związana z budynkami historia, która przyciąga klientów, często także chęć zachowania zabytku w dobrym stanie. Ważnym bonusem przy kupowaniu obiektu wpisanego do rejestru zabytków jest też 50-procentowa bonifikata przysługująca nabywcy. „Gorszą stroną takiej inwestycji jest konieczność ustalania wszelkich zmian z konserwatorem oraz wysokie koszty prac adaptacyjnych", dodaje Grażyna Pawłowska.

Obiektów do kupienia nie brakuje. Wraz ze zmniejszaniem się armii coraz więcej budynków przestaje pełnić funkcje militarne. Wiele z dotychczas wykorzystywanych nieruchomości okazuje się zbędne i trafia do Agencji Mienia Wojskowego, która wystawia je na licytacje.

MURY Z CERTYFIKATEM

Jednym z prekursorów zagospodarowywania powojskowych zabytkowych budowli był Jerzy Okoński, szef Przedsiębiorstwa Turystyczno-Gastronomicznego Twierdza Toruń. W 1996 roku zainteresował się niszczejącym XIX-wiecznym fortem pruskim zewnętrznego pierścienia obiektu. Jak sam mówi, żal mu było niszczejącego zabytku. „Póki wojsko zajmuje takie obiekty, są one w dobrym stanie, niestety kiedy armia je opuści, najczęściej popadają w ruinę", stwierdza Okoński.

Świadczy o tym historia toruńskiego fortu. Wojsko zajmowało go do 1956 roku, potem mieściła się tutaj między innymi uprawa pieczarek. Po latach zniszczony fort przejęło miasto i w 1998 roku wydzierżawiło firmie Jerzego Okońskiego. „Musieliśmy sami nauczyć się, jak dbać o taką budowlę i jak ją przystosować do własnych potrzeb, bo nie było w Polsce wzorców zagospodarowywania podobnych budynków", mówi właściciel firmy.

Dziś fort nadal jest własnością miasta. „Chcemy go wykupić i mamy nadzieję, że wszystkie formalności zostaną załatwione w ciągu dwóch lat", informuje Jerzy Okoński, który przeznaczył około 4 ha zabytkowego terenu i 6 tys. m^2 budynków na działalność turystyczną, gastronomiczną oraz edukacyjną. W forcie można zanocować w pokojach urządzonych na wzór żołnierskich koszar, zjeść w restauracji fortecznej, są tutaj też organizowane zajęcia edukacyjne, między innymi z surwiwalu i postępowania w sytuacjach kryzysowych oraz warsztaty artystyczne.

Malowniczo położona Twierdza Toruń co roku przyciąga turystów, chcących zasmakować koszarowego życia.

Zagospodarowanie i otwarcie dla turystów dawnej warowni wymagało jednak wielu prac remontowo-adaptacyjnych. Fort był zdewastowany, trzeba go było uporządkować, wysuszyć i odgrzybić. Jednak wysiłki przy renowacji budowli doceniła Polska Organizacja Turystyczna, wyróżniając w 2009 roku Fort IV certyfikatem za najlepszy produkt turystyczny.

CENTRUM ROZWOJU

Podobną budowlę na początku zeszłego roku kupił w Warszawie Michał Kiciński, współtwórca spółki CD Projekt, która wypuściła na rynek komputerową grę „Wiedźmin". Fort Traugutta to najlepiej zachowany element umocnień otaczających stołeczną Cytadelę. Zlokalizowana w centrum Warszawy budowla, wzniesiona w latach trzydziestych i czterdziestych XIX wieku, do końca 2010 roku była wykorzystywana jako archiwum wojskowe, dzięki czemu przetrwała w bardzo dobrym stanie.

Działkę liczącą ponad 2300 m^2, zabudowaną wieżą artyleryjską z 1834 roku, Agencja Mienia Wojskowego sprzedała za 3,03 mln zł. Budowla została wniesiona aportem do spółki Fort Traugutta sp. z o.o., powołanej do zarządzania nieruchomością. Nowi właściciele zaczęli już wstępny remont, zabezpieczyli osuwające się fragmenty nasypu, doprowadzili do porządku część instalacji elektrycznej, ściągnęli zagrzybiałe tynki i osuszają mury.

„Chcemy, aby w centrum Warszawy w ciągu dwóch lat powstało miejsce przeznaczone do rozwoju osobistego człowieka, w którym będą prowadzone różnego rodzaju zajęcia i warsztaty związane z samodoskonaleniem, między innymi

A.M.W. (2)

W POLSCE MODA NA ADAPTOWANIE **ZABYTKOWYCH OBIEKTÓW MILITARNYCH** Z KAŻDYM ROKIEM ROŚNIE. GŁÓWNĄ ZACHĘTĄ SĄ ICH NIEBANALNY WYGLĄD I HISTORIA

joga i taniec", wyjaśnia Irmina Nielubowicz, współwłaścicielka spółki.

Z kolei Twierdza Osowiec, największy polski fort nigdy niezdobyty podczas działań wojennych, jest dziś częściowo udostępniona turystom. Zbudowane przez Rosjan pod koniec XIX wieku umocnienia składają się z czterech fortów, z których główną pozycją obronną był Fort I, będący zarazem cytadelą. W okresie II Rzeczypospolitej mieściła się tu Centralna Szkoła Podoficerska Korpusu Ochrony Pogranicza. Wycofujący się w 1944 i 1945 roku Niemcy dokonali licznych zniszczeń, wysadzając poszczególne forty.

W 1998 roku Twierdza Osowiec została wpisana do rejestru zabytków, a na terenie Fortu I dzięki Osowieckiemu Towarzystwu Fortyfikacyjnemu otwarto Muzeum Twierdzy Osowiec. Towarzystwo udostępnia także ścieżkę historyczno-przyrodniczą wokół umocnień. „Twierdza znajduje się na terenie jednostki wojskowej i można ją zwiedzać tylko z przewodnikiem. Turystom pokazujemy Fort I i IV, a także muzeum i cytadelę", wyjaśnia Mirosław Worona, prezes towarzystwa.

FIRMA W ARESZCIE

Zupełnie inny charakter ma dawny wojskowy areszt w Olsztynie. W 2013 roku, gdy cena wywoławcza wynosiła 630 tys. zł, o jego kupno rywalizowało dwóch uczestników. Ostatecznie aukcję wygrała firma budowlana z Olsztyna, która zajmuje się także renowacją zabytkowych budynków. Jej właściciel Jerzy Skorłutowski, zapłacił blisko 699 tys. zł. Dawne cele zamierza przekształcić w nowoczesne biura projektowe i pracownie konserwatorskie.

Pochodząca z 1918 roku budowla jest unikatem. Przetrzymywano tu żołnierzy służących w Wehrmachcie, ludowym Wojsku Polskim i Siłach Zbrojnych RP. W ciągu niemal stu lat niewiele się w nim zmieniło i do dziś zachowały się dawny układ pomieszczeń, klatka schodowa i posadzki. Mimo że historia obiektu jako wojskowego aresztu dobiegła końca w 2009 roku, wciąż znajdują się w nim więzienne prycze, a na niektórych ścianach widnieją podpisy aresztowanych żołnierzy.

Nowego nabywcy nie odstraszyło jednak ani dawne przeznaczenie budynku, ani nadzór konserwatora, który ogranicza modernizację i przebudowę obiektu. „Ma on świetną lokalizację, niedaleko Starego Miasta. Chcę uratować ten obiekt, a nie niszczyć go niepotrzebnymi remontami. Dlatego planuję w jak największym stopniu zachować jego bryłę i pierwotny charakter. Inaczej straciłby cały swój urok", mówi Jerzy Skorłutowski.

Do zaaranżowania nabywca ma 660 m^2 w samym budynku i ponad 200 m^2 zewnętrznego tzw. spacerniaka. Nowe oblicze zyska też mająca ponad 3 tys. m^2 działka, na której stoi dawny areszt. Jakie zmiany planuje nowy właściciel? „Zgodnie z zaleceniami konserwatora będę musiał zachować charakterystyczne niewielkie okna. Mam za to zgodę na zrobienie otworów okiennych w dachu i budowę wewnętrznej windy. Konserwator zgodził się także na przeszklenie spacerniaka", wyjaśnia Skorłutowski. W ciągu dwóch lat właściciel planuje przenieść tu siedzibę swojej firmy.

PIĘĆ LAT PRÓB

Z pewnością jednak najwięcej emocji i zainteresowania budziły kupno i pomysł na rewitalizację Twierdzy Modlin. Mieszczącą się tam cytadelę, jedną z najlepiej zachowanych i największych twierdz obronnych w Polsce, Agencji Mienia Wojskowego udało się sprzedać w sierpniu 2013 roku, po niemal pięciu latach prób i dziewięciu przetargach. Wcześniej potencjalnych nabywców odstraszyła przypuszczalnie nie tyle cena zakupu XIX-wiecznej fortyfikacji, ile kwota, jaką trzeba zainwestować, aby doprowadzić zabytek do stanu używalności. Według ostrożnych szacunków to koszt ponad 100 mln zł.

W ostatnim przetargu zachętą dla nabywcy były bardziej precyzyjne i mniej restrykcyjne zalecenia konserwatorskie. Nowy właściciel zabytkowego kompleksu miał też otrzymać komplet dokumentów, w których opisano konieczne prace remontowe.

Na ofertę skusiła się poznańska firma Konkret SA. Jej właściciel, Wiesław Jan Prusiecki, aby stać się posiadaczem 58-hektarowego terenu wraz z ponaddwukilometrowymi koszarami obronnymi, musiał wyłożyć 17 mln 850 tys. zł. Poznańska firma ma zresztą doświadczenie w aranżowaniu podobnych miejsc. Kupiony kilka lat temu kompleks dawnych koszar ułanów w Poznaniu to dziś City Park & Hotel Residence, łączący w sobie funkcje mieszkaniowe, hotelowe, biurowe i rozrywkowe.

MILIARD DO CELU

Położona około 30 km na północny zachód od Warszawy Twierdza Modlin daje właścicielowi dużo większe możliwości. „Widzę ogromny potencjał tego miejsca, możliwości i szanse, które wynikają z jego historii. Chcę, by ten obiekt był stopniowo przywracany ludziom, chcę wskrzesić jego energię", mówił Prusiecki zaraz po kupnie twierdzy.

Fort Traugutta wymaga jeszcze wielu inwestycji. W przyszłości jednak, jak mają nadzieję nowi właściciele, będzie tętnił życiem.

Inwestor chce zrewitalizować tereny zielone i rekreacyjne tak, aby mogły służyć turystom i okolicznym mieszkańcom. W dalszych planach powstanie nowoczesne miasto w mieście, tak zwane smart city. Złożą się na nie tereny rekreacyjne, hotel, uczelnia, centrum zakupowe, nowoczesne lofty, biura co-workingowe i centrum konferencyjne. Twierdza Modlin ma się stać jednak nie tylko miejscem do życia, rozwoju i prowadzenia biznesu, ale też ważnym ośrodkiem kontaktu ze sztuką, artystami i historią. Powstanie tu między innymi wirtualne centrum kultury, gdzie swoje miejsce znajdą zdjęcia, filmy i inne materiały audiowizualne dotyczące twierdzy.

Budynek olsztyńskiego aresztu powstał w 1918 roku.

W więziennych celach wciąż znajdują się prycze, a na ścianach można odczytać podpisy aresztowanych.

A M W (5)

WYZWANIEM JEST DOSTOSOWANIE OBIEKTÓW DO NOWYCH POTRZEB, A JEDNOCZEŚNIE ZACHOWANIE ICH HISTORYCZNEGO CHARAKTERU

W Twierdzy Modlin w przyszłości powstanie miasto w mieście, z terenami rekreacyjnymi, hotelem, centrum handlowym, a nawet uczelnią.

W trakcie prac prowadzonych na terenie twierdzy konieczne będzie przestrzeganie zaleceń konserwatora zabytków. Są one łagodniejsze niż przy pierwszych przetargach organizowanych przez Agencję Mienia Wojskowego. „Zezwolił on na swobodniejsze zaaranżowanie wnętrza cytadeli z zachowaniem oryginalnej bryły budynków i dobudowaniem nowych obiektów wewnątrz fortyfikacji”, mówi Małgorzata Golińska, rzeczniczka AMW. Jednak, jak podkreśla nowy właściciel, to właśnie ochrona historycznego charakteru tego miejsca będzie jednym z priorytetów. Teraz w Modlinie trwają prace remontowo-konserwacyjne, jednocześnie jest przygotowywana infrastruktura turystyczna, aby zwiedzający mogli poruszać się w bezpieczny sposób. „Wycinamy chaszcze, wytyczamy ścieżki, alejki, projektujemy obiekty małej architektury. Planujemy też otworzyć muzeum wojskowości, w którym znajdą się izby żołnierskie. Zwiedzający będą mogli zobaczyć, w jakich warunkach mieszkali żołnierze w poszczególnych latach istnienia twierdzy”, opowiada Piotr Ratajczyk, dyrektor do spraw rozwoju biznesu Konkret SA.

Ruszyły także pierwsze prace projektowe. Właściciel ocenia, że nadanie twierdzy nowego oblicza może zająć do dziesięciu lat. Koszt inwestycji jest szacowany na 1 mld zł. ■

JACEK SKRZYPCZYK

Świadek historii

Pszczyna, zwana dziś Perłą Górnego Śląska, stała się centrum decyzyjnym dowództwa niemieckiego podczas I wojny światowej.

W 2014 roku mija 100. rocznica wydarzeń w Sarajewie. Tam 28 czerwca 1914 roku zamordowano serbskiego arcyksięcia Franciszka Ferdynanda Habsburga i jego żonę Zofię, co stało się bezpośrednim powodem wybuchu I wojny światowej – konfliktu, który przez cztery lata przyniósł największe w tamtym czasie straty ludzkie, materialne i kulturowe. Gdy wielkie armie wykrwawiały się na polach bitew, najważniejsze decyzje zapadały z dala od frontowego zgiełku – w wygodzie i luksusie, w warunkach znacznie różniących się od wojennych okopów. Jednym z takich miejsc była Pszczyna, a w szczególności tamtejszy zamek oraz budynek Generalnej Dyrekcji Dóbr Książęcych, popularnie zwany Palais, gdzie w latach 1914–1917 mieściły się kwatera główna oraz sztab wojenny cesarza Niemiec Wilhelma II Hohenzollerna.

MAŁY BERLIN

Pierwsze wzmianki o Pszczynie pojawiły się już w latach 1303 i 1347. Nieco później, bo w XV wieku, wspomina się

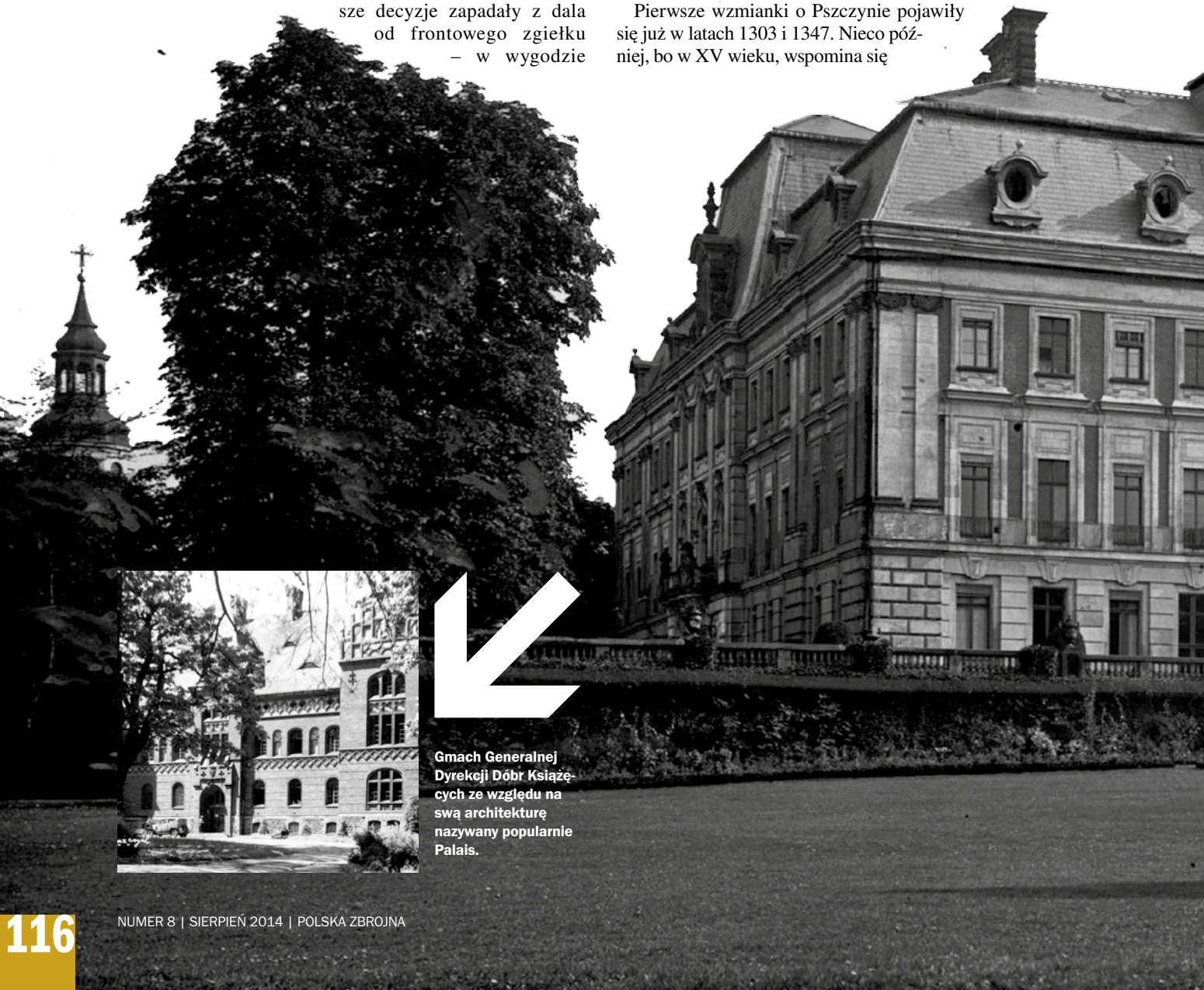

Gmach Generalnej Dyrekcji Dóbr Książęcych ze względu na swą architekturę nazywany popularnie Palais.

o warowni, która w 1433 roku oparła się najazdowi husytów. Tę właśnie datę uznaje się za początek istnienia zamku. Od czasów powstania był on wiele razy przebudowywany zgodnie z panującymi w danej epoce trendami oraz gustami jego panów. Dzisiejszy kształt otrzymał dzięki ostatniej przebudowie w drugiej połowie XIX wieku. Dobra pszczyńskie niejednokrotnie zmieniały swych właścicieli, a ostatni z nich – niemiecka rodzina Hochbergów – władał Pszczyną aż do 1945 roku. To właśnie z tym rodem wiążą się wydarzenia, które wpłynęły na bieg I wojny światowej.

Decyzja cesarza Wilhelma II o umieszczeniu swojego sztabu właśnie w Pszczynie nie była przypadkowa. Ziemie te od 1847 roku należały do rodziny Hochbergów i znajdowały się w granicach Prus. Cesarz wraz z małżonką Augustą Wiktorią w latach 1885–1911 wielokrotnie przyjeżdżał do Pszczyny na zaproszenie tamtejszych panów – księcia Jana Henryka XI Hochberga i jego syna Jana Henryka XV, którego żoną była znana z nieprzeciętnej urody Angielka – Maria Teresa Oliwia Cornwallis-West, nazywana Daisy. Podczas tych wizyt w lasach pszczyńskich odbywały się słynne w całej Europie polowania na drobną zwierzynę, na jelenie, a przede wszystkim na żubry. Wilhelm II założył w tym miejscu swoją wojenną kwaterę ze względu na niedalekie sąsiedztwo sojusznika Niemiec – Austro-Węgier, których dowództwo ulokowało się w Cieszynie, czyli kilkadziesiąt kilometrów od Pszczyny.

W 1914 roku książę Jan Henryk XV Hochberg, który był wówczas oficerem ordynacyjnym Wilhelma II, udostępnił cesarzowi zamek pszczyński oraz budynek Palais. Pszczyna aż do 1917 roku była centrum decyzyjnym naczelnego dowództwa niemieckiego, a przez to także miejscem częstych wizyt gości zagranicznych. Dzięki temu pruskie gazety nadały miastu miano „mały Berlin". Wśród zaproszonych znaleźli się między innymi cesarz Austro-Węgier Karol I, car Bułgarii Borys czy głównodowodzący wojsk tureckich Enver Pasza. Przyjeżdżali tam również wybitni oficerowie – feldm. Paul von Hindenburg – późniejszy prezydent Niemiec, gen. Erich Ludendorff, a także słynni niemieccy piloci: „Czerwony Baron" – Manfred von Richthofen, Max Immelmann – pierwszy niemiecki as myśliwski, i Oswald Boelcke – pilot i twórca taktyki lotnictwa myśliwskiego. Każdy z tych pilotów został odznaczony w pałacu orderem Pour le Mérite. Ze względu na obecność międzynarodowych dostojników oraz przywódców niemieckich miasto wymagało odpowiednich zabezpieczeń. Wokół Pszczyny rozlokowano więc oddziały niemieckie i austro-węgierskie, w których skład wchodziły między innymi dywizjon aeroplanów Albatros oraz bateria przeciwlotnicza.

Wojna się przeciągała, a jej okopowy charakter nie dawał nadziei na szybkie zwycięstwo. Przyczyniło się to do kilku kluczowych decyzji, podjętych na terenie Pszczyny, które zmieniły bieg historii.

Po początkowych zwycięstwach postęp niemieckich wojsk został zahamowany. Problemy na froncie odbijały się również na społeczeństwie, które coraz mocniej odczuwało trudy wojny. Nie inaczej było w Pszczynie. Szukano więc →

OD CZASÓW POWSTANIA ZAMEK W PSZCZYNIE WIELE RAZY PRZEBUDOWYWANO ZGODNIE Z TRENDAMI DANEJ EPOKI ORAZ GUSTAMI JEGO PANÓW

NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (2)

różnych rozwiązań, a jednym z nich był sporządzony tu 18 października 1916 roku tak zwany akt 5 listopada, który pod tą datą został później ogłoszony w Warszawie. Dokument ten miał na celu przeciągnięcie Polaków na stronę państw Trójprzymierza, a zakładał między innymi utworzenie Królestwa Polskiego, pozostającego „w łączności z obu sprzymierzonymi mocarstwami" [Niemcami i Austro-Węgrami] i odwoływał się do świetnej historii armii polskiej, obiecując jej ponowne utworzenie.

Co ciekawe, na polskim tronie, jako monarchii konstytucyjnej, miał zasiąść niemiecki książę, właściciel dóbr pszczyńskich Jan Henryk XV Hochberg lub arcyksiążę austriacki Karol Stefan von Habsburg. Te plany jednak spełzły na niczym. Z pewnością akt 5 listopada nie przyniósł pożądanych rezultatów, ale wywołał spore zamieszanie, przyczyniając się do nagłośnienia sprawy polskiej na arenie międzynarodowej.

ODBEZPIECZONY GRANAT

Nieudane kampanie roku 1916, szczególnie ofensywa pod Verdun, która pochłonęła ponad 700 tys. ofiar wśród Francuzów i Niemców, oraz bitwa nad Sommą (1 mln ofiar), a także odrzucenie przez Brytyjczyków propozycji zawarcia pokoju w Europie Zachodniej zmuszały naczelne dowództwo niemieckie do podejmowania radykalniejszych kroków. W tym czasie rezydujący w Pszczynie cesarz niemiecki stawał się coraz bardziej zależny od swoich dowódców wojskowych, a szczególnie feldm. Hindenburga i gen. Ludendorffa. To właśnie oni, wraz z szefem sztabu marynarki wojennej Niemiec adm. Henningiem von Holtzendorffem, byli największymi zwolennikami tak zwanej nieograniczonej wojny podmorskiej, która stała się głównym tematem konferencji zorganizowanej w Zamku Pszczyńskim 9 stycznia 1917 roku.

Oprócz cesarza i najwyższych oficerów udział w konferencji wziął również kanclerz Theobald von Bethmann-Hollweg, który sprzeciwiał się wszczęciu działań z wykorzystaniem U-Bootów. Bethmann słusznie przewidywał, że podjęcie tej decyzji sprowokuje Stany Zjednoczone do włączenia się w wojnę i w rezultacie przyczyni się do wsparcia europejskich sojuszników.

Kanclerz, pomimo uzasadnionych wątpliwości, nie miał szans na przekonanie cesarza, gdyż decyzja ta zapadła już miesiąc wcześniej. W dodatku podczas konferencji głos zabierali wpływowi oficerowie – między innymi wspomniany adm. von Holtzendorff, który wykrzyknął nagle: „Gwarantuję słowem honoru oficera marynarki, że ani jeden Amerykanin nie postawi stopy na kontynencie!" i w ten sposób właściwie zakończył wystąpienie kanclerza, zmuszając go do poparcia planów wojennych. Po spotkaniu Wilhelm II podpisał wcześniej zredagowany dokument, w którym rozkazywał 1 lutego 1917 roku wszcząć nieograniczoną wojnę podmorską i prowadzić ją „z największą energią".

Głównym celem tej decyzji było gospodarcze wyczerpanie Wielkiej Brytanii, która drogą morską otrzymywała ogromne wsparcie od zaatlantyckiego sojusznika. Szacuje się, że w latach 1914–1916 Stany Zjednoczone eksportowały do państw ententy towary na łączną sumę 6 mld dolarów. Decyzja cesarza oznaczała również atakowanie bez ostrzeżenia nie tylko statków ententy, lecz także jednostek neutralnych. Tego typu działania miały już miejsce w poprzednich latach, ale nie na tak wielką skalę.

Dla międzynarodowej społeczności podmorskie działania floty niemieckiej były szokiem. Nie inaczej było w Ameryce i choć od zatopienia RMS „Lusitania" w 1915 roku minęły niemal dwa lata, to społeczeństwo amerykańskie nadal było przeciwne udziałowi USA w wojnie, lecz do czasu.

W listopadzie 1916 roku nowym ministrem spraw zagranicznych Niemiec został Arthur Zimmermann, który od początku prowadził politykę zagraniczną dwutorowo. Przede wszystkim starał się utrzymać Stany Zjednoczone z dala od wojny. Jednocześnie oferował innym krajom sojusz przeciwko Amerykanom w potencjalnym konflikcie. Niemcy proponowali władzom Meksyku walkę po stronie państw centralnych w zamian za poparcie dążeń tego kraju do odzyskania terytoriów utraconych w czasie wojny z USA w latach 1846–1848.

Na podstawie decyzji podjętych w pszczyńskim zamku minister wysłał 16 stycznia 1917 roku do ambasadora Cesarstwa Niemieckiego w Meksyku Heinricha von Eckardta, za pośrednictwem ambasadora w USA Johanna von Bernstorffa, zaszyfrowany telegram z poleceniem przekazania go władzom Meksyku (słynny telegram Zimmermanna). Nie miał pojęcia, że brytyjskim kryptologom udało się już znaleźć klucz do niemieckiego szyfru. Ta iskra wznieciła prawdziwy pożar – w marcu Anglicy przekazali telegram prezydentowi USA, a w kwietniu 1917 roku Ameryka przystąpiła do wojny.

POWOJENNE LOSY

Cesarz Wilhelm II wraz ze swymi dowódcami przebywał w Pszczynie do 11 lutego 1917 roku i później nigdy już do niej nie wrócił. 11 listopada 1918 roku wielka wojna dobiegła końca, a rok później konferencja wersalska wyznaczyła nowy ład w Europie. W latach 1919–1921 na Śląsku miały miejsce trzy powstania zbrojne, które w ogromnej mierze objęły tereny Pszczyny. Dzięki tej heroicznej walce oraz w wyniku przeprowadzonego w roku 1921 plebiscytu miasto zostało ostatecznie przyłączone do II Rzeczypospolitej.

Ród Hochbergów władał Pszczyną do 1945 roku, ale straty wojenne, złe gospodarowanie majątkiem oraz konflikty wewnątrzrodzinne stały się powodem ogromnego zadłużenia wobec skarbu państwa. Ostatecznie dobra pszczyńskie, na podstawie dekretu o reformie rolnej, przejęło państwo polskie.

9 maja 1946 roku w zamku powstało muzeum. Z czasem stało się jednym z najcenniejszych muzeów rezydencji w Europie kontynentalnej. Pomimo dwóch światowych konfliktów, które dotknęły Pszczynę, ekspozycja zamkowa ma dziś 80% oryginalnego wyposażenia. Wśród licznych komnat znajdują się między innymi apartamenty cesarza Wilhelma II oraz eksponaty i fotografie dokumentujące opisywane tu wydarzenia. Muzeum od wielu lat przyciąga turystów z całego świata, których liczba z roku na rok rośnie i dochodzi do około 200 tys.

Inaczej potoczyły się losy drugiego obiektu, w którym przebywali najwyżsi oficerowie niemieccy w trakcie I wojny światowej – budynku Palais. Ze względu na brak konkretnych celów jego wykorzystania Starostwo Powiatowe w Pszczynie zdecydowało się na sprzedaż. Palais poszedł pod młotek w 2007 roku za 3 mln zł, ale główny warunek – renowacja ponadstuletniego obiektu, do dziś nie został przez kupującego spełniony. Palais dalej niszczeje. ■

KLUB 1 PUŁKU SAPERÓW

Rozczytana biblioteka

Biblioteka Klubu 1 Pułku Saperów nagrodziła najwierniejszych czytelników.

Tytuł Najlepszego Czytelnika Roku 2013 zdobyło 14 osób, które w zeszłym roku wypożyczyły i przeczytały najwięcej książek. Zwycięzcy podczas biesiady czytelniczej otrzymali od kierownika klubu pani Jany Koronkiewicz i szefa sekcji wychowawczej pułku mjr. Błażeja Lenarda pamiątkowe dyplomy i książki. Dodatkową atrakcją wieczoru było spotkanie z dr. Janem Majewskim, znanym autorem artykułów i książek związanych z ziemią brzeską. Swoją ostatnią publikację poświęcił on tradycjom militarnym Brzegu. A D ■

Pamięci jeńców

Oddano cześć poległym serbskim żołnierzom.

Po nabożeństwie w cerkwi w Stargardzie Szczecińskim, odprawionym ku czci żołnierzy serbskich zmarłych na tych ziemiach w czasie I i II wojny światowej, na cmentarzu wojennym oraz przed pomnikiem upamiętniającym jeńców Stalagu II D oddano hołd poległym. Niemiecki obóz jeniecki funkcjonował tutaj od września 1939 roku do lutego 1945 roku. Więziono w nim polskich, francuskich, belgijskich, radzieckich i włoskich żołnierzy. W 1942 roku utworzono w obozie grupę około 450 jeńców jugosłowiańskich, którzy zostali skierowani do prac kolejowych w Szczecinie. Kwiaty pod upamiętniającym ich pomnikiem złożyli przedstawiciele straży pożarnej, służby więziennej i wojska, w tym dowódca garnizonu płk Krzysztof Król i delegacja żołnierzy Dowództwa Brygady Wsparcia Dowodzenia Wielonarodowego Korpusu Północno-Wschodniego. W uroczystościach uczestniczył ambasador Republiki Serbii Radojko Bogojević. A D ■

Prawie jak w wojsku

Uczniowie klasy wojskowej ćwiczyli na żagańskim poligonie.

Dzięki porozumieniu podpisanemu między klasą o profilu wojskowym z Liceum Ogólnokształcącego w Żaganiu a 34 Brygadą Kawalerii Pancernej żołnierze tej jednostki jako instruktorzy pomagają w szkoleniu młodych adeptów wojskowości. Pod koniec roku szkolnego młodzież sprawdziła swoje umiejętności podczas kilkudniowych ćwiczeń na żagańskim poligonie. Każdy dzień rozpoczynano porannym rozruchem, potem były zajęcia z taktyki, strzelectwa, topografii, obrony przeciwchemicznej, udzielania pierwszej pomocy na polu walki, wychowania fizycznego i samoobrony. Szkolenie zakończył siedmiokilometrowy marsz kondycyjny. W trakcie ćwiczeń wielu uczestnikom udało się otrzymać awanse na wyższe stopnie uczniowskie. A D ■

Historia przez pokolenia

Celem konkursu jest rozbudzanie zainteresowań historycznych wśród dzieci i młodzieży.

Dawid Łuczyk i Aleksandra Dyrkacz ze Szkoły Podstawowej nr 3 w Przeworsku oraz Martyna Czajka z Gimnazjum nr 2 w Stalowej Woli to laureaci organizowanego przez Oddziałowe Biuro Edukacji Publicznej Instytutu Pamięci Narodowej w Rzeszowie konkursu „Namaluj historię dziadków". W jego siódmej edycji wystartowało ponad 350 uczniów z 38 szkół podstawowych i gimnazjów Podkarpacia. Ich prace plastyczne miały dotyczyć historii Polski z lat 1939–1989 i powstać w wyniku inspiracji opowiadaniem osoby żyjącej w tamtym okresie. Te wyróżnione można oglądać w Galerii Miejskiej Zespołu Szkół Plastycznych w Rzeszowie. A D ■

ZBIGNIEW STAKUN

Zawody na plaży

Wojskowi i cywile rywalizowali w podnoszeniu ciężarów.

Aż 83 zawodników, między innymi z Olsztyna, Kętrzyna, Giżycka, Ciechanowa, Torunia i Szczytna, rywalizowało na plaży w Szczytnie o Puchar Burmistrza miasta w 14 kategoriach wiekowych i wagowych w II Otwartych Mistrzostwach Szczytna w Wyciskaniu Sztangi Leżąc. Pomysłodawcą sportowych zmagań był mjr Zbigniew Stakun, szef Wydziału Rekrutacji Wojskowej Komendy Uzupełnień w Olsztynie. Zawody zorganizowali wspólnie Lokalna Agencja Turystyczna, Urząd Miasta w Szczytnie i WKU z Olsztyna przy wsparciu 8 Szczycieńskiego Batalionu Radiotechnicznego z Lipowca. W zmaganiach najlepszą z kobiet okazała się Aleksandra Kozłowska z Ciechanowa, a wśród panów w najcięższej kategorii, powyżej 120 kg, wygrał Michał Rudziński z Olsztyna. A D ■

Sprawiedliwość po latach

Emerytowany ślusarz jest oskarżony o zabicie w Auschwitz tysięcy Żydów.

Johann Breyer z Filadelfii stanął przed amerykańskim sądem federalnym. Zarzuca mu się, że w czasie II wojny, jako strażnik w obozie koncentracyjnym Auschwitz-Birkenau, uczestniczył w mordowaniu ponad 200 tys. Żydów, przywiezionych w 1944 roku w 158 transportach z Węgier, Czechosłowacji i Niemiec. Jak podaje dziennik „New York Times", 89-letni Breyer został zatrzymany na prośbę niemieckich władz, które od lat zabiegają o jego ekstradycję. Wyemigrował do USA w 1952 roku i już 20 lat temu był po raz pierwszy oskarżony o współpracę z hitlerowcami. Wtedy zeznał, że pracował co prawda w Auschwitz, ale pod przymusem i nie miał nic wspólnego z zabijaniem więźniów. Teraz jednak z nowo odnalezionych dokumentów wynika, że mężczyzna jako 17-latek ochotniczo wstąpił do SS. Breyer pozostanie w areszcie do głównej rozprawy, która ma się odbyć w sierpniu. A D ■

Statuetki dla najlepszych

Po raz dziewiąty przyznano statuetki „Lex et Patria" jednostkom i żołnierzom wyróżniającym się w przestrzeganiu prawa.

Jedną z najważniejszych instytucji stojących na straży praworządności w państwie jest wojsko", mówił Maciej Jankowski, podsekretarz stanu w Ministerstwie Obrony Narodowej, podczas gali konkursu „Lex et Patria", promującego najbardziej praworządnych żołnierzy i jednostki wojskowe. W tym roku nagrodzono: płk. Andrzeja Zalewskiego, kierującego komórką postępowania administracyjnego Departamentu Kadr MON; mjr. Ryszarda Śnieżka, szefa sekcji wychowawczej 21 Brygady Strzelców Podhalańskich, dowódcę sekcji działań specjalnych Jednostki Wojskowej Komandosów w Lublińcu, który w jednym z łódzkich parków zapobiegł kradzieży; oraz st. szer. Marcina Cyrtę z 10 Brygady Kawalerii Pancernej. Żołnierz obezwładnił dwóch napastników, próbujących napaść na starszego mężczyznę. Tytuły najbardziej praworządnych jednostek otrzymały: 25 Batalion Logistyczny 25 Brygady Kawalerii Powietrznej, 6 Batalion Dowodzenia Sił Powietrznych 9 Brygady Wsparcia Dowodzenia i 10 Wrocławski Pułk Dowodzenia. Kapituła przyznała również wyróżnienie specjalne za szczególne osiągnięcia w utrzymaniu dyscypliny Jednostce Wojskowej „Agat". „Wszystkim nam musi zależeć, aby pokazywać ludzi, dla których służba w wojsku jest przede wszystkim honorem, misją i pasją", stwierdził gen. dyw. Mirosław Rozmus, komendant główny Żandarmerii Wojskowej, gratulując laureatom. A D ■

Zostań autorem

Ruszył konkurs na ciekawą książkę historyczną.

Wydawnictwo Znak Horyzont i księgarnie Matras ogłosiły konkurs „Książka historyczna nie musi być nudna!”. Promują w ten sposób on nowe podejście do pisania książki historycznej, która ma być fascynująca, intrygująca i odważna. Konkurs składa się z dwóch etapów. W pierwszym, trwającym do końca sierpnia, autorzy nadsyłają propozycje monografii historycznych, które mają szanse stać się bestsellerami. Następnie jury wyłoni dziesięć najlepszych pomysłów, na które do końca października będzie można głosować na stronie: www.zostanautorem.pl. Autor najlepszego pomysłu, który wyróżni się popularnym ujęciem tematu, bogatą bazą źródłową oraz dobrą myślą przewodnią, dostanie w nagrodę 20 tys. zł oraz kontrakt wydawniczy. A D ■

POD NASZYM PATRONATEM

Siedemdziesięciolecie 4 Lubuskiej Dywizji Zmechanizowanej

Koledzy, byli żołnierze i pracownicy jednostek 4 Lubuskiej Dywizji Zmechanizowanej!

W bieżącym roku przypada 70. rocznica sformowania 4 Dywizji Piechoty im. płk. J. Kilińskiego, która stoczonymi walkami na Pomorzu Zachodnim w składzie 1 Armii WP na trwałe wpisała się w wyzwolenie ziem polskich i historię wojskowości. Stacjonujące na terenie ziemi lubuskiej w latach 1950–2001 oddziały 4 DP, a następnie 4 Lubuskiej Dywizji Zmechanizowanej należały do wyróżniających się w siłach zbrojnych Polski. Po rozwiązaniu 4 LDZ w 2001 roku tradycję i wieloletnie dokonania „kilińszczaków” upamiętniają członkowie stowarzyszeń – byli żołnierze, a dziś rezerwiści dywizji.

Został powołany społeczny komitet obchodów 70-lecia powstania jednostki, reprezentujący działające w krośnieńskim garnizonie stowarzyszenia – koła: nr 9 ZŻWP, nr 16 SPP, nr 13 SKMP ONZ i Stowarzyszenie „Kilińszczaków”. Chce on zorganizować 6 września 2014 r. – w 70. rocznicę złożenia przez „kilińszczaków” pierwszej przysięgi wojskowej – uroczyste spotkanie na terenie krośnieńskiego garnizonu.

Mamy nadzieję, że na tę żołnierską zbiórkę do Krosna Odrzańskiego zamelduje się wielopokoleniowa żołnierska brać rezerwistów – żołnierzy zawodowych i zasadniczej służby wojskowej.

Szczegółowe informacje u organizatorów:
tel.: 668 96 73 63, 663 91 13 10, 502 76 21 65
e-mail: tadeusz.p@windowslive.com, kolonr9@gmail.com

Tuńczyk w natarciu

Amerykańska marynarka wojenna testuje nowe podwodne drony.

Bezzałogowe pojazdy podwodne, nad którymi pracują naukowcy z firmy Boston Engineering z Massachusetts, swoim kształtem i sposobem poruszania się przypominają ryby, a dokładnie tuńczyki. Drony mają około 120 cm długości i przemieszczają się nie dzięki śrubie napędowej, ale w wyniku ruchu mechanicznego ogona. „Zachowują się jak ryby, wyglądają jak ryby i poruszają się jak one”, mówi dziennikowi „Washington Times” kpt Jim Loper z departamentu innowacji amerykańskiej marynarki. Dzięki takiej konstrukcji wtapiają się w otoczenie i mogą zmylić wrogie systemy sonarowe. Mechaniczne ryby osiągają prędkość nawet 40 węzłów i mogą przenosić na pokładzie sonary i kamery. Ich przeznaczeniem jest wykrywanie podwodnych min i prowadzenie rozpoznania. A D ■

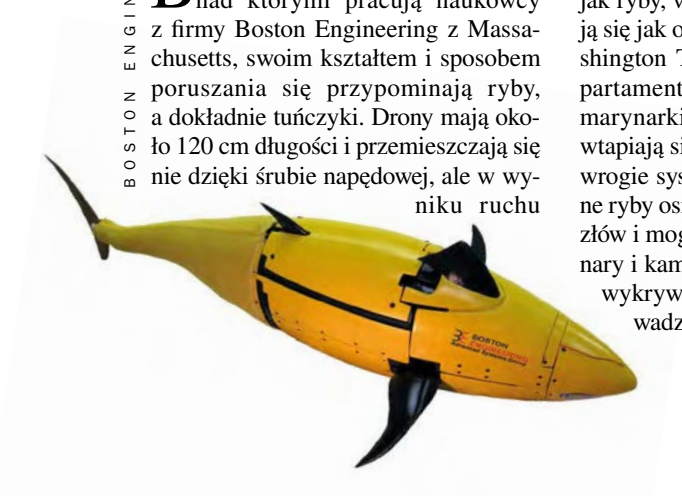

BOSTON ENGINEERING

NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Warszawa. Basen przy ulicy Łazienkowskiej, lipiec 1939 roku

Cisza przed burzą

Ostatnie lato II Rzeczypospolitej

Na wystawie internetowej Instytutu Pamięci Narodowej „Cisza przed burzą” można oglądać codzienne życie z ostatnich dwóch miesięcy istnienia II Rzeczypospolitej. Jest to wersja elektroniczna powstałej dwa lata temu tradycyjnej ekspozycji. Opowiada o lecie 1939 roku głównie na podstawie materiałów prasowych, zdjęć z „Ilustrowanego Kuriera Codziennego” i artykułów ówczesnych publicystów. Pracownicy IPN-u udostępnili teraz wystawę w wersjach: on-line, dostosowanej również do przeglądania na urządzeniach mobilnych, epub, mobi i pdf, w języku polskim i angielskim. Chcieli w ten sposób, jak informuje notka na stronie instytutu, dzięki nowym technikom komunikacji dotrzeć do jak największej liczby odbiorców. Ekspozycję można oglądać na stronie: www.lato39.pl A D ■

SELEKCJA

PIOTR BERNABIUK

PIOTR BERNABIUK

Gra złudzień

Czy po siedemnastu latach Selekcja nadal stanowi „drogę do wojska”, czy staje się jedną z wielu już dziś ekstremalnych gier terenowych?

Niedzielny poranek. Na strzelnicy Wojskowej Akademii Technicznej w Warszawie tłum młodych ludzi z plecakami, w strojach militarno-sportowych, przygotowuje się do preselekcji, sprawdzianu siły i wydolności, którego zaliczenie będzie przepustką do XVII Selekcji.

Uroczyste otwarcie, przemawia gospodarz, komendant-rektor Wojskowej Akademii Technicznej gen. bryg. prof. Zygmunt Mierczyk. Ceremonię zaszczyca obecnością również komendant główny Żandarmerii Wojskowej gen. dyw. Mirosław Rozmus. Obecność tej rangi osobistości podnosi prestiż przedsięwzięcia i daje uczestnikom nadzieję na ziszczenie marzeń, stanowi wręcz zaproszenie do służby w szeregach sił zbrojnych.

Selekcja w swym założeniu nie jest bowiem jedną z wielu ekstremalnych gier terenowych. Od pierwszej edycji towarzyszą jej dwa przesłania: kontynuacja tradycji legendarnej 56 Kompanii Specjalnej oraz wyłuskiwanie młodych ludzi o szczególnych predyspozycjach do służby w renomowanych formacjach wojska.

Po „odsianiu ziarna od plew” ponad 80 szczęśliwców wyrusza do Drawska. Mają przed sobą sześć dni zmagań z naturą, z szaleństwem pogodowym, bo temperatura drugiej nocy spada do 5°C, z własną słabością i z instruktorami kuszącymi: „Zrezygnuj, oddaj czapeczkę, zakończ tę męczarnię!”.

Szeregi szybko topnieją. W pierwszych dniach niektórzy sami oddają czapeczki będące symbolem udziału w grze, nie czekając na podsumowanie wyników kolejnych zadań. Żegnani uściskiem dłoni przez majora i oklaskami kolegów odchodzą z gry na zawsze lub tylko do następnego roku.

Pozostali pokonują kolejne setki kilometrów marszów, tysiące pompek i brzuszków, wykonują dziesiątki zadań, coraz płynniej deklamują wiersz Juliana Tuwima „Rzeź brzóz” i zapamiętują kod rosnący nieustannie, aż do czterdziestu cyfr ostatniego dnia. Wyrecytowanie go płynnie, tuż po biegu łączonym z przeprawami przez wodę, gdy nad głową wyje syrena oraz instruktor, a do tego trzeba składać i rozkładać broń na czas, jest testem najwyższej próby.

Przejść tę próbę i dotrwać do chwili, w której usłyszą wyczekiwane słowa: „To jest koniec Selekcji!”, udaje się 14 straceńcom. Wybuch szaleńczej radości wart jest tygodnia harówy i poświęcenia. Potem uroczyste zakończenie, wręczenie „desek Selekcji”…

FORMACJA MARZEŃ

Finałowa ceremonia dla znacznej części uczestników jest ledwie cząstką o wiele trudniejszej, bywa, że prowadzonej latami, gry o miejsce w armii. Jacek, jeden z instruktorów tegorocznej edycji, taką walkę toczy już długo: →

PIOTR BERNABIUK (5)

CZTERNASTU STRACEŃCOM UDAJE SIĘ DOTRWAĆ DO CHWILI, W KTÓREJ USŁYSZĄ WYCZEKIWANE SŁOWA: „TO JEST KONIEC SELEKCJI!”

„Gdy przed pięcioma laty ukończyłem Selekcję, wiedziałem, że nie tylko chcę iść do wojska, ale też do jednostki specjalnej”.

Znakomity sportowiec, oprócz piłki nożnej uprawiający biegi, pływanie i sztuki walki, realizuje swój plan niezwykle konsekwentnie, utrzymuje wysoką formę i gromadzi przydatne w przyszłej służbie certyfikaty. Pracę magisterską napisał o jednostkach specjalnych, w tym rozdział o selekcjach. Na szkoleniu wojskowym dla studentów uzyskał stopień kaprala. Nieustannie próbował swych sił w kolejnych testach i selekcjach, do kolejnych formacji, nie tylko do armii… Gdzie się dało! Zdawał i czekał. Wreszcie usłyszał od psychologa specjalsów, że jest odpowiednim kandydatem, ale musi okrzepnąć, zdobyć doświadczenie wojskowe. Zdobywa je więc od trzech lat, dowodząc drużyną w jednostce zmechanizowanej.

Co dalej? Stara się być dyskretny, więc tyle tylko może powiedzieć, że przeszedł eliminacje do formacji swoich marzeń, czeka na wezwanie do podjęcia służby. Wspomina początki zmagań, gdy jeszcze był przekonany, że ukończenie Selekcji otwiera drogę wojskowej kariery: „Czasem było wręcz wstyd, bo jak się pochwaliłem takim sukcesem, to patrzyli na mnie jak na idiotę. Dziwi mnie to, że wojsko nie potrafi wykorzystać okazji zdobycia tylu znakomitych kandydatów na żołnierzy. Nie chodzi o to, by nas od razu wcielać do armii, ale uruchomić sprawne procedury, poprowadzić przez biurokratyczne meandry, bo bez tego tłuczemy się latami jak błędne owce”.

Blisko sukcesu jest również instruktor Marcin, także absolwent Selekcji, który do wojska wybiera się od dziecka. Dwa lata temu skończył studia, automatykę i robotykę, ale pracuje

MJR REZ. **ARKADIUSZ KUPS,** BYŁY SZKOLENIOWIEC 56 KOMPANII SPECJALNEJ, ORGANIZATOR I SZEF SELEKCJI:

Gra, którą organizuję i prowadzę od kilkunastu lat, nie jest selekcją otwierającą bramy do jednostek specjalnych ani też gdziekolwiek indziej. Stanowi za to znakomity „sprawdzian mocy", test z wszechstronności dla poszukujących drogi zarówno do specjalsów, jak i jednostek aeromobilnych, do rozpoznania, wszędzie tam, gdzie poszukuje się najlepszego materiału ludzkiego do służby. Po ukończeniu Selekcji ochotników obowiązują wojskowe procedury i sprawdziany.

Ze wsparciem znakomitych szkoleniowców, lekarzy i psychologów dopracowaliśmy się nie tylko testu wydolności i siły, ale także sprawdzianu zdolności działania i rozwiazywania zadań w stresie, w ciężkich warunkach terenowych, przy wielkim zmęczeniu i deficycie snu. Oferujemy wojsku znakomity „produkt" do dalszej obróbki. Dziś już dziesiątki naszych „absolwentów" pełni służbę we wszystkich elitarnych formacjach, nie tylko wojskowych.

Słabością Selekcji jest nadal brak systemowej współpracy z armią. Wielu znakomitych ludzi przepada, inni zaś latami walczą o swoje miejsce z wojskową biurokracją, z limitami, z obojętnością. Nie zawsze z sukcesem. W zakończonej edycji Selekcji nadzieję uczestnikom stworzyli przedstawiciele Oddziału Specjalnego Żandarmerii Wojskowej i 25 Brygady Kawalerii Powietrznej.

w firmie wysokościowej. Zarówno pracy na linach, jak i służby wojskowej posmakował jako harcerz, szkoląc się z żołnierzami 21 Brygady Strzelców Podhalańskich. Jest już po rozmowach w Żandarmerii Wojskowej, jesienią szykuje się do służby w NSR i przygotowawczej. Liczy na to, że po drodze już nic złego się nie wydarzy.

Pozostaje jednak cień niepokoju: „Koledzy, z którymi startuję w biegach terenowych i na orientację, dostali się do NSR. Mieli tam same sukcesy, ale do służby wojskowej poszli inni, którzy im nawet do pięt nie dorastali. A moi kumple nadal startują w zawodach, kończą po kilka razy Selekcję".

POPROSZĘ AUTOGRAF

Wśród uczestników tegorocznej Selekcji, będących w grze jedynie numerami, można znaleźć przykłady zarówno sukcesów, jak i porażek. Modelowym dowodem skuteczności Selekcji jest „33", dziś podporucznik, dowódca plutonu szturmowego w 16 Batalionie Powietrznodesantowym 6 BPD: „W 2006 roku zdałem egzaminy do szkoły podoficerskiej, a dwa tygodnie później ukończyłem Selekcję, na której dostrzegli mnie »łowcy głów« z 25 Brygady Kawalerii Powietrznej. W tym roku wróciłem do gry, by przypomnieć sobie stare, dobre czasy. Tym razem było łatwiej, miałem więcej doświadczenia, odporności i nie pozwoliłem się zaskoczyć w żadnej sytuacji".

Z kolei „46", informatyk z zawodu, odnosi wspaniałe sukcesy sportowe, ale z wojskiem idzie mu gorzej. Przyjechał na swoją trzecią, udaną jak i poprzednie, próbę wprost z morderczego Biegu Rzeźnika, gdzie ze świetnym rezultatem pokonał około 80 km przez Bieszczady. Za kilka dni wybiera się na trzy kolejne maratony, dzień po dniu. A w ubiegłym roku wygrał Bieg Katorżnika! I podobnie jak większość kolegów z Selekcji, chciał iść do wojska. Jeszcze przed rokiem startował na studium oficerskie, ale się nie dostał. Teraz ma 33 lata i na rozpoczynanie kariery w armii czuje się za stary: „Na Selekcję nie liczyłem, bo w jej skuteczność raczej nie wierzę. W WKU nawet nie wiedzą, co to jest. Może teraz, jak są tu instruktorzy z Żandarmerii, coś zadziała".

W to, że zadziała, wierzy „9", który odpadł na „klaskaniu" w wodzie. Już po raz trzeci, bo w tej konkurencji jest najsłabszy. Przez nią za pierwszym razem został wyeliminowany na pół godziny przed końcem, za drugim – ostatniej nocy, a dziś – czwartego dnia. Mimo że nie dotarł do mety, dostał propozycję służby w Żandarmerii Wojskowej. Jest przekonany, że Selekcja otworzyła mu drogę do wojska.

„7" ukończył Selekcję, ale po licznych próbach wbicia się do armii nie jest optymistą: „Trzeba się dostać do NSR, zaliczyć służbę przygotowawczą, a potem jeszcze znaleźć sobie miejsce w armii. Chodzi się miesiącami do WKU i słyszy, że miejsc nie ma. Przez sześć dni dajemy tu z siebie wszystko, a ze strony wojska… Powiedzą parę gładkich zdań i wszystko".

Puentę dopowiada jeden z instruktorów gry: „Gdy przed kilku laty ukończyłem Selekcję, gratulacje składał nam pan generał. Przy okazji powiedział, że możemy sobie wybrać w wojskach lądowych dowolną jednostkę. Gdziekolwiek poszedłem, powołując się na jego słowa, słyszałem to samo pytanie: »A ma pan to na piśmie?«. Jako instruktor radzę więc uczestnikom: przygotujcie kartki. Jeśli ktoś przyjedzie na Selekcję z obietnicą, zapiszcie jego słowa i poproście o autograf". ■

MACIEJ BORUŃ (5)

ŁUKASZ ZALESIŃSKI

Historyczna tankietka

Latami służyła za ciągnik rolniczy, potem dogorywała w krzakach na placu należącym do jednego z norweskich muzeów. Unikatowa tankietka została jednak przywrócona do życia dzięki pasjonatom z Wielkopolski.

Kiepski – to nieodpowiednie słowo. Kiedy przejmowaliśmy tankietkę, była w stanie wręcz agonalnym", wspomina Maciej Boruń z Koła Przyjaciół Muzeum Broni Pancernej w Poznaniu. Zasłużony dla polskiej armii pojazd dożywał swoich dni gdzieś na placu należącym do muzeum w Oslo. Nie miał silnika, a pancerz był tak przeżarty przez rdzę, że miejscami kruszył się w rękach.

„Prawdę powiedziawszy, nie liczyłem na to, że pojazd uda się wyremontować", opowiada Boruń. „W pierwszej chwili wydawało się, że jedynym sensownym rozwiązaniem będzie częściowe zalanie go betonem i stworzenie czegoś na kształt pomnika". Rzeczywistość przeszła jednak najśmielsze oczekiwania. Ale po kolei.

WARTOŚĆ BOJOWA

TKS to lekki polski czołg rozpoznawczy. Jego załoga liczyła dwie osoby. Został zaprojektowany przez zespół pod kierunkiem inżyniera Edwarda Habicha. Seryjna produkcja ruszyła w 1934 roku. W ciągu dwóch lat z taśm fabryki w Czechowicach pod Warszawą zjechało ich 280 egzemplarzy.

„Początkowo wartość bojowa tankietek TKS nie była zbyt duża", podkreśla Mirosław Zientarzewski z Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie. „Dlatego zapadła decyzja o ich

Odnowiona tankietka 1 czerwca 2014 roku została po raz pierwszy zaprezentowana publiczności z okazji dnia otwartego w koszarach Centrum Szkolenia Wojsk Lądowych w Poznaniu.

przezbrojeniu. Egzemplarze wyposażone w nkm [najcięższy karabin maszynowy wzór 38 FK-A kalibru 20 mm] spisywały się już o wiele lepiej".

Niestety, do wybuchu wojny przezbrojono tylko część z nich. Zgodnie z założeniem proces ten miał się zakończyć w lutym 1940 roku. Ale i tak ulepszone TKS-y od czasu do czasu potrafiły dać się Niemcom we znaki. Użyto ich chociażby w walkach pod Łańcutem, co wspominał gen. Franciszek Skibiński w książce „Pierwsza pancerna": „TKS-y ruszyły – najpierw kolumną, w wąwozie drogi, wzbijając chmury kurzu, paręset metrów od wsi rozwinęły się w linię po obu stronach drogi. Wtedy widocznie Niemcy dostrzegli kontratak, ogień wzmógł się gwałtownie. Rozległy się powolne, basowe serie najcięższych karabinów maszynowych, w które uzbrojone były czołgi TKS. Cóż za wspaniałe przeżycie – widok niemieckiego odwrotu!".

Tankietki jednak rzecz jasna nie mogły zapewnić Polakom zwycięstwa. Po wrześniowej klęsce wozy, które ocalały, zostały przejęte przez Niemców (niektóre zabrali Węgrzy po internowaniu wycofujących się polskich wojsk). Używali ich jako ciągników artyleryjskich, pojazdów do przeciągania samolotów na lotniskach, czasem do walk z partyzantami. „Poznański" egzemplarz trafił do okupowanej Norwegii. Po wyzwoleniu został na miejscu i był używany między innymi jako ciągnik rolniczy.

„Fotki TKS-ów krążyły po internecie. Było kilka relacji, że się rozsypuje. Choć tankietka należała do muzeum w Oslo, stała gdzieś na północy kraju", wspomina Boruń. „Napisaliśmy do muzeum. Odpowiedzieli nam, że ma być przekazana w rozliczeniu za remont innych eksponatów. I wtedy pojawił się wiceminister spraw zagranicznych Bogusław Winid". To właśnie dzięki jego zabiegom, a także staraniom polskiej ambasady w Oslo, poznańskiego Centrum Szkolenia Wojsk Lądowych (to jemu podlega Muzeum Broni Pancernej, które ma około 50 różnego rodzaju eksponatów – czołgi, pojazdy opancerzone i działa samobieżne) i przychylności Norweskiego Muzeum Sił Zbrojnych tankietka trafiła do Poznania.

W RĘKACH MAGIKÓW

Zajęli się nią zaprzyjaźnieni z poznańskim muzeum Artur Zys i jego współpracownicy, zwani pancernymi magikami. „Artur dokonywał cudów. Czasem wycinał z całości drobny zużyty fragment, pieczołowicie go odwzorowywał, a potem montował", wspomina Boruń. „Zdobyliśmy trochę oryginalnych części, a niektóre zastąpiliśmy innymi. W TKS-ie został zamontowany na przykład silnik żuka".

Prace trwały dwa lata. Wreszcie 1 czerwca 2014 roku odnowiona tankietka po raz pierwszy została zaprezentowana publiczności z okazji dnia otwartego w koszarach Centrum Szkolenia Wojsk Lądowych w Poznaniu.

Dziś na świecie jest zaledwie kilka tego typu pojazdów. Jeden ma Poznań, drugi Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie, trzeci wchodzi w skład prywatnej kolekcji w Łodzi. Jest jeszcze doskonale zachowany egzemplarz w rosyjskiej Kubince. „Naszej tankietce brakuje karabinu, ale wkrótce zostanie zamontowany", zapowiada Boruń. ■

ANNA DĄBROWSKA

ANNA DĄBROWSKA

Na pomoc walczącemu miastu

Pomnik w podwarszawskim lesie przypomina o bohaterskich lotnikach.

Dochodziła godz. 19.30 14 sierpnia 1944 roku, kiedy z lotniska Campo Casale koło Brindisi we Włoszech wystartował ciężki czterosilnikowy bombowiec Liberator KG 939 „A-Able". Za sterami zasiedli dowódca załogi kpt. Jack van Eyssen i drugi pilot, 21-letni por. Robert George Hamilton z Republiki Południowej Afryki. Resztę załogi stanowili: nawigator por. Derrick Holliday, radiooperator ppor. Basil Austin, bombardier sierż. Eric Litchfield oraz strzelcy pokładowi sierż. sierż.: George Peaston, Leslie Mayes i Herbert Hudson.

DZIESIĘĆ GODZIN

Maszyna należała do 31 Dywizjonu Bombowego Sił Powietrznych Południowej Afryki (South African Air Force – SAAF). Zadaniem załogi był lot z zaopatrzeniem dla walczącej w powstaniu Warszawy. Zamiast bomb mieli w ładowniach 12 metalowych zasobników, ważących po 150 kg każdy. Łącznie bombowiec zabrał około 2 t ładunku. „Mieliśmy pełne zbiorniki paliwa, a komory bombowe wypełnione bronią ręczną, amunicją, żywnością i środkami leczniczymi", pisał w swoich wspomnieniach kpt. Eyssen.

Razem z nimi do lotu poderwało się sześć innych liberatorów z 31 Dywizjonu SAAF, sześć halifaxów i osiem liberatorów z brytyjskiego 148 i 178 Dywizjonu RAF oraz pięć bombowców polskiej 1586 Eskadry do Zadań Specjalnych, wchodzącej w skład 138 Dywizjonu 334 Skrzydła RAF. W sumie tego wieczora nad Warszawę poleciało 26 maszyn.

Loty do Polski, trwające po 10–11 godz. bez lądowania, należały do najbardziej niebezpiecznych misji. Trasa z Włoch do Warszawy prowadziła nad Adriatykiem, Jugosławią i Węgrami. Liczyła w jedną stronę około 1,4 tys. km, w większości nad okupowanymi przez III Rzeszę terenami Europy. Po drodze, nad

LOTY DO POLSKI NALEŻAŁY DO NAJBARDZIEJ NIEBEZPIECZNYCH MISJI.

W czasie powstania warszawskiego załogi 296 samolotów południowoafrykańskich, brytyjskich i polskich zrzuciły nad walczącym miastem, a także nad Kampinosem i Lasem Kabackim, 159 t uzbrojenia i prowiantu. Ponadto 18 września z ponad 100 amerykańskich bombowców dokonano 107 zrzutów. Niestety, większość zaopatrzenia dostawała się w ręce Niemców. W czasie tych lotów utracono, według różnych rachunków, około 40 samolotów, a śmierć poniosło około 200 lotników sił sprzymierzonych.

Węgrami i w pasie Karpat, na bombowce polowały niemieckie nocne myśliwce. Na trasie czyhały też zgrupowania niemieckiej artylerii przeciwlotniczej. Mimo to loty z zaopatrzeniem dla Warszawy organizowano już od początku sierpnia. Pierwszych udanych zrzutów dokonała polska 1586 Eskadra w nocy z 3 na 4 sierpnia 1944 roku w rejonie cmentarza na Woli, gdzie walczyło Zgrupowanie Armii Krajowej „Radosław".

DYMY NAD MIASTEM

Tej nocy załoga Liberatora „A-Able" bez problemów pokonała większość trasy. Dopiero nad Tatrami wpadli w burzę, która szczęśliwe nie wyrządziła im żadnych szkód. Około pierwszej w nocy 15 sierpnia samolot dotarł na miejsce. „Z oddali zobaczyliśmy Warszawę. Cóż to był za widok! Całe szeregi budynków stały w płomieniach. Dym unosił się setki metrów w górę", opisywał dowódca samolotu.

Najniebezpieczniejszy był sam moment zrzutu, kiedy maszyna musiała zniżyć lot do 100–120 m, aby w wyznaczonym miejscu celnie zrzucić zawartość skrzyni na specjalnych spadochronach. W tym czasie na niebie bombowców szukały niemieckie reflektory, a wojska przeciwlotnicze prowadziły intensywny ostrzał samolotów. Także tej nocy dym nad miastem z palących się domów był tak gęsty, że liberator musiał zredukować prędkość i wysokość, aby odnaleźć plac Krasińskich, który był wyznaczoną strefą zrzutu zasobników. „Zniżyliśmy lot do około 100 m i lecieliśmy wzdłuż Wisły, skręciliśmy w lewo nad katedrę, zmniejszyliśmy prędkość do 200 km/h i zeszliśmy do poziomu dachów, aby ujrzeć świecącą, namalowaną na ulicy literę »K«. To symbol zrzutu naszych paczek", wspominał kpt. Eyssen.

OSTATNI SKOK

W tym momencie południowoafrykańska maszyna dostała się pod silny ostrzał niemieckiej artylerii przeciwlotniczej. „Oba silniki w prawym skrzydle stanęły w płomieniach. Usiłowaliśmy ugasić pożar. Zaczął płonąć trzeci silnik", opisywał dowódca. Mimo ogromnych uszkodzeń załoga utrzymała kurs i zdołała zrzucić zaopatrzenie. Paliło się jednak już poszycie kadłuba i oba skrzydła, uszkodzone też zostały trzy z czterech silników liberatora. Kiedy piloci skierowali się na wschód, próbując przedostać się za Wisłę, zapalił się ostatni, czwarty pracujący silnik. Uszkodzony niemieckim ogniem samolot tracił wysokość oraz sterowność. Gdy zaczęło odpadać palące się skrzydło, padł rozkaz dowódcy do opuszczenia rozpadającej się maszyny. „Istniało niebezpieczeństwo wybuchu paliwa. Wydałem rozkaz skakania ze spadochronami. Sam też skoczyłem".

Podczas skoku zginęli dwaj brytyjscy sierżanci: 24-letni Leslie Mayes i 21-letni Herbert Hudson. Nieprzyjacielski ogień trafił ich podczas opadania na spadochronach. Poległ też por. Hamilton, któremu najprawdopodobniej nie zdążył się otworzyć spadochron. Pozostała załoga dostała się w ręce Rosjan. Po kilkutygodniowym pobycie w Moskwie została przekazana Brytyjczykom i wróciła do bazy we Włoszech.

Bombowiec rozbił się 30 km od Starego Miasta, w lesie nieopodal Michalina, dziś dzielnicy Józefowa. Miejsce katastrofy mieszkańcy nazwali potem Górą Lotnika.

LEŚNY POMNIK

Upadek maszyny widział kpt. Bronisław Kowalski, żołnierz Armii Krajowej i mieszkaniec Michalina. „Był świt 15 sierpnia 1944 roku. Płonąca maszyna spadała jak pochodnia. Pobiegłem szybko na miejsce katastrofy. Płonął las, dopalały się szczątki maszyny z martwą załogą. Jeden z nieżyjących lotników leżał około 70 m od kadłuba samolotu", opisywał po latach.

Oficer pochował poległych w tymczasowej mogile koło wraku samolotu na wzniesieniu, u podnóża którego spadł liberator. „Następnego dnia usypałem w tym miejscu mogiłę i zbudowałem kamienną kapliczkę, później umieściłem napis wyryty na kawałku blachy z samolotu", opowiadał. Rozpoczął też poszukiwania, aby ustalić nazwiska członków załogi.

Po wojnie szczątki lotników zostały ekshumowane i pochowane w kwaterze Żołnierzy Wspólnoty Brytyjskiej na cmentarzu Rakowickim w Krakowie. Niestety zbudowana przez kpt. Kowalskiego kapliczka została zniszczona i później stał w miejscu katastrofy tylko drewniany krzyż. Dlatego oficer sam zaprojektował i z pomocą przyjaciół i znajomych wzniósł w 1977 roku na wzgórzach porośniętych lasem pomnik ku czci poległych lotników. Potem opiekował się tym miejscem do swojej śmierci w 1995 roku. Teraz o nie troszczą się harcerze.

Co roku w rocznicę katastrofy na Górze Lotnika władze Józefowa organizują uroczystości upamiętniające poległych lotników. Z tej okazji na obelisku jest też wieszana tablica z ich nazwiskami. Potem zdejmuje się ją dla ochrony przed wandalami. Napis na niej głosi: „Pamięci alianckich lotników, którzy zginęli w tym miejscu bohaterską śmiercią 15 sierpnia 1944 roku, niosąc pomoc dla Powstania Warszawskiego. Porucznik Robert George Hamilton, RPA, lat 21, sierżant Leslie Mayes, Wielka Brytania, lat 24, sierżant Herbert Hudson, Wielka Brytania, lat 21". ■

POŻEGNANIA

Panu starszemu chorążemu sztabowemu
Dariuszowi Głowackiemu

wyrazy szczerego żalu i głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Ojca

składają komendant, kadra oraz pracownicy
Centrum Szkolenia Wojsk Lądowych w Poznaniu.

Panu majorowi Krzysztofowi Kimli

komendantowi Wojskowej Komendy Transportu
Katowice

oraz Jego Rodzinie i Bliskim

najszczersze wyrazy współczucia,
wsparcia i otuchy w trudnych chwilach
z powodu śmierci

Taty

składają oficerowie i pracownicy Wojskowej Komendy
Transportu Katowice z Delegaturą Opole.

Szczere wyrazy współczucia

Rodzinie

tragicznie zmarłego

kmdr. mgr. Eugeniusza Flakowskiego

składają Jego koledzy i koleżanki.

Panu st. chor. szt.
Wojciechowi Kalinowskiemu

oraz Jego Rodzinie

najszczersze wyrazy żalu i współczucia
w trudnych chwilach po śmierci

Córki

składają kadra i pracownicy wojska
Wydziału Technicznego 3 Regionalnej Bazy Logistycznej
w Krakowie.

Panu mjr. rez. Markowi Zielińskiemu

oraz Jego Rodzinie i Najbliższym

wyrazy głębokiego współczucia i szczere kondolencje
z powodu śmierci

Matki

składają żołnierze i pracownicy wojska dowództwa i sztabu
11 Lubuskiej Dywizji Kawalerii Pancernej.

Panu chor. Marcinowi Sztąberkowi

oraz Jego Rodzinie i Bliskim

wyrazy szczerego oraz głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Ojca

składają dowódca oraz kadra i pracownicy
Centralnego Ośrodka Analizy Skażeń.

Panom st. sierż. Ireneuszowi Łachowi,
Romanowi Łachowi

oraz Ich Rodzinie i Bliskim

wyrazy szczerego oraz głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Ojca

składają dowódca oraz kadra i pracownicy
Centralnego Ośrodka Analizy Skażeń.

Z głębokim żalem zawiadamiamy,
że 17 czerwca 2014 r. zmarł w Melbourne

płk Zdzisław Tadeusz Straszyński
ps. „Meteor”

jeden z 316 cichociemnych spadochroniarzy Armii Krajowej
patronów Jednostki Wojskowej GROM.

Urodzony 1 kwietnia 1922 roku w Łucku.
Po wkroczeniu Sowietów do Polski we wrześniu 1939 roku
przedostał się przez Rumunię do Francji. Od stycznia 1940
roku żołnierz 10 Brygady Kawalerii Pancernej Polskich Sił
Zbrojnych na Zachodzie. Od maja 1940 roku uczestnik
kampanii francuskiej, walczący w składzie 24 Pułku Ułanów.
Po kapitulacji Francji ewakuowany do Wielkiej Brytanii.
15 grudnia 1943 roku zaprzysiężony jako skoczek
– cichociemny, 10 maja 1944 roku zrzucony na teren Polski
w ramach operacji lotniczej „Weller 27”.
Oficer Armii Krajowej, od lipca 1944 roku dowódca
1 Plutonu Dywersyjnego Obwodu Brzesko Okręgu AK
Kraków, następnie zastępca dowódcy 1 Kompanii
w 3 Batalionie 16 Pułku Piechoty AK oraz dowódca
oddziału partyzanckiego „Meteor”.
Po wojnie poszukiwany przez władze komunistyczne,
wydostał się z Polski w grudniu 1947 roku. Pozostał
na emigracji w Australii.
Uhonorowany Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia
Polski, czterokrotnie Krzyżem Walecznych oraz wieloma
innymi odznaczeniami polskimi i brytyjskimi.

Cześć Jego Pamięci!
Dowództwo i żołnierze GROM

POŻEGNANIA

Prezesowi Stowarzyszenia Żandarmerii Wojskowej „Żandarm”

Panu płk. rez. Janowi Skośkiewiczowi

wyrazy głębokiego współczucia i szczere kondolencje z powodu śmierci

Teścia

składają komendant główny, żołnierze i pracownicy wojska Żandarmerii Wojskowej oraz członkowie Stowarzyszenia ŻW „Żandarm”.

Panu płk. Wojciechowi Duchińskiemu

oraz Jego Najbliższym

wyrazy głębokiego współczucia oraz szczere kondolencje z powodu śmierci

Ojca

składa zastępca szefa Inspektoratu – szef sztabu wraz z żołnierzami i pracownikami sztabu Inspektoratu Wsparcia Sił Zbrojnych.

Naszej koleżance

Pani Izabeli Danieluk

wyrazy szczerego żalu i głębokiego współczucia z powodu śmierci

Ojca

ppłk. w st. spocz. Kazimierza Pietruczuka

składają kadra kierownicza, żołnierze zawodowi i pracownicy Inspektoratu Wojskowej Służby Zdrowia.

Z wielkim żalem przyjęliśmy wiadomość o odejściu

Pani Ilony Tułodzieckiej,

prezesa Naczelnej Rady Pielęgniarek i Położnych, osoby zawsze życzliwej wojskowej służbie zdrowia. Będzie nam Jej brakowało!

Szef oraz kadra i pracownicy Inspektoratu Wojskowej Służby Zdrowia

Panu kapitanowi Sławomirowi Gajosowi

wyrazy głębokiego żalu i współczucia z powodu śmierci

Matki

składają dowódca, żołnierze i pracownicy wojska 12 Brygady Zmechanizowanej ze Szczecina.

Z głębokim żalem i smutkiem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

Pana komandora porucznika w stanie spoczynku Henryka Gawinek

byłego komendanta Portu Wojennego Gdynia.

Rodzinie i Bliskim

składamy wyrazy głębokiego współczucia.

Komendant, kadra i pracownicy wojska Komendy Portu Wojennego Gdynia

Panu ppłk. lek. rez. Andrzejowi Różańskiemu

oraz Jego Rodzinie i Bliskim

wyrazy szczerego oraz głębokiego współczucia z powodu śmierci

Teściowej

składają komendant, żołnierze i pracownicy 109 Szpitala Wojskowego z Przychodnią SP ZOZ w Szczecinie.

„Ci, których kochamy nie umierają nigdy, bo miłość, to nieśmiertelność”.
Emily Dickinson

Naszemu Drogiemu Koledze

mjr. Arturowi Chruścielowi

wyrazy szczerego współczucia i głębokiego żalu z powodu śmierci

Ojca

składają koleżanki i koledzy z Dyżurnej Służby Operacyjnej Dowództwa Operacyjnego Rodzajów Sił Zbrojnych.

Panu st. chor. szt. Pawłowi Jagodzińskiemu

oraz Jego Najbliższym

wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci

Teściowej

składają dowództwo, żołnierze i pracownicy 12 Szczecińskiej Dywizji Zmechanizowanej.

POŻEGNANIA

Pani Longinie Burzyńskiej
wyrazy głębokiego współczucia i żalu
z powodu śmierci
Mamy
składają szef oraz oficerowie i pracownicy wojska
Oddziału Koordynacji Badań Naukowych
Departamentu Nauki i Szkolnictwa Wojskowego.

Panu płk. Wojciechowi Duchińskiemu
oraz Jego Rodzinie
wyrazy głębokiego współczucia i szczerego żalu
z powodu śmierci
Ojca
składają kadra i pracownicy Pionu Szkolenia
Inspektoratu Wsparcia Sił Zbrojnych.

Panu porucznikowi
Adamowi Włodarczykowi
wyrazy głębokiego żalu i współczucia
z powodu śmierci
Mamy
składają komendant, kadra i pracownicy wojska
Komendy Portu Wojennego Gdynia.

Pani Alinie Różyckiej-Kasperek
wyrazy szczerego współczucia i żalu po śmierci
Matki
składają kadra zawodowa i pracownicy
Zarządu Organizacji i Uzupełnień – P1.

Ze smutkiem i żalem przyjęliśmy wiadomość
o śmierci
ppłk. w st. spocz. Eugeniusza
Figlarowicza.

Wyrazy głębokiego i szczerego współczucia
Żonie Aleksandrze oraz Rodzinie
składają szef, żołnierze i pracownicy Rejonowego
Zarządu Infrastruktury w Zielonej Górze.

Wyrazy głębokiego żalu i szczerego współczucia
Panu ppłk. rez. Dionizemu
Szymczakowi
oraz Jego Rodzinie
z powodu śmierci
Ojca
składają dyrekcja oraz koleżanki i koledzy
z Departamentu Ratownictwa i Ochrony Ludności
Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

Wyrazy głębokiego żalu i współczucia
Pani Marzenie Zielke
z powodu tragicznej śmierci
Syna Eryka i Męża Michała
składają rodziny poległych żołnierzy.

Jesteśmy z Tobą w tych trudnych chwilach.

Panu płk. Kazimierzowi Łuckiemu
wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci
Mamy
składają szef oraz kadra i pracownicy Delegatury
Departamentu Kontroli we Wrocławiu.

Panu ppłk. Kazimierzowi Łuckiemu,
zastępcy dowódcy 10 Wrocławskiego Pułku
Dowodzenia, wyrazy szczerego żalu
oraz głębokiego współczucia z powodu śmierci
Matki
składają żołnierze i pracownicy wojska
Dowództwa Garnizonu Warszawa.

Panu pułkownikowi
Wojciechowi Mogielnickiemu
najszczersze wyrazy żalu i współczucia
w trudnych chwilach po śmierci
Teścia
składają kierownictwo, żołnierze i pracownicy wojska
Inspektoratu Uzbrojenia.

POŻEGNANIA

Wyrazy głębokiego współczucia
i szczere kondolencje

Pani Katarzynie Mogielnickiej
z powodu śmierci
Taty
składają kierownictwo, żołnierze i pracownicy wojska
Inspektoratu Uzbrojenia.

Panu ppłk. Kazimierzowi Łuckiemu

oraz Jego Rodzinie i Najbliższym
w trudnych chwilach słowa wsparcia
oraz wyrazy głębokiego współczucia
i szczere kondolencje z powodu śmierci
Mamy
składają dowódca, żołnierze i pracownicy wojska
10 Wrocławskiego Pułku Dowodzenia.

Wyrazy głębokiego żalu i szczerego współczucia

Panu mjr. Pawłowi Kubów
z powodu śmierci
Ojca
składają dowódca, żołnierze i pracownicy 7 Brygady
Obrony Wybrzeża w Słupsku.

Pani Marzenie Zielke
wyrazy szczerego współczucia i głębokiego żalu
z powodu śmierci
Synka i Męża
składają żołnierze oraz pracownicy wojska
16 Pomorskiej Dywizji Zmechanizowanej.

Panu Andrzejowi Niewiadomskiemu
Radcy Generalnemu w Departamencie Kadr MON
i Jego Rodzinie
najszczersze wyrazy żalu i współczucia
z powodu śmierci
Brata
składają kierownictwo, kadra i pracownicy
Departamentu Kadr MON.

Panu generałowi brygady doktorowi
Krzysztofowi Motackiemu,

Rodzinie i Bliskim
wyrazy głębokiego współczucia i żalu
z powodu śmierci
Ojca
składają szef Sztabu Generalnego Wojska Polskiego
oraz żołnierze i pracownicy SGWP.

Panu ppłk. lek. med.
Andrzejowi Nowakowi

oraz Jego Rodzinie i Najbliższym
wyrazy głębokiego żalu i szczerego współczucia
z powodu śmierci
Ojca
składają dowództwo, kadra oraz pracownicy wojska
Centrum Reagowania Epidemiologicznego SZRP
w Warszawie.

Szczere wyrazy współczucia

st. szer. Sylwestrowi Musielikowi
z powodu śmierci
Ojca
składają żołnierze i pracownicy wojska
1 Warszawskiej Brygady Pancernej.

W związku z tragiczną śmiercią

Michała i Eryka
wyrazy serdecznego współczucia koleżance
Marzenie Zielke
składa st. chor. sztab. rez. Mariusz Korner.

Poruszony ogromną tragedią składam

Pani Marzenie Zielke
wyrazy głębokiego współczucia i żalu
po starcie najbliższych osób
Eryka i Michała.

Dowódca Operacyjny Rodzajów Sił Zbrojnych
generał broni Marek Tomaszycki

Cudak w mundurze

Z Magdaleną Pilor o afgańskich demonach oraz adrenalinie, która uzależnia zarówno kobiety, jak i mężczyzn, rozmawia Małgorzata Schwarzgruber.

ARTUR WEBER

Po ponad roku spędzonym w Afganistanie napisała Pani książkę „Jej Afganistan". Tytuł sugeruje osobiste spojrzenie na misje. Bardziej kobiece.

Chociaż od wielu lat w misjach uczestniczą kobiety, nieczęsto się o nich mówi. To prawda, że jest ich niewiele, ale one tam są. Pracują jako pielęgniarski, jeżdżą w patrolach, obsługują radiostacje, zajmują się pomocą humanitarną, trafiają do centrum operacji taktycznych, które jest sercem i mózgiem bazy. Jak obliczyłam, w polskim kontyngencie średnio jedna kobieta przypadała na ponad 40 mężczyzn. W książce opisałam historię uczestniczek afgańskiej misji, z którymi rozmawiałam po powrocie do kraju, oraz tych, które spotkałam na miejscu.

Na czym polega odmienność kobiecego spojrzenia na otaczającą rzeczywistość?

Kobieta widzi więcej detali i przekazuje więcej emocji. Gdy kolega z patrolu opisywał afgańską wioskę, mówił o dziecku bez butów, a kobieta zauważyła brudną buzię, wygniecioną koszulkę, smutne spojrzenie.

Pisze Pani, że Afganistan, podobnie jak tamtejsza baza, to męski świat.

Zgadza się. Kobiety, które decydują się na pracę w wojsku, wchodzą w świat, który bywa brutalny. Zdarzają się dowódcy, którzy uważają, że armia to nie miejsce dla płci pięknej. Niestety, czasem słowa zamieniają się w czyny i mężczyźni starają się udowodnić, że kobieta do wojska nie pasuje. Nie wiem też, dlaczego kobiety nie dowodzą na misjach. Znam tylko jeden przypadek, że kobieta byłą dowódcą plutonu, choć w kraju jest ich całkiem sporo. Męska jest zarówno baza, jak i jej otoczenie, bo w Afganistanie kobiety nie zajmują wysokiego miejsca w hierarchii społecznej.

Dlaczego kobieta na misji to „cudak w mundurze"?

Jest ich mało, więc wzbudzają zainteresowanie. Wszyscy chcą wiedzieć, kim są i co robią. Zdarzają się docinki i seksistowskie żarty, że „przyjechała kolejna niunia na wojnę". Czasem jest to jednak zwykła ciekawość. Znacznie częściej tak się dzieje w mniejszych bazach. W Bagram jest wiele kobiet, głównie Amerykanek, więc ich widok spowszechniał. Kobieta jest atrakcją nie tylko w bazie, ale przede wszystkim na ulicach Ghazni,

W AFGANISTANIE NIE MA REGUŁ, NIE MA „NIGDY” I NIE MA „ZAWSZE”

MAGDALENA PILOR (3)

w okolicznych wioskach. Niczym na cudaka patrzą na kobiety idące w patrolach Afgańczycy. Ich spojrzenia przyciąga kucyk w kolorze blond czy kosmyk włosów wysunięty spod hełmu.

Czy kobiety na misji robią to, co ich koledzy?

Robią to samo na podobnych stanowiskach, na przykład ratowników medycznych. 30-kilogramowy plecak dźwiga się tak samo. Nie ma taryfy ulgowej. Trzeba natomiast przyznać, że nasi żołnierze są o wiele bardziej szarmanccy niż amerykańscy. Otworzą kobiecie drzwi, pomogą wypakować rzeczy ze śmigłowca.

W amerykańskiej armii jest inaczej?

Jest dalej posunięte równouprawnienie. Nieraz widziałam kobiety w amerykańskich mundurach, jak dźwigały wielkie plecaki, pod których ciężarem niemal się przewracały, albo jak stały na tak zwanej ganerce, czyli stanowisku, przy którym się strzela w pojazdach bojowych. Nie są cudakami w mundurze, lecz raczej koleżankami z pracy.

Płeć nie miała znaczenia na patrolu w wiosce, ale zupełnie inaczej było na spotkaniu u afgańskiego gubernatora czy generała...

→

Często się zdarzało, że afgański generał witał się z żołnierzami, ale pomijał kobietę. Jego wzrok mówił: „to nie jest miejsce dla ciebie". I wówczas taka dziewczyn czuła się żołnierzem gorszej kategorii.

Trudno się przyzwyczaić kobietom do misyjnych warunków?

Wszystko zależy od samej kobiety. W Afganistanie nie ma luksusów, ale tego należało się spodziewać. Przykładem może być korzystanie ze wspólnej łazienki z prysznicami. Kąpiel nie może trwać za długo, bo nie dla wszystkich wystarczy ciepłej wody. Podczas kąpieli w każdej chwili może dojść do ostrzału i wtedy trzeba biec do schronu. Czasem problemem staje się… brak toalety. Tu przykładem mogą być wielogodzinne patrole czy podróż samolotem, gdzie się zdarza, że dostępne są tylko pisuary. Dodam, że taka podróż trwa ponad 14 godzin.

Czy kobieta na wojnie się maluje?

Słyszałam o przypadkach, gdy kobiety przywiozły z kraju szpilki i suknię wieczorową (na sylwestra) oraz lampę do opalania twarzy. W bazie w Ghazni widziałam natomiast panie w trampkach, a nietrudno sobie wyobrazić, że chodzenie na gumowych, cienkich podeszwach po kamieniach, jakimi wysypany był cały teren, nie było przyjemne. Niektóre miały nienaganny makijaż i fryzurę. Zastanawiałam się, po co tyle zachodu, skoro jadą na patrol. To jasne, że mężczyzna rzuci okiem, niestety było to również pogłębieniem stereotypu, że wojna to nie miejsce dla kobiet.

Czy misja uzależnia tak samo kobiety i mężczyzn?

Poznałam kobiety, które na misji były po kilka razy. Nie zawsze były singielkami czy rozwódkami, choć częste wyjazdy nie pomagają w utrzymaniu rodziny. Większość chciałaby wrócić na misję, także żony i matki. Po powrocie do kraju trudno się przestawić. Nikt człowieka nie rozumie, otoczenie jest jakieś dziwne. Tęsknimy za adrenaliną, lekkością i bliskością, którymi żyje się na misji, za tą cząstką nas, która tam została. Poza tym na misji wszystko jest prostsze – człowiek ma oddychać, jeść i nie dać się zabić.

Podobnie reagujemy na ostrzał czy na śmierć?

Ból jest indywidualny i płeć nie ma tu znaczenia. Śmierć kolegów dotyka każdego tak samo. Takie same łzy płyną po policzkach mężczyzn i kobiet. Część chłopaków nie chce na ten temat rozmawiać, zamyka ból w sobie. Kobiety nie miały natomiast problemu, aby powiedzieć, że płakały, że się bały, że wracały przerażone. Myślę, że dzięki temu, iż więcej mówiły o śmierci, łatwiej sobie z nią radziły.

Gdy na powitanie wkraczającego do wioski oddziału wybiegały dzieci, był to znak, że jest bezpiecznie. Jakie były inne podobne reguły?

W Afganistanie nie ma reguł, nie ma „nigdy" i nie ma „zawsze". Wchodząc do wioski, wiedzieliśmy tyle, ile przekazał nam wywiad czy lokalna ludność, a czasem nie mieliśmy żadnej informacji. Kiedyś mile nas przyjęto w pewnej wiosce – rozmawialiśmy, rozdaliśmy przywiezione dary. W drodze powrotnej – była ona jeszcze w zasięgu naszego wzroku – poleciały w naszą stronę pociski.

Czym się zajmowała Pani w Afganistanie?

Podczas mojego pierwszego, miesięcznego, pobytu pracowałam jako dziennikarz. Za drugim razem wyjechałam na kontrakt. Jako pracownik cywilny wojska byłam specjalistą do spraw mediów w zespole odbudowy prowincji. Prowadziliśmy projekty dla lokalnej społeczności – od budowy dróg, mostów po różne kursy: krawieckie, tkania dywanów, ślusarskie. Często wyjeżdżałam na patrole, bo dodatkowo prowadziłam dokumentację fotograficzną wszystkich projektów oraz zajmowałam się pomocą humanitarną.

Czy obecność polskich kobiet w jakiś sposób pomagała Afgankom?

Lekarki, ratowniczki medyczne badały tamtejsze kobiety, dawały leki, opatrywały rany. Obcy mężczyzna nie może dotknąć kobiety afgańskiej. Za obcy dotyk, nawet lekarza, grozi jej śmierć. Nie może ona nawet zdjąć burki w jego obecności. Dlatego też bez udziału polskich kobiet nie byłyby możliwe przeszukania Afganek, aby te mogły wejść na teren bazy. Część z nich pracowała w stołówce. Pamiętam jak jedna Afganka była w zaawansowanej ciąży. Kilka Polek biegało po bazie i zbierało dla niej co tylko się da: koce, buty, ubranka, środki czystości, leki. Tak udało się przygotować całkiem sporą wyprawkę. Poza tym wiele projektów było skierowanych specjalnie do afgańskich kobiet. Wiele z nich samotnie wychowuje dzieci i nie może iść do pracy. Pracują w domach, w specjalnie przystosowanych do tego pomieszczeniach, na przykład małych zakładach tkackich. Jedno ze szkoleń dla kobiet, które nie umiały pisać, dotyczyło przedsiębiorczości. Tutejsze kobiety często prowadzą zakłady krawieckie, kosmetyczne czy fryzjerskie. Jedna z nich była zadowolona, że nauczyła się czytać i pisać, ale przede wszystkim odróżniać cyfry, na przykład 5 od 7. Dzięki temu może robić tańsze zakupy. Takie małe sukcesy sprawiają najwięcej radości.

Afganistan zmienił też Panią?

Bardzo. To inne miejsce, oderwane od rzeczywistości, które przenosi nas kilkaset lat wstecz. Afganistan jest pełen skrajności, biedny i bogaty, palący słońcem albo ogarniający przenikliwym zimnem. Uczy pokory i pozwala docenić to, co mamy: rodzinę, jedzenie, ubranie, a przede wszystkim poczucie bezpieczeństwa. W Afganistanie nie ma rodziny, która by kogoś nie straciła. Często nie z powodu naturalnej śmierci, ale od wybuchu poradzieckiej miny, od improwizowanego urządzenia wybuchowego czy od kuli z karabinu. Dla nas jest to przerażające, a dla nich to norma. Afganistan bardzo też ludzi niszczy. Wysokość 2,2 tys. m n.p.m., klimat, ostre słońce, upalne lata, mroźne zimy dają o sobie znać. Afgańczycy wyglądają na znacznie starszych niż są w rzeczywistości. Ten kraj zmienia nie tylko nasze twarze. Obrazy, które się widziało i emocje, jakie przeżyło, nieraz gaszą błysk w oku, zabierają uśmiech z twarzy. ■

WIZYTÓWKA

MAGDALENA PILOR

Pracowała jako dziennikarka prasowa, radiowa, a potem specjalistka ds. mediów w Dowództwie Operacyjnym Sił Zbrojnych. W Afganistanie miesiąc była jako korespondentka „Nowej Trybuny Opolskiej", a potem wróciła tam na rok jako pracownik wojska. Niedawno ukazała się jej książka „Jej Afganistan. Historia żołnierza w spódnicy".

PRZEGLĄD
SIŁ ZBROJNYCH

10 DZIAŁÓW O SZKOLENIU I TAKTYCE NA WSPÓŁCZESNYM POLU WALKI

PISMO SZKOLENIOWE

www.polska-zbrojna.pl

WOJSKOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

URZĄD GMINY GRÓDEK

ZAMKI

U Zawiszy Czarnego

Zamek średniowieczny wrócił do dawnych właścicieli.

Sypiące się kamienne mury zarośnięte krzakami – tyle zostało po warowni, należącej niegdyś do najsłynniejszego rycerza średniowiecznej Europy. Teraz ruiny zamku w Rożnowie są własnością rodu Stadnickich, do których budowla należała od XIX stulecia do 1944 roku.

Zgodnie z ustaleniami z konserwatorem zabytków, nabywcy wyremontują pozostałości murów warowni, tak aby przywrócić im wygląd z XIX-wiecznego rysunku Napoleona Ordy. W obiekt zostanie też wkomponowana nowoczesna architektura. Prace budowlane poprzedzą badania archeologiczne, a ewentualne znaleziska trafią jako eksponaty do muzeum zamkowego.

Właściciele planują też organizować tutaj turnieje rycerskie imienia Zawiszy Czarnego. Ten bohater spod Grunwaldu sławę w Europie zdobył w 1415 roku, kiedy pokonał w turnieju

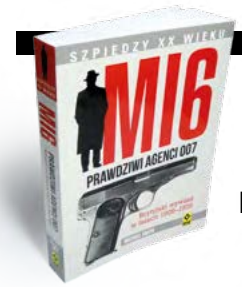

KSIĄŻKA

Protoplaści Bonda

Dziś początki brytyjskich tajnych służb moglibyśmy uznać za komiczne.

Założona w 1909 roku tajna służba wywiadowcza miała na celu zbieranie informacji na temat rozmieszczenia i sił wojsk niemieckich. Już wtedy admiralicja i wyżsi stopniem oficerowie Armii Brytyjskiej przypuszczali, że w najbliższych latach może dojść do konfrontacji z państwem Wilhelma II. Początki działalności agenturalnej były nadzwyczaj skromne – cały wywiad stanowiło kilkunastu działających poza granicami agentów, przy czym w początkowej fazie istnienia służby MI1c (dziś bardziej znanej pod nazwą MI6) – zaliczyła masę komicznych wpadek i niepowodzeń. Dopiero I wojna światowa i rewolucja bolszewicka w Rosji ukazały prawdziwą siłę i zdolności brytyjskich agentów.

Michael Smith w swojej książce „MI6. Prawdziwi agenci 007. Brytyjski wywiad w latach 1909–1939” odsłania

Vademecum

Rożnów leży nad Jeziorem Rożnowskim, 20 km na północ od Nowego Sącza, przy drodze prowadzącej z Gródka nad Dunajcem. Samochód najlepiej zostawić na placu przy kościele. Dojedziemy tutaj też PKS-em z Nowego Sącza. Wstęp do obu ruin – zarówno do budowli gotyckiej, jak renesansowej – jest bezpłatny. Kilkadziesiąt metrów od warowni stoi też dwór Stadnickich z początku XIX wieku. Z noclegiem nie będzie problemów, bo w tej wypoczynkowej miejscowości pełno jest pensjonatów, domków do wynajęcia albo można skorzystać z agroturystyki.

najprzedniejszego rycerza Jana z Aragonii, wysadzając go z siodła jednym uderzeniem kopii.

Zawisza nabył zamek w 1426 roku, ale nie zdążył się nacieszyć nową siedzibą. Dwa lata później, jako dowódca oddziałów najemnych, uczestniczył w wyprawie węgierskiego króla Zygmunta Luksemburskiego na Turków. Kiedy osłaniał jego odwrót z pola bitwy pod Golubacem w Serbii, został wzięty do niewoli i ścięty mieczem.

Zamek w Rożnowie wzniesiono na stromym wzgórzu nad Dunajcem, w miejscu, gdzie na początku XIII wieku stała strażnica rodziny Gryfitów. 100 lat później kamienną gotycką warownię zbudował tutaj ród Rożenów. Pełniła ona ważną funkcję na szlaku handlowym z Polski na Węgry. Na początku XV wieku przeszła w ręce Kurowskich. Kolejnym jej właścicielem był ród Wydżgów, a następnie, w drugiej połowie XV wieku, Tarnowscy.

W XVI wieku warownia okazała się za ciasna dla kolejnego nabywcy, hetmana wielkiego koronnego Jana Amora Tarnowskiego. Położenie jej nie pozwalało na rozbudowę, tak więc hetman – prawnuk Zawiszy Czarnego – postanowił postawić w innym miejscu nową, twierdzę. Dlatego w XVII wieku zamek został opuszczony i popadł w ruinę. Zachowały się tylko fragmenty murów obwodowych i wewnętrznej zabudowy.

Drugi zamek postawiono w dolinie nad brzegiem Dunajca. Tarczyński, wybitny teoretyk sztuki wojennej, chciał, aby ta renesansowa twierdza była jedną z pierwszych w Polsce warowni o nowożytnej fortyfikacji obronnej. Jej koncepcję zapożyczono z Włoch. Powstała kamienna beluarda, czyli prototyp bastionu, oraz budynek bramny. Poszczególne obiekty połączyły mury kurtynowe. W trzymetrowej grubości ścianach beluardy wykuto otwory strzelnicze na dwóch poziomach, tak aby obrońcy mogli prowadzić z nich ostrzał. Niestety budowa nigdy nie została ukończona. Po śmierci hetmana w 1561 roku przerwano prace, a w XVIII wieku zamek uległ zniszczeniu.

W następnych wiekach Rożnów był własnością różnych rodów magnackich. Obecnie obie twierdze są zaniedbane. Z renesansowej budowali zachował się beluard, który późniejsi właściciele przeznaczyli na ludwisarnię i gorzelnię. Ród Stadnickich zamierza przejąć także pozostałości tego drugiego zamku. Władze gminne mają nadzieję, że dzięki nowym właścicielom miejscowość będzie miała atrakcyjne budowle historyczne zamiast dwóch ruin. ■

ANNA DĄBROWSKA

kulisy działalności szpiegowskiej wywiadu brytyjskiego, odkrywa sekrety dziś praktycznie zapomnianych akcji szpiegowskich, które miały wpływ na losy nie tylko Wielkiej Brytanii, lecz także całego ówczesnego świata. Książka też ma liczne smaczki – mało kto dziś wie, że do śmierci faworyta carycy rosyjskiej Rasputina przyłożyli rękę brytyjscy agenci, a słynny kryptonim szefa służby – dziś znany z filmów o Jamesie Bondzie – „M", był tak naprawdę na inną literę, „C", od angielskiego słowa „chef", czyli szef. Jest to godna polecenia lektura, która potrafi trzymać w napięciu, szczególnie kiedy Michael Smith opisuje niezwykle ryzykowne i śmiertelnie niebezpieczne akcje w sowieckiej Rosji z początkowego okresu rządów Józefa Stalina. ■

JAKUB NAWROCKI

Michael Smith, „MI6. Prawdziwi agenci 007. Brytyjski wywiad w latach 1909–1939", RM, 2014

CENTRALNA BIBLIOTEKA WOJSKOWA im. Marszałka Józefa Piłsudskiego
zaprasza do
WOJSKOWEJ BIBLIOTEKI CYFROWEJ
ZBROJOWNIA
www.cbw.pl
zbrojownia.cbw.pl

KSIĄŻKA

Lekcje życia

Powstanie odczuwane każdym zmysłem

Patrycja Bukalska przez lata spotykała się z kobietami, które brały udział w powstaniu warszawskim. Przeprowadzała wywiady między innymi dla Archiwum Historii Mówionej Muzeum Powstania Warszawskiego. Jak twierdzi, „każde spotkanie było ważne. Każde było lekcją. Nie patriotyzmu, bohaterstwa, ale po prostu lekcją życia". Pytała o wszystko – o miłość, śmierć, zmysły czy higienę. Sama zaś nieustannie zastanawiała się: „jak można przejść przez ból, cierpienie, stratę, samotność i nie dać się złamać?". Niektóre z tych spotkań dały początek przyjaźniom. A dzięki temu, że Patrycja Bukalska nawiązała tak bliskie znajomości z uczestniczkami powstania, zrozumiała, jak niewiele różni ją od tych kobiet. I to właśnie doświadczenie chce przekazać czytelnikom w książce „Sierpniowe dziewczęta '44".

Wydarzenia sprzed 70 lat poznajemy zatem ze wspomnień 21 sanitariuszek i łączniczek. Ich opowieści zostały uporządkowane według różnych zagadnień. I tak czytamy na przykład historie kilku dziewczyn z pierwszego dnia powstania lub z momentu kapitulacji. Dowiadujemy się również, czy czuły się żołnierzami i jak były traktowane przez kolegów z oddziału. Czytamy o euforii towarzyszącej powstańcom i o tragicznych momentach. Najciekawsze są jednak uwagi, które można usłyszeć tylko z ust kobiet. Dzięki ich opowieściom wiemy na przykład, jaki zapach towarzyszył powstaniu. ■

ANETA WIŚNIEWSKA

Patrycja Bukalska, „Sierpniowe dziewczęta '44", Wydawnictwo Trio, 2014

WYSTAWA

Węgrzy w Polsce

Historia wydobyta z okopów

W Muzeum Okręgowym w Rzeszowie można zobaczyć wystawę „Węgierscy huzarzy z Nyiregyhazy na ziemiach polskich podczas I wojny światowej", prezentującą losy węgierskich kawalerzystów XIV Pułku Huzarów. Wśród eksponatów są oryginalne mundury, nakrycia głowy, wyposażenie żołnierskie, odznaki, medale. Można też obejrzeć pamiątki z okopów, m.in. nieśmiertelniki, gwizdki oficerskie, a także przedmioty wykonane przez żołnierzy własnoręcznie, chociażby popielniczkę z łuski czy nóż z odłamka granatu. Wstęp na wystawę jest wolny. Ekspozycja w Rzeszowie jest czynna do 17 sierpnia, a później, do końca roku, będzie pokazywana m.in. w Strzyżowie, Jarosławiu i Lubaczowie. JR ■

KSIĄŻKA

Alfabet pamięci

O zwykłym życiu i niezwykłej miłości

Jedyny dwukrotny zdobywca nagrody literackiej Nike (za „Widnokrąg" i „Traktat o łuskaniu fasoli") ponownie znalazł się na liście nominowanych. Wielu uważa nawet, że Wiesław Myśliwski zasługuje na Nagrodę Nobla. Każda jego książka traktuje o sprawach najważniejszych, każda jest filozoficzna, każda wymaga uważnego czytania, nawet wielokrotnego. „Ostatnie rozdanie" to mądra, piękna lektura, którą trzeba smakować powoli, nieśpiesznie.

Fabuła jest oparta na prostym pomyśle. Bohater, dojrzały mężczyzna, postanawia przepisać zniszczony notes z adresami, które obsesyjnie gromadził przez całe życie. To narzucone sobie zadanie wymaga sięgnięcia do zakamarków pamięci, przyporządkowania nazwisk do postaci, do zdarzeń, co nieuchronnie prowadzi do rozrachunku z życiem. Bohater wspomina ludzi, których spotykał, historie sprzed lat, pierwsze miłości, niepowodzenia, przelotne romanse, matkę, która odegrała istotną rolę w jego życiu. Jest w tej opowieści nieustanna ucieczka. Bohater zmienia mieszkania, bo w żadnym nie czuje się dobrze, zmienia kobiety, bo boi się przywiązania i odpowiedzialności, zmienia profesję. Całe jego życie składa się z fragmentów. Nie ma tu nic stałego. Chyba że samotność. Drugą najważniejszą postacią powieści jest Maria, dawna miłość bohatera, kobieta, którą porzucił, ale ona przez całe życie przysyła mu listy. Nie wiadomo, skąd zna każdy jego nowy adres. Mijają lata, a listy przychodzą, z czasem coraz bardziej chaotyczne, naznaczone upływem lat, ale zawsze pełne miłości i przywiązania. Są właściwie jedyną stałością w życiu bohatera. Bohatera, czyli kogo? Nie jest on określony. Może to być każdy z nas. Myśliwski kreśli obraz współczesnego człowieka, uciekającego przed odpowiedzialnością, samotnego, niekiedy okrutnego, choć przede wszystkim dla siebie. To także opowieść o czasie, o przemijaniu, o pamięci, kreowaniu rzeczywistości minionej. Myśliwski twierdzi, że istnieje tylko przeszłość. Czasu teraźniejszego nie ma, a przyszłość możemy sobie jedynie wyobrazić. Dźwigamy zatem brzemię przeszłości. A pamięć nie daje gwarancji wiarygodności. Przede wszystkim jednak to historia miłości silniejszej niż śmierć, z zakończeniem wręcz zapierającym dech. ■

RENATA GROMSKA

Wiesław Myśliwski, „Ostatnie rozdanie", Znak, 2013

KSIĄŻKA

Wyzwania dla NATO

Mimo że książka „NATO wobec wyzwań współczesnego świata" wyszła w ubiegłym roku, jej tematyka długo jeszcze nie straci aktualności. Sięgnąć po nią powinny osoby zainteresowane sprawami międzynarodowego bezpieczeństwa.

Książka jest pokłosiem zorganizowanej na Uniwersytecie Łódzkim konferencji poświęconej problemom funkcjonowania sojuszu. Zamieszczone w niej referaty ponad dwudziestu naukowców są poświęcone głównie kwestiom działalności NATO w XXI wieku. Autorzy omawiają między innymi wybór przyszłej drogi sojuszu, analizują jego znaczenie dla Polski, opisują zaangażowanie operacyjne tej organizacji oraz państw członkowskich, przedstawiają współczesne wyzwania i zagrożenia dla paktu.

Trudno omawiać każdy z referatów, ale z książki wynika jedna ważna konkluzja: wobec nowych, współczesnych wyzwań i zagrożeń (m.in. międzynarodowy terroryzm, cyberprzestępczość, rywalizacja o surowce energetyczne) NATO nie tylko musi się zmienić, lecz także musi zaproponować inne metody współpracy ze społecznością międzynarodową. Lektura książki prowadzi także do wniosku, że jeśli w nadchodzących latach sojusz chce odgrywać równie ważną rolę, jak w przeszłości, musi wykazać się odwagą i (jak stwierdził jeden z amerykańskich polityków) „wyjść poza obszar traktatowy lub wypadnie z interesu".

Książka została wydana pod redakcją Roberta Czuldy, Roberta Łosia i Jacka Regini-Zacharskiego. Wśród autorów są zarówno uznani profesorowie, wykładowcy z różnych uczelni, oficerowie z AON, jak i młodzi naukowcy (m.in. studentka studiów doktoranckich na Wydziale Dziennikarstwa i Nauk Politycznych Karolina Libront). ■

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

„NATO wobec wyzwań współczesnego świata", praca zbiorowa, Instytut Badań nad Stosunkami Międzynarodowymi w Warszawie, Katedra Teorii Polityki Zagranicznej i Bezpieczeństwa – Wydział Studiów Międzynarodowych i Politologicznych Uniwersytetu Łódzkiego, 2013

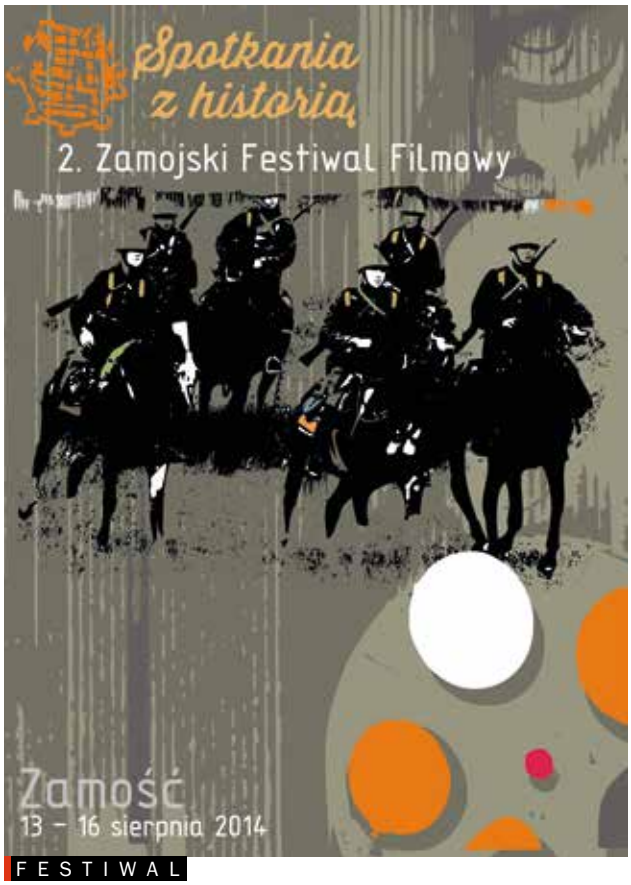

Wstęp na wszystkie pokazy festiwalowe i towarzyszące festiwalowi imprezy, między innymi prezentacje filmów fabularnych na Rynku Wielkim w Zamościu, jest wolny, a organizatorzy przygotowali także dodatkowe historyczne atrakcje plenerowe.

FESTIWAL

Moda na historię

Na 2. Zamojskim Festiwalu Filmowym „Spotkania z Historią" będzie można obejrzeć także filmy dotyczące historii wojskowości, między innymi „Legendę 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty" czy „Mój ojciec generał".

Rozpoczynający się 13 sierpnia w Zamościu festiwal będzie miejscem prezentacji polskich filmów dokumentalnych i reportaży o tematyce historycznej, wyprodukowanych w ciągu ostatnich dwóch lat. W tym roku do konkursu zgłoszono ponad 160 produkcji. „To świadczy nie tylko o swoistej modzie na historię, którą obserwujemy od lat, ale także o tym, jak ważna w debacie publicznej jest historia, jak wielką stanowi inspirację i wyzwanie dla twórców", mówi dr Tadeusz Doroszuk, dyrektor TVP Historia, która wspólnie z Centrum Kultury Filmowej „Stylowy" i miastem Zamość organizuje festiwal.

W tym roku twórcy najczęściej wybierali tematy związane z II wojną światową, a także te dotyczące demokratycznych przemian w Polsce po 1989 roku, historii PRL-u i Solidarności. Wśród zakwalifikowanych do przeglądów festiwalowych filmów znalazły się także opowieści o królu Stanisławie Leszczyńskim, Hipolicie Cegielskim, Michale Murawiowie „Wieszacielu" i historii „Panoramy racławickiej". Ich twórcy ubiegają się o nagrody – statuetki „Perły Zamościa".

Festiwal nie przypadkiem odbywa się w Zamościu, mieście, w którym historię spotyka się na każdym kroku. „Ważny jest także czas, w którym impreza się odbywa. Dzień Wojska Polskiego i rocznica Bitwy Warszawskiej 1920 roku mają symboliczne znaczenie", dodaje dyrektor TVP Historia. ■

J. SUŁOWSKI, MUZEUM ORĘŻA POLSKIEGO

POD NASZYM PATRONATEM

Gabinet figur wojskowych

Postaci żołnierzy z II wojny światowej, repliki wiernie oddające oryginalne umundurowanie, oporządzenie i broń można obejrzeć w kołobrzeskim muzeum.

Wystawa przygotowana przez Muzeum Oręża Polskiego w Kołobrzegu, zaaranżowana w formie gabinetu osobliwości – panoptikum, kunstkamera – jest adresowana do zwiedzających w każdym wieku. „Gabinet figur wojskowych" to także nawiązanie do świata popkultury. Twarze żołnierzy w skali 1:6 często są bowiem wzorowane na obliczach aktorów. Cała figura może więc dodatkowo kojarzyć się z postacią z filmu wojennego. Wytrawny widz dojrzy tu Jeana Reno, Bruce'a Willisa czy Toma Hanksa. Wśród 260 figur nie ma dwóch takich samych.

Ekspozycja jest rezultatem 25-letniej pasji modelarza i kolekcjonera Jacka Sułowskiego z Krakowa. Figury o wysokości 25–30 cm są wykonane z plastiku, żywicy i mają ruchome stawy kończyn, zginane tułowia. Dzięki temu mogą przybierać rozmaite postawy czy pozy. Mundury z sukna, dzianiny, skóry naturalnej i ekologicznej szyte są tak jak oryginalne – z pikowaniami, stębnowaniami, zapięciami na miniaturowe guziki, sprzączki, rzepy, troczki. Oporządzenie i broń mogą wręcz zaskakiwać wiernym naśladowaniem oryginałów. Broń ma ruchome części, można przeładowywać i wymieniać magazynki, w kaburach znajdują się pistolety, a w ładownicach magazynki.

Zwiedzający zobaczą również unikatową kolekcję figur z powstania listopadowego, autorstwa Ireneusza Piecyka, figury wkomponowane w dioramę wojny siedmioletniej, autorstwa Krzysztofa Plewaki, oraz modele wykonane przez członków KKM Szkwał oraz Koszalińskiego Plutonu Modelarskiego. ET ■

„Gabinet figur wojskowych", Muzeum Oręża Polskiego w Kołobrzegu, Oddział Historii Miasta, ul. Armii Krajowej 13. Więcej informacji: www.muzeum.kolobrzeg.pl

KSIĄŻKA

Gawędy babci

Około pół miliona kobiet przebywało w Warszawie 1 sierpnia 1944 roku.

Anna Herbich w książce „Dziewczyny z powstania. Prawdziwe historie" oddała głos jedenastu z nich, bo, jak twierdzi, „w historii pisanej przez mężczyzn i dla mężczyzn nie poświęcono ich przeżyciom tyle miejsca, na ile zasługiwały". Autorka tę lukę postanowiła wypełnić. Wybrała bardzo prostą formę, ale w tym wypadku doskonałą. Przytoczyła po prostu jedenaście opowieści. Każda z nich ma inną konstrukcję i jest opowiedziana w innym tempie. Czasami historie są trochę niespójne, trochę chaotyczne, ale… to jest wielka zaleta tej książki. Są bowiem bardzo autentyczne, są jak gawędy babci. Na dodatek każdej opowieści towarzyszy kilka zdjęć, co sprawia, że jeszcze bardziej utożsamiamy się z bohaterkami książki. Taka formuła nie jest przypadkowa – jedną z bohaterek książki jest babcia Anny Herbich.

Same historie też są niezwykłe. Sanitariuszka „Sławka" opowiada na przykład o tym, że w czasie powstania użyła pistoletu, by postraszyć kilku cywilów. Ze względu na ostrzał chcieli bowiem porzucić ciężko rannego, którego nieśli do szpitala. „Renie", rannej dzień przed kapitulacją Mokotowa, życie uratował jeden z Niemców, który miał córkę w jej wieku. Halinka nie mogła wziąć udziału w powstaniu, chociaż działała w konspiracji. Tuż przed godziną W urodziła syna i dla niej tamte dni to była walka o jego życie. Jadwiga w 1944 roku miała zaledwie osiem lat. Razem z matką ukrywały się w piwnicy jednego z domów na Woli. Kiedy Niemcy wypędzili je z tej kryjówki, zobaczyły wokół stosy trupów. One obie również czekały na egzekucję. Stał się jednak cud… Mimo tych traumatycznych wspomnień z dzieciństwa, dziś Jadwiga mieszka w tej samej warszawskiej dzielnicy. „Minęło siedemdziesiąt lat, a ja żyję. To jest moje zwycięstwo", opowiada kobieta. ■

ANETA WIŚNIEWSKA

Anna Herbich, „Dziewczyny z powstania. Prawdziwe historie", Znak, 2014

KSIĄŻKA

Jak rodziły się legiony

Historia armii, która podbiła antyczny świat

Wjaki sposób szkolono rekrutów, jak formowano bojowego „żółwia" i do czego Hannibal używał słoni – tego wszystkiego dowiemy się z bogato ilustrowanej pozycji poświęconej rzymskiej armii. Autor nie zapomniał też o technice, strategii i zasadach prowadzenia kampanii przez rzymskie wojska od czasu armii obywatelskiej po legiony, które podbiły większość ówczesnego świata antycznego.

Książka nie jest z pewnością encyklopedią wiedzy o starożytnym Rzymie i jego armii. Wiele kwestii opisano w niej skrótowo, pominięto też dokładniejsze informacje o historii państwa, przez co zainteresowani tym tematem będą musieli sięgnąć do dodatkowej literatury. Jest to raczej pozycja przeznaczona dla osób rozpoczynających poznawanie dziejów Rzymu, która przybliży im podstawy historii imperium i jego armii. ■

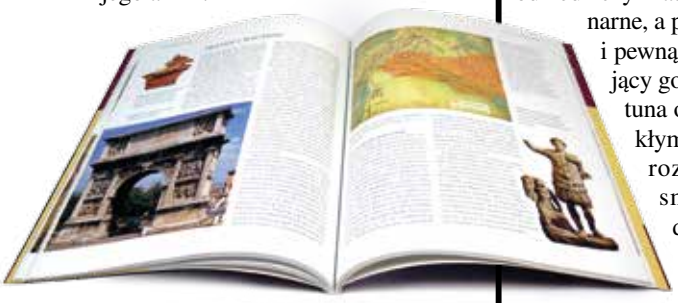

ANNA DĄBROWSKA

Nigel Rodgers, „Rzymska armia. Legiony, wojny, kampanie", Bellona, 2009

POD NASZYM PATRONATEM

Zawody strzeleckie

XIII Centralne Zawody Sportowo-Obronne Związku Żołnierzy Wojska Polskiego

Impreza odbędzie się 28 sierpnia 2014 roku w obiektach szkoleniowych 1 Warszawskiej Brygady Pancernej im. Tadeusza Kościuszki w Wesołej. Strzelanie z karabinka Beryl, z pistoletu wojskowego oraz rzut granatem na celność – to trzy zaplanowane konkurencje. W eliminacjach i zawodach centralnych uczestniczy ponad 1,5 tys. członków związku. Corocznie do udziału są zapraszane również zespoły z różnych współpracujących organizacji. W tym roku wystąpi drużyna Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy, składająca się z zawodników, którzy w trakcie licytacji wpłacili największe datki na rzecz orkiestry. Zawody są współfinansowane przez Ministerstwo Obrony Narodowej. ■

KSIĄŻKA

Orgia smaku

Nino Latini był synem rzeźnika i siostrzeńcem znanego malarza quattrocento Fra Filippo Lippiego, słynącego nie tylko ze swoich dzieł, lecz także słabości do kobiet. Chłopiec po mieczu odziedziczył zatem umiejętności kulinarne, a po kądzieli gorącą krew i pewną wrażliwość na otaczający go świat. Na dodatek fortuna obdarowała go niezwykłym talentem – wyjątkowo rozwiniętym zmysłem smaku. Nic zatem dziwnego, że już jako młodzieniec stał się artystą wśród kucharzy. Wrodzony talent otworzył mu drogę kariery, ale stał się też jego przekleństwem.

To właśnie Nino Latini, bohater książki Philipa Kazana, zabiera nas w podróż w czasie. Pokazuje od kuchni pałace Medyceuszy czy Borgiów oraz pracownię malarza i rzeźbiarza Andrei del Verroccia, w której spotykamy między innymi Sandra Botticellego i Leonarda da Vinci. Co więcej, odsłania przed nami najmroczniejsze zaułki i najpiękniejsze miejsca dwóch piętnastowiecznych miast – Florencji i Rzymu. Podróż z Ninem jest niezwykle zmysłowa. Wręcz czujemy zapachy miejsc i smak potraw, o których czytamy. Philip Kazan przy pisaniu tej powieści połączył swoją wiedzę historyka z umiejętnościami krytyka kulinarnego. W ten sposób powstała wyjątkowo apetyczna książka. ■

ANETA WIŚNIEWSKA

Philip Kazan, „Apetyt", Znak, 2014

WYSTAWA

Żołnierz z fajką

Unikatowa kolekcja przemyskiego muzeum

Jeśli ktoś ma w wakacyjnych planach wizytę w Przemyślu, nie może ominąć Muzeum Dzwonów i Fajek. Od 29 czerwca można tam obejrzeć przepiękną kolekcję fajek wojskowych. Tematyka wystawy nie jest przypadkowa – łączy się z 100. rocznicą wybuchu I wojny światowej. Unikaty, które można na niej podziwiać, pochodzą ze zbiorów muzeum. Są wśród nich fajki zdobione scenami z żołnierskiego życia, a także fajki rezerwisty, które na przełomie XIX i XX wieku stanowiły pamiątkę z wojska. Między nimi znajdują się egzemplarze należące niegdyś do żołnierzy pułku księcia Kinsky'ego oraz pułku Ferdynada IV wielkiego księcia Toskanii, a także gliniane lulki odnalezione na terenie fortów, zarówno te przywiezione przez załogę, jak i wykonane na miejscu, w roku 1915, z napisami węgierskimi „Na pamiątkę oblężenia". Wystawę będzie można zwiedzać przez rok. JR ■

KSIĄŻKA

Wojna po wojnie

Dramat tych, którzy powrócili.

To było jak strzał defibrylatorem. Czytając kolejne strony, słyszałem rakiety lecące i wybuchające nieopodal, kule jazgoczące nad głową oraz kolegów, którym w rocznicę śmierci palę znicz na parapecie okna", tak o dramacie wojennym „(Nie)potrzebni" Marcina Ogdowskiego mówi Jacek, weteran misji w Iraku i Afganistanie. „(Nie)potrzebni" to pierwsza na naszym rynku wydawniczym powieść o losach żołnierzy wracających do domu po misji. Żołnierzy rannych, samotnych, niezrozumianych i okaleczonych psychicznie, cierpiących na zespół stresu bojowego (PTSD).

Książka rozpoczyna się mocną sceną. Poznajemy młodego mężczyznę, który nie może spać. Jest wulgarny i agresywny wobec bliskich. Pewnej nocy dochodzi do tragedii… Chłopak popełnia samobójstwo. Jego ojciec wini za to wojnę w Afganistanie.

Powieść jest podzielona na cztery części, symbolicznie wyznaczone porami roku. Atutem są tu dobrze przemyślana konstrukcja, przejrzysta forma, utrzymana w konwencji dziennika, oraz żywy, naturalny, niewygładzony język bohaterów.

Wraz z kolejnymi stronami książki czytelnik przenosi się to do Afganistanu, to do Polski. Podróżuje pomiędzy bazami wojskowymi, domami i szpitalami. Dzięki sprawnemu poprowadzeniu poszczególnych wątków oraz prezentowaniu wydarzeń z kilku różnych perspektyw powieść intryguje i wciąga. Ogdowski pokazuje dramat rodziców zmarłego żołnierza i jego żony, a także Wojciecha Laudańskiego, dziennikarza i korespondenta wojennego. Laudański, jeden z głównych bohaterów książki, sam cierpi z powodu traumatycznych wydarzeń, jakich doświadczył w Afganistanie. W ostatniej chwili rezygnuje z wylotu pod Hindukusz i zostaje w Polsce, by zbadać powody samobójczej śmierci weterana.

Na tle tragicznych wydarzeń, związanych z samobójstwem żołnierza, autor przedstawia też cyniczne i brutalne rozgrywki polityczne. Nie da się ukryć, że Ogdowski, tworząc fabułę i kreśląc sylwetki swoich bohaterów, odwoływał się do rzeczywistości. Czytelnicy interesujący się choć trochę wojskiem i śledzący aktualne wydarzenia polityczne bez trudu wskażą takie wątki. Pośród bohaterów znajdziemy więc przywódców partyjnych i ich rzeczników. Jest tu także mowa o byłym żołnierzu, weteranie misji, który z symptomami PTSD został odnaleziony w Tatrach. Na kartach powieści pojawia się także Fundacja „Szarik", która pomaga cierpiącym na PTSD mundurowym.

„(Nie)potrzebni" to trzecia książka tego autora. Rok temu na rynku wydawniczym ukazał się „Ostatni świadek", a wcześniej „ZAfganistanu.pl", publikacja przygotowana na podstawie blogu. Autor jest dziennikarzem, korespondentem wojennym, wielokrotnym uczestnikiem misji w Iraku i Afganistanie. Stworzył jeden z najbardziej poczytnych blogów o tematyce wojskowej (zAfganistanu.pl). Jest laureatem Buzgdygana – nagrody miesięcznika „Polska Zbrojna". ■

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

Marcin Ogdowski „(Nie)potrzebni", Warbook, 2014

KSIĄŻKA

Zemsta jest gorzka

W klubie żeglarskim, w trakcie przyjęcia dla dzieci, dochodzi do tragedii. Do sali wdziera się grupa chuliganów. Jedna z dziewczynek wybiega w poszukiwaniu pomocy i ginie pod kołami samochodu. Asystent kryminalna Louise Rick odbiera dramatyczny telefon od swojego podopiecznego Jonasa, który jest jednym z gości na przyjęciu. Zostaje przydzielona do prowadzenia śledztwa w tej sprawie. Na początku wszystko wydaje się proste. Jednak już wkrótce okazuje się, że zbrodnia zatacza coraz szersze kręgi, a tragedia w klubie żeglarskim jest tylko jednym z elementów skomplikowanej układanki.

„Bogini zemsty" to piąta część kryminalnego cyklu Sary Blædel o asystent kryminalnej Louise Rick. Wydawałoby się, że w jednej powieści nie da się pomieścić tylu elementów – morderstwa, zdrady, przemocy, przestępstwa gospodarczego, przemytu, mafii, skandalu obyczajowego. Autorka umiejętnie połączyła to wszystko w masę, z której wyrasta intryga na miarę mistrzów kryminału. Poprzez przemieszanie wątków i bohaterów z tak różnych dziedzin życia i środowisk Blædel pokazuje, jak skomplikowana jest współczesna rzeczywistość, a jednocześnie jak bardzo banalna. Nie ma znaczenia, jak rozwinie się człowiek jako jednostka – intelektualnie i społecznie. Tak naprawdę wszyscy kierują się instynktami, a osoby z wyższych sfer odróżnia od tych z marginesu właściwie tylko bardziej rozwinięta umiejętność manipulacji innymi. Tacy są przestępcy Blædel. Naprzeciwko nich staje grupa policjantów – nie herosów bohatersko walczących o sprawiedliwość, lecz zmęczonych, sfrustrowanych reformami w służbach, zmagających się z problemami rodzinnymi. Blædel wyróżnia się niezwykłą wręcz kobiecą intuicją w budowaniu postaci, tak że czytelnik szybko wsiąka w atmosferę kryminalnej Kopenhagi. A potem długo musi czekać na kolejne tomy. ■

JOANNA ROCHOWICZ

Sara Blædel, „Bogini zemsty", Prószyński i S-ka, 2014

KSIĄŻKA

Kosmiczna flota

Realistyczne starcia okrętów przyszłości

Od ponad wieku trwa wojna pomiędzy siłami Sojuszu i Syndykatu. Pewnego dnia budzi się, odnaleziony w kapsule ratunkowej, w której przetrwał zahibernowany sto lat, kpt. John Geary, zwany „Black Jack". Według propagandy rządu, to największy bohater sił zjednoczonych. Szybko jednak kapitan staje się niebezpiecznym rywalem w grze o wpływy. Dlatego zostaje wysłany na samobójczą misję. Ma zbadać, kim są tajemniczy obcy, którzy żyją na skraju znanego ludziom wszechświata.

Jack Campbell, a właściwie John G. Hemry, jest uznawany za jednego z czołowych pisarzy nurtu military s.f., a przykładem jego kunsztu jest cykl „Zaginiona Flota". Autor to były oficer amerykańskiej marynarki wojennej. Swoją wiedzę o okrętach, zasadach manewrowania nimi podczas walki, strategii i taktyce wykorzystał w opisach starć kosmicznej floty. Dlatego miłośnikom gatunku nie zabraknie w książce militarnego słownictwa, opisów wojskowych procedur czy dokładnego przedstawienia manewrów okrętów przyszłości. ■

ANNA DĄBROWSKA

Jack Campbell, „Zaginiona Flota. Przestrzeń zewnętrzna: Dreadnaught", Wydawnictwo Fabryka Słów

WYDARZENIE

Kurier w Krakowie

Nie zapominajmy, że 2014 jest Rokiem Jana Karskiego. Z tej okazji Muzeum Historii Polski i Muzeum Historyczne Miasta Krakowa zapraszają 1.08.–31.08. na Dni Karskiego. W programie wernisaż wystawy o słynnym kurierze, projekcje filmów: „Wysłannik z Polski" i „Niewykorzystane fragmenty z nagrywania filmu Shoah" oraz prezentacja książek o Janie Karskim. Na zakończenie koncert zespołu Shofar. ■

KSIĄŻKA

Anioł śmierci

O Sońce, co chciała Niemca

Malarz Leon Tarasewicz, wuj Ignacego Karpowicza, powiedział mu wiele lat temu, że tam, skąd obaj pochodzą, czyli na Podlasiu, „była jedna taka, co miała romans z Niemcem". To zdanie zapadło Karpowiczowi w pamięć i nie umiał się od niego uwolnić. Wydawało się dziwne, że w latach wojny, a także po jej zakończeniu, w niewielkiej społeczności, gdzie wszyscy się znają i wszystko o wszystkich wiedzą, gdzie samosądy były codziennością, „takiej" pozwolono przeżyć. Bardzo chciał odnaleźć tę kobietę. Zabrakło mu jednak odwagi. Kiedy dowiedział się o jej śmierci, wymyślił to spotkanie. Oto Igor, reżyser teatralny, który urodził się i wychował na Podlasiu, a potem zrobił karierę w Warszawie, czuje się wypalony nie tylko zawodowo, lecz także życiowo.

W tym momencie zaczyna się ta opowieść. Przez przypadek Igor spotyka na podlaskiej wsi Sońkę, niepiśmienną chłopkę. Ta chwila, w której stają naprzeciw siebie, on – miastowy elegancik w luksusowym samochodzie i z nowoczesnym telefonem komórkowym w ręku, ona – babuleńka „o twarzy brązowej, czerstwej, ale też mocnej", okaże się ich przeznaczeniem. Nie wiadomo, dlaczego Sonia zaprasza nieznajomego do siebie na szklankę mleka i zaczyna snuć wspomnienia sprzed wielu lat, z czasu wojny. Igor, rasowy reżyser, wyczuwa w tym spotkaniu temat na sztukę. Układa w myślach sceny, buduje scenografię, tworzy swoje przedstawienie. Chwilami nie wiadomo, co tu jest opowieścią Sońki, a co teatrem Igora. A historia tej wiejskiej staruszki jest niezwykła. Wychowana bez matki, gwałcona przez ojca i bita przez braci, zakochuje się bez pamięci w hitlerowcu. Spotkanie tych dwojga to zderzenie kompletnie odmiennych światów. Dzieli ich wszystko. A jednak rodzi się niezrozumiałe uczucie, które w ogarniętym wojną, strachem i upodleniem świecie nieuchronnie musi doprowadzić do dramatu. Ale to opowieść nie tylko o Soni. Igor jest tu równoważnym bohaterem. Bo on jest stąd. Wyrwał się przed laty z tej społeczności, zmienił imię, nazwisko, wyrzucił to miejsce ze swojego życia. Ciężko pracował na to, żeby stać się kimś z wielkiego miasta. W miarę, jak Sonia snuje swoją opowieść, Igor staje się człowiekiem z Podlasia. To spotkanie okazało się dla niego równie ważne, jak dla Soni. Oni oboje na nie czekali. Sonia musiała opowiedzieć swoje dzieje komuś, kto u kresu jej życia mógł ją zrozumieć i pożegnać. Był dla niej aniołem śmierci. On zaś musiał usłyszeć tę historię, żeby odnaleźć siebie.

Karpowicz burzy wiele stereotypów o wojnie, najeźdźcach i ofiarach. W tej książce nic nie jest oczywiste. Wiejska społeczność została tu odarta z romantyzmu. Swoich bohaterów autor prowadzi tak umiejętnie, że czujemy, jakbyśmy byli w środku tej historii. Narracja jest oszczędna, nie ma tu taniego sentymentalizmu. W tę przejmującą opowieść Karpowicz wplata wątki baśniowe, co czyni ją wręcz poetycką. Trudno się od niej uwolnić. ■

RENATA GROMSKA

Ignacy Karpowicz, „Sońka", Wydawnictwo Literackie, 2014

JERZY
EISLER

Eroica

Od momentu utworzenia Muzeum Powstania Warszawskiego trwa w naszym kraju i – co równie istotne – przynosi pozytywne rezultaty akcja stawiająca sobie za cel przekonanie społeczeństwa, że powstanie było czymś wyjątkowym w dziejach naszego państwa i narodu, że było częścią podjętej w 1944 roku przez Armię Krajową akcji „Burza" i że było nie tylko bitwą o Warszawę, lecz w istocie bitwą o wolną Polskę. Jeżeli zaś naprawdę tak było, to trudno zrozumieć, dlaczego wśród 1,5 tys. zrealizowanych po wojnie w Polsce filmów fabularnych nie więcej niż tuzin z nich opowiadało o powstaniu warszawskim. Do takiej gorzkiej refleksji skłania mijająca właśnie 70. rocznica tego dramatycznego zrywu. Pamiętać przy tym należy, że do momentu politycznego przesilenia z października 1956 roku filmy fabularne mówiące o powstaniu w praktyce w ogóle nie trafiały na ekrany.

Jednym z pierwszych i zarazem jednym z najważniejszych obrazów na ten temat była „Eroica" w reżyserii Andrzeja Munka. Dzieło to miało premierę 4 stycznia 1958 roku, kilka miesięcy po wprowadzeniu na ekrany pierwszego powstańczego filmu – „Kanału" Andrzeja Wajdy. Co ciekawe, scenarzystą obu był Jerzy Stefan Stawiński. Munk tytuł swojego filmu zapożyczył od patetycznej III Symfonii Es-dur Ludwiga van Beethovena i pierwotnie chciał, aby składał się on z trzech luźno ze sobą powiązanych noweli. Pierwszą z nich ostatecznie uznał jednak za nieudaną artystycznie i nie włączył do zmontowanego filmu. W tej sytuacji tylko pierwsza część, zatytułowana „Scherzo alla Polacca", dotyczy ściśle powstania warszawskiego. Druga: „Ostinato – Lugubre", ukazuje dramatyczne losy grupy polskich oficerów przebywających w niemieckim oflagu. Do pewnego stopnia łącznikiem między dwiema nowelami jest kreowana przez Ignacego Machowskiego postać majora „Grzmota" z Armii Krajowej.

Aktorstwo jest zresztą mocną stroną tego niezwykłego filmu. W pierwszej części główną rolę, cwaniaczka Dzidziusia Górkiewicza, który podjął się pośrednictwa między dowództwem powstańczym Mokotowa a stacjonującymi pod Warszawą (oficjalnie sprzymierzonymi z Niemcami, ale pragnącymi czynnie wesprzeć powstańców) wojskami węgierskimi, odtwarza Edward Dziewoński. Towarzyszą mu między innymi Leon Niemczyk i Kazimierz Opaliński.

Obraz powstania warszawskiego, jaki namalował Andrzej Munk, był dość odległy od oczekiwań środowiska kombatanckiego. Naruszał on święte dla wielu Polaków wyobrażenie klasycznego, cierpiętniczego bohaterstwa. Krytycznie więc odnoszono się do zaprezentowanej wizji (w sumie bohaterstwa dość przypadkowego, a czasem wręcz nieświadomego). Pod tym względem modelowym przykładem może być sekwencja walk w pobliżu mokotowskiej Królikarni, gdzie pijany Dzidziuś znalazł się pod niemieckim ostrzałem. Jest to bowiem właściwie jedyna w całym filmie scena batalistyczna, nawiązująca do obrazów zapamiętanych z powstania. Z drugiej strony ociera się ona o groteskę, a nawet może być uznana za przykład szargania świętości i świadectwo profanacji wartości narodowych. Dobrze przynajmniej, że dzisiaj możemy o tych sprawach mówić swobodniej i bez narodowej tromtadracji.

Na jedną rzecz wszakże należy zwrócić uwagę. Otóż ukazani przez Andrzeja Munka w operetkowy sposób żołnierze i oficerowie węgierscy, w rzeczywistości nierzadko naprawdę sympatyzowali z Polakami i próbowali współpracować z powstańcami, za co niektórym z nich przyszło zapłacić najwyższą cenę własnego życia. Byłoby zatem pożądane, aby wiedza o tym dotarła wreszcie do szerszych kręgów naszego społeczeństwa i hasło „Węgrzy a powstanie warszawskie" nie wywoływało w nas tylko – zaczerpniętych z filmu – skojarzeń operetkowych. ■

OBRAZ POWSTANIA WARSZAWSKIEGO, JAKI NAMALOWAŁ ANDRZEJ MUNK, BYŁ DOŚĆ ODLEGŁY OD OCZEKIWAŃ ŚRODOWISKA KOMBATANCKIEGO

PROFESOR JERZY EISLER JEST HISTORYKIEM, DYREKTOREM ODDZIAŁU IPN W WARSZAWIE I KIEROWNIKIEM ZAKŁADU BADAŃ NAD DZIEJAMI POLSKI PO 1945 ROKU W INSTYTUCIE HISTORII PAN.

1-4.09. 2014

Kielce

TargiKielce
EXHIBITION & CONGRESS CENTRE

ufi Approved Event

Patronat honorowy
Prezydenta
Rzeczypospolitej Polskiej

WYSTAWA NARODOWA FRANCJI

MSPO

XXII Międzynarodowy Salon Przemysłu Obronnego

Dołącz do międzynarodowej platformy biznesowej

TARGI KIELCE S.A
e-mail: mspo@targikielce.pl

www.mspo.pl

POLSKA-ZBROJNA.PL

24
GODZINY
NA DOBĘ
BIEŻĄCYCH
INFORMA-
CJI Z ŻYCIA
WOJSKA

SERWIS
INFORMACYJNY

www.polska-zbrojna.pl

WIW
WOJSKOWY INSTYTUT WYDAWNICZY